

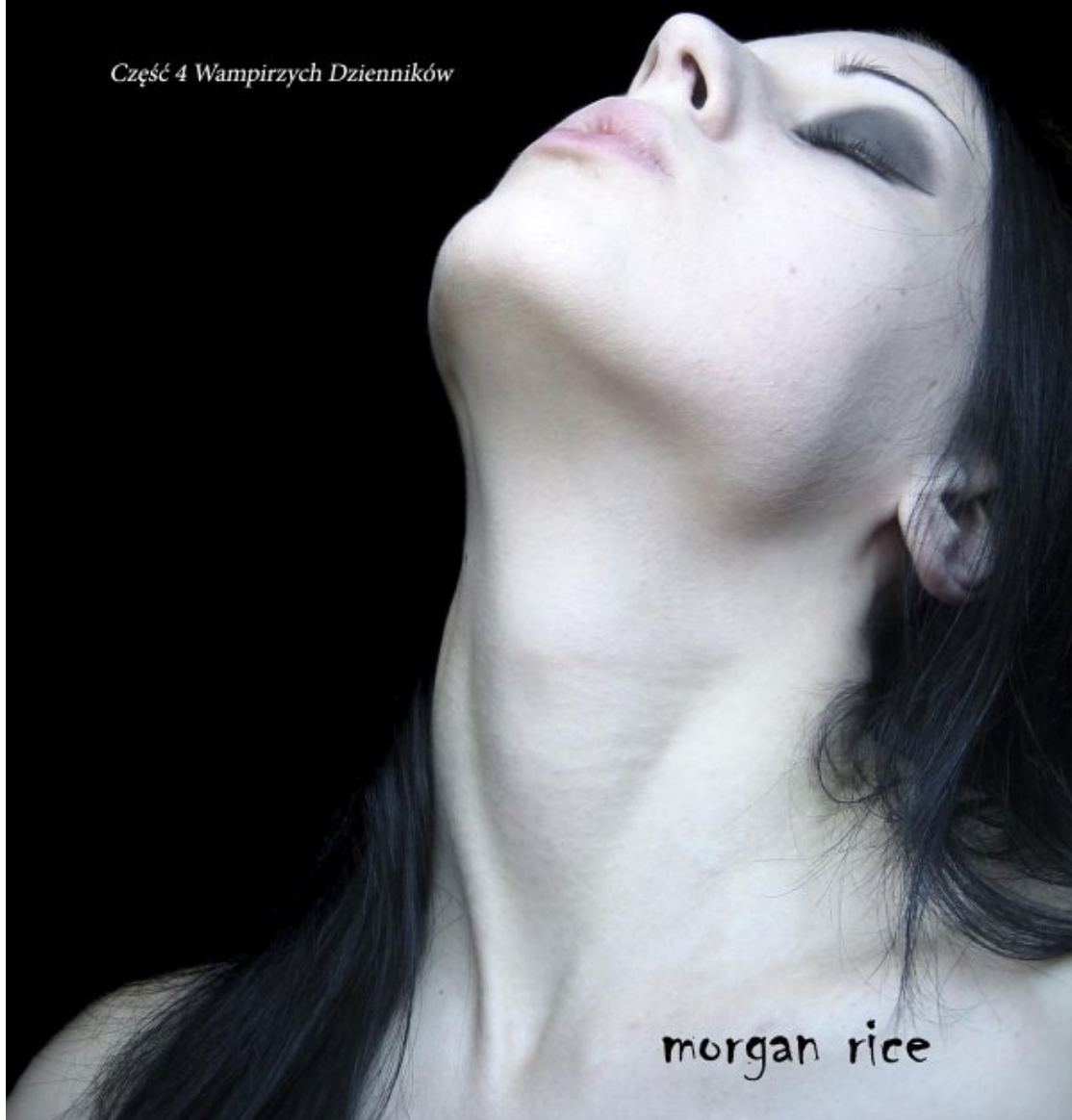
przeznaczona

Część 4 Wampirzych Dzienników

morgan rice

przeznaczona

Część 4 Wampirzych Dzienników



Przeznaczona

(część 4 Wampirzych Dzienników)

Morgan Rice

przekład: Michał Głuszak

Wybrane komentarze Wampirzych Dzienników

– Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta,

- Black Lagoon Reviews (*komentarz dotyczący Przemienionej*)
Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna.

Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny!

Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta.

Zalecany nadzór rodzicielski.

–*The Romance Reviews* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)
Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło...

To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

–*Paranormal Romance Guild* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)
Kipi akcją, romanssem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)
Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy.

Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

–*The Dallas Examiner* (*komentarz dotyczący Kochany*) Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

–*Vampirebooksite.com* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)
Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

–*The Romance Reviews* (komentarz dotyczący *Kochany*)

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE

SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

[PRZEMIENIONA](#) (Księga 1 cyklu Vampire Journals), [ARENA ONE](#) (Księga 1

cyklu Survival Trilogy), [WYPRAWA BOHATERÓW](#) (Księga 1 cyklu Krag Czarnoksiężnika) oraz [POWRÓT SMOKÓW](#) (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie na Google Play.

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Książki autorstwa Morgan Rice

KINGS AND SORCERERS

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZE W HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)

ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)

ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

THE VAMPIRE JOURNALS

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARĘCZONA (CZEŚĆ 6)

ZASŁUBIONA (CZEŚĆ 7)

ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)

WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)

UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)

NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



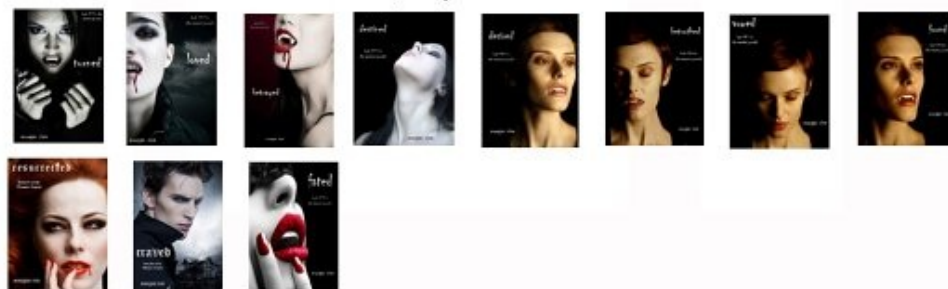
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Kliknij tutaj by pobrać książki Morgan Rice z Google Play!](#)



Posłuchaj cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!

Copyright © 2011 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby.

Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket art ©iStock.com /© lamia-ell

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

FAKT:

W 2009 roku, na niewielkiej wyspie Lazzaretto Nouvo położonej w obszarze weneckiej laguny, odkryto ciało rzekomego wampira. Było w nienaruszonym stanie i należało do kobiety, która zmarła w wyniku szerzącej się w szesnastym wieku zarazy. Pochowano ją z cegłą w ustach – zgodnie ze średniowiecznym przesądem, według którego to wampiry stały za wszelkimi plagami typu czarna śmierć.

FAKT:

Osiemnastowieczna Wenecja nie przypominała żadnego innego miejsca na ziemi. Ludność przybywała tłumnie z całego świata, by wziąć udział w pełnych przepychu ucztach i balach, przyodziać się w wyszukane stroje i maski.

Spacerowanie po ulicach w kostiumie i masce było bowiem uważane za coś jak najbardziej normalnego. Po raz pierwszy w historii znikły podziały między obiema płciami. Kobiety, które jak dotąd musiały ulegać różnym nakazom, mogły wreszcie przebrać się

za mężczyzn i w ten sposób uzyskały dostęp do wszelkich, możliwych do wyobrażenia, miejsc...

– Kochanko moja! moja żono!

Śmierć, co wysłała miód twojego tchnienia,

Wdzięków twych zatrzeć nie zdołała jeszcze.

Nie jesteś jeszcze zwyciężoną: karmin,

Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać

Na twoich licach i bladej swej flagi...–

William Shakespeare, *Romeo i Julia*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Asyż, Umbria (Włochy)

(1790)

Caitlin Paine obudziła się z wolna, całkowicie spowita mrokiem. Spróbowała otworzyć oczy, rozeznąć się w sytuacji, ale nic z tego nie wyszło. Poruszyła rękoma, ramionami – ale i tu nic nie wskórała. Czuła się jak opatulona, pogrążona w czymś o miękkiej konsystencji. Nie mogła pojąć, czym to było.

Ciężkie, przygniatające ją do ziemi, z każdą chwilą wydawało się coraz bardziej ją przytłaczać.

Spróbowała nabrać powietrza i zorientowała się, że jej drogi oddechowe były czymś zatkane.

Ulegając panice, spróbowała wziąć głęboki oddech przez usta, ale wtedy poczuła, jak coś wypełniło jej gardziel. Poczowała zapach i zdała sobie sprawę, co to było: ziemia. Tkwiła w ziemi, która zakrywała jej twarz, oczy i nos i która wdzierwała się przez jej usta. Uświadomiła sobie, dlaczego czuła się przytłoczona.

To ziemia ciążyła z każdą sekundą coraz bardziej. Zaczęła dusić ją.

Nie mogąc oddychać, ani cokolwiek zobaczyć, całkowicie spanikowała.

Próbowała poruszać rękoma i nogami, ale one również były unieruchomione ciężarem ziemi. W popłochu zaczęła walczyć ze wszystkich sił i w końcu udało jej się poruszyć odrobinę ręką. Po chwili uniosła obie ręce w górę, powoli, coraz wyżej. W końcu przedostały się przez ziemię. Jej dłonie napotkały powietrze. W

przyplwywie nowych sił zaczęła młócić kończynami, rozpaczliwie rozszarpując i zdrapując z siebie przykrywającą ją ziemię.

W końcu usiadła, a dokoła posypała się z niej ziemia. Strzepała przylegający do jej twarzy i powiek brud, wyrzuciła ziemię zalegającą jej usta i nos. Używała obu rąk gorączkowo, aż w końcu pozbyła się ziemi na tyle, by móc zaczerpnąć tchu.

Oddychała gwałtownie, wciągając powietrze wielkimi haustami. Nigdy jeszcze nie była tak wdzięczna za to, że mogła oddychać. Zaczęła kaszleć, nadwyrężając płuca, wypluwać ziemię z ust i nosa.

Zmusiła się, by otworzyć oczy, jednak jej rzęsy wciąż jeszcze były zlepione, więc zdołała tylko rozejrzeć się dokoła. Właśnie zachodziło słońce. Nad jakimś wiejskim obszarem. Leżała zakopana w ziemnym kopcu, na niewielkim, wiejskim cmentarzu. Obejrzała się i dostrzegła zdumione spojrzenia tuzina prostych wieśniaków, ubranych w łachmany i gapiących się na nią w

kompletnym szoku. Tuż obok siebie zobaczyła grabarza, muskularnego mężczyznę, którego cała uwaga skupiona była na pracy łopata. Nic jeszcze nie zauważył, nie spojrzał nawet w jej stronę. Nabrał kolejną porcję ziemi i rzucił w Caitlin.

Zanim zdołała zareagować, cała zawartość łopaty wylądowała na jej głowie, ponownie zakrywając jej oczy i nos. Strząsnęła ją z siebie i wyprostowała się w miejscu, poruszając nogami, starając się ze wszystkich sił wydostać spod ciężkiej, świeżo usypanej ziemi.

W końcu i grabarz ją zauważył. Miał już rzucić kolejną porcję ziemi, kiedy nagle zobaczył ją i odskoczył w tył. Łopata wypadła mu z dłoni powoli, a on zaczął się cofać.

Zalegającą ciszę przeszył wrzask. Krzyk jednej z wieśniaczek, przenikliwy pisk starej, zabobonnej kobieciny, która gapiła się na coś, co powinno być świeżym truchłem Caitlin, a które wstało właśnie z grobu. Jej wrzaskom nie było końca.

Pozostali wieśniacy zareagowali różnie. Kilkoro odwróciło się i uciekło, popędziło co sił, by znaleźć się jak najdalej stąd. Inni zakryli usta dłońmi. Nie byli w stanie wykrzesać z siebie ani jednego słowa. Jednakże kilku innych, którzy trzymali pochodnie, na zmianę ogarniało przerażenie i gniew. Podeszli niepewnie kilka kroków do Caitlin. Widziała po ich minach i gospodarskich narzędziach, które unieśli w górę, że gotowali się do natarcia.

Gdzie ja jestem? zastanawiała się gorączkowo. *I kim są ci ludzie?*

Pomimo całego zamętu, była na tyle przytomna, żeby zorientować się, że musiała szybko działać.

Rozgarnęła stertę ziemi przygniatającą jej nogi, szaleńczo ją rozdrapując.

Ziemia była jednak mokra i ciężka, i szło jej to powoli. Przypomniało jej to chwilę spędzoną z bratem na plaży, kiedy zakopał ją w piachu po szyję. Nie była w stanie się poruszyć. Błagała go, by ją uwolnił, a on kazał jej tak leżeć przez kolejne kilka godzin.

Czuła się tak bardzo bezsilna, niczym w potrzasku i wbrew sobie zaczęła płakać. Zastanawiała się, gdzie podziały się jej wampirze siły. Czy znowu była tylko człowiekiem? Czuła się właśnie w ten sposób. Jak śmiertelniczka. Słaba.

Jak każdy człowiek.

Nagle ogarnął ją strach. Bardzo intensywna trwoga.

– Niech mi ktoś pomoże, proszę! – zawołała, próbując napotkać wzrok którejś ze stojących wokół kobiet, mając nadzieję, że znajdzie wśród nich życzliwą duszę.

Niestety. Nikt nie okazywał zrozumienia. Na ich twarzach gościły jedynie szok i strach.

I złość. Grupa mężczyzn z wysoko uniesionymi narzędziami skradała się do niej podejrzliwie. Nie zostało jej dużo czasu.

Spróbowała przemówić bezpośrednio do nich.

– Proszę! – krzyknęła. – To nie tak, jak myślicie! Nie zamierzam wyrządzić wam krzywdy. Proszę, nie róbcie mi nic złego! Pomóżcie mi wydostać się stąd!

Jej słowa zdały się jedynie ich ośmielić.

– Zabić wampira! – wrzasnął jakiś wieśniak. – Zabić ją jeszcze raz!

Jego krzyk spotkał się z entuzjastycznym rykiem pozostałych ludzi. Gawiedź

chciała jej śmierci.

Jeden z wieśniaków, najwidoczniej z tych odważniejszych, prymitywny drab zbliżył się do niej na odległość kilku stóp. Objął ją bezlitosnym, pełnym wściekłości spojrzeniem, po czym uniósł wysoko kilof. Caitlin widziała, że celował prosto w twarz.

– Tym razem umrzesz! – wrzasnął i wziął zamach.

Caitlin zamknęła oczy i skądś, z głębi ciała, wydobyła gniew. Pierwotny szal, który tkwił jeszcze gdzieś w jej duszy, który rozszedł się promieniście od stóp, przez ciało aż po cały tułów. Pałała żarem. Po prostu, to nie było w porządku, żeby umierać w ten sposób, żeby napadali na nią, kiedy była taka bezbronna. Nic im nie zrobiła. *To po prostu nie w porządku*, rozbrzmiewało echem w jej głowie, kiedy gniew sięgnął zenitu.

Wieśniak uderzył mocno, celując w twarz Caitlin, kiedy nagle poczuła przyływ tak potrzebnej w tej chwili siły. Wyskoczyła z ziemi i jednocześnie złapała kilof za uchwyt w połowie uderzenia.

Usłyszała okrzyk przerażenia, który wydarł się z tłumu – przestraszeni wieśniacy cofnęli się o kilka stóp. Nadal trzymając trzonek kilofa, Caitlin obejrzała się na draba. Wyraz jego twarzy zmienił się nagle w śmiertelne przerażenie. Zanim zdołał zareagować, wyrwała mu narzędzie z dłoni, odchyliła się i kopnęła go mocno w tors. Poleciał w tył na dobre dwadzieścia stóp i wylądował w tłumie wieśniaków, przewracając sobą kilkoro z nich na ziemię.

Caitlin uniosła kilof wysoko, podbiegła kilka kroków do ludzi i z najstraszliwszą miną, na jaką było ją stać, warknęła.

Przerażeni wieśniacy unieśli dłonie do twarzy i wrzasnęli. Niektórzy czmychnęli do lasu, inni, którzy pozostali na miejscu, skulili się ze strachu.

Właśnie takiego efektu się spodziewała. Wystraszyła ich wystarczająco mocno, by ich oszołomić. Wypuściła kilof z rąk i przebiegła tuż koło nich, po czym puściła się biegiem przez pole w stronę zachodzącego słońca.

Biegając, czekała, aż wróćą do niej jej wampirze moce, aż rozwiną się jej skrzydła i tak po prostu wzniesie się w powietrze i odleci daleko stąd.

Ale nie miała tyle szczęścia. Z jakiegoś powodu tak się nie stało.

Utraciłam je? zaczęła się zastanawiać. Znowu jestem zwykłym człowiekiem?

Biegła tempem normalnego człowieka i nie czuła nic na plecach, żadnych skrzydeł, bez względu na to, jak bardzo tego pragnęła. Czy była słaba i bezbronna jak oni wszyscy?

Zanim nadeszła odpowiedź, usłyszała za sobą jakąś wrzawę. Spojrzała ponad ramieniem i dostrzegła tłum wieśniaków – gonili

ją. Krzyczeli, potrzęsali pochodniami, narzędziami i kijami, podnosili z ziemi kamienie, wciąż gnając za nią.

Proszę, Boże, modliła się. Niech ten koszmar się skończy. Abym mogła zorientować się, gdzie jestem. Bym odzyskała siły.

Spuściła wzrok i po raz pierwszy zauważyła swój ubiór. Miała na sobie długą, wykwinną, czarną suknię, przepięknie haftowaną, która zakrywała ją od stóp po szyję. Nadawała się na jakąś oficjalną okazję – jak choćby pogrzeb – ale na pewno nie na szybki bieg. Materiał ograniczał jej kroki. Sięgnęła dłonią w dół

i rozdarła go na wysokości kolan. Nieco pomogło i pobiegła szybciej.

Lecz nadal biegła zbyt powoli. Czowała, jak ogarniało ją zmęczenie, a tłum za nią zdawał się pałać niewyczerpaną energią. Szybko ją doganiali.

Nagle poczuła coś ostrego z tyłu głowy i aż zatoczyła się z bólu. Potknęła się, poczuwszy uderzenie. Sięgnęła dłonią do miejsca promieniującego bólem.

Całą dłoń pokryła krew. Ktoś rzucił kamieniem.

Zauważyła kilka kolejnych kamieni przelatujących obok niej. Odwróciła się i zobaczyła, że to wieśniacy rzucali kamieniami w jej stronę. Któryś z nich trafił

ją w krzyż, wywołując niemiłosierny ból, aż nogi się pod nią ugięły. Gawieź

dzieliło od niej już tylko dwadzieścia stóp.

W oddali zauważyła strome wzgórze, na którym stał wielki, średniowieczny kościół oraz klasztor. Pobiegła w tym kierunku. Miała nadzieję, że jeśli uda się jej tam dotrzeć, być może znajdzie schronienie przed rozwścieczonymi ludźmi.

Kiedy jednak poczuła kolejne uderzenie w bark, zdała sobie sprawę, iż znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Kościół był nadal daleko, ona opadała z sił, a tłum był już zbyt blisko niej. Nie miała wyboru. Musiała odwrócić się i walczyć. *Jak na ironię*, pomyślała. Po tym wszystkim, przez co przeszła, po tych wszystkich wampirzych bitwach, nawet po tym, jak udało się jej przetrwać podróż w czasie, mogła skończyć martwa, zabita przez tłum wieśniaków.

Zatrzymała się w pół kroku, odwróciła i spojrzała na tłum. Jeśli miała umrzeć, to przynajmniej w trakcie walki.

Stanąwszy przed ludźmi, zamknęła oczy i odetchnęła. Skupiła uwagę, a cały świat wokół niej się zatrzymał. Czowała swoje bose stopy w trawie, przyrosłe do ziemi i z wolna, aczkolwiek na pewno poczuła wzbierającą w niej pierwotną

moc, która wypełniła całe jej ciało. Siłą woli przywołała wspomnienia; zmusiła się przypomnieć sobie gniew, swoją wrodzoną, pierwotną siłę. Kiedyś trenowała i walczyła, posiadając nadludzkie moce. Przywołała je teraz siłą woli. Czowała, że gdzieś, w jakiś sposób, nadal tkwiły w jej wnętrzu.

Kiedy tak stała i patrzyła, przypomniła sobie cały motłoch, wszystkich łobuzów i drani w swoim życiu. Pomyślała o matce, której szkoda było okazać Caitlin choćby odrobinę życzliwości; przypomniła sobie oprychów, którzy gonili ją i Sama alejkami Nowego Jorku. Pomyślała o tych draniach w Hudson Valley, koleżkach Sama. I przypomniła sobie swoje pierwsze spotkanie z Cainem na wyspie Pollepel. Wyglądało na to, że zawsze i wszędzie byli jacyś dranie. Ucieczka przed nimi nigdy nie wyszła jej na dobre. I tak, jak to zwykle robiła, i tym razem musiała stanąć do walki.

Rozpamiętując niesprawiedliwość panującą na świecie, poczuła, jak narasta w niej wzburzenie, jak krąży w jej ciele. Jak podwaja, a nawet potraja się intensywność jej gniewu, aż wezbrała nim każda jej żyła, a mięśnie niemal od niego nie pękły.

W tym właśnie momencie otoczył ją tłum. Jakiś wieśniak podniósł pałkę i zamachnął się w stronę jej głowy. Korzystając z dopiero co odkrytej w sobie mocy, w ostatniej chwili zdołała zrobić unik, schyliła się i przerzuciła człowieka przez ramię. Poleciał w powietrzu kilka stóp, po czym wylądował na plecach w trawie.

Kolejny mężczyzna zamachnął się na nią trzymanym w dłoni wielkim kamieniem, celując w jej głowę; jednak Caitlin chwyciła go za nadgarstek i wygięła ostro. Mężczyzna osunął się na ziemię z krzykiem.

Trzeci wieśniak natarł na nią z motyką, ale Caitlin była za szybka: odwróciła się na pięcie i chwyciła ją w pół uderzenia. Wyrwała narzędzie z rąk mężczyzny, zakreśliła nim w powietrzu i wyrzuciła człowieka w głowę.

Długa na sześć stóp motyka była dokładnie tym, czego było jej akurat trzeba.

Machała nią dokoła, powalając każdego w jej zasięgu. W kilka chwil odgrodziła się od wszystkich, zmuszając ich do pozostania

poza zasięgiem narzędzia.

Zauważyła, jak jeden z wieśniaków zamierzał właśnie rzucić w nią wielkim odłamkiem. Cisnęła motyką wprost w niego. Narzędzie uderzyło go w dłoń, wybijając z niej kamień.

Caitlin wbiegła w otumaniony tłum, wyrwała pochodnię z ręki jakiejś staruchy i zamachnęła się nią na oślepa. Zdołała podpalić część wysokiej, wysuszonej trawy i usłyszała krzyki wieśniaków, którzy cofnęli się nagle zdjęci trwogą. Kiedy ściana ognia podniosła się dostatecznie wysoko, Caitlin rzuciła pochodnię wprost w zebrany tłum. Poleciała w powietrzu i wylądowała na tylnej części tuniki jakiegoś mężczyzny, obejmując płomieniami zarówno jego, jak i stojącego obok człowieka. Ludzie szybko zebrali się wokół nich, by ugasić ogień.

Przysłuchali się tym samym Caitlin. W końcu ich uwaga skupiła się na czymś innym na tyle, by mogła znaleźć drogę ucieczki i wymknąć się im. Nie garnęła się do zadawania im bólu. Chciała jedynie, by zostawili ją w spokoju. Musiała złapać oddech, zorientować się w swoim położeniu.

Odwróciła się i puściła pędem w górę, w stronę leżącego na wzgórzu kościoła. Znalazłszy w sobie nową siłę i szybkość, w kilku susach pokonała odległość pozwalającą zostawić pościg daleko w tyle. Miała też nadzieję, że kościół będzie otwarty, i że ją wpuszczą do środka.

Zapał zmierzch. Biegła, wyczuwając pod bosymi stopami trawę. Wkrótce zauważyła kilka, rozpalanych na rynku i wzdłuż klasztornych murów, pochodni.

Kiedy zbliżyła się do nich, spostrzegła nocnego strażnika stojącego wysoko na blankach. Spojrzał w dół, na nią i na jego twarzy pojawił się strach. Uniósł

pochodnię nad głowę i wrzasnął: – Wampir! Wampir!

Natychmiast rozległo się bicie kościelnych dzwonów.

Caitlin ujrzała dziesiątki pochodni. Ni stąd, ni zowąd pojawili się ludzie.

Strażnik nie przestawał się wydzierać i do tego wciąż były kościelne dzwony.

Rozpoczęło się polowanie na czarownice. Wydawało się, że wszyscy biegli dokładnie w jej kierunku.

Caitlin przyspieszyła, biegnąc tak szybko, aż kości zawyły jej z bólu. Z

trudem łapiąc powietrze, w samą porę dotarła do dębowych, kościelnych drzwi.

Otworzyła jedno skrzydło szarpnięciem, wśliznęła się do środka i zatrzasnęła je za sobą z hukiem.

Rozejrzała się gorączkowo po wnętrzu i dostrzegła pasterską laskę. Chwyła ją natychmiast i przesunawszy przez obydwa skrzydła zatarasowała nią drzwi od środka.

W tej samej chwili usłyszała olbrzymi łomot dziesiątek rąk walących w drzewo po drugiej stronie. Drzwi zatrzęsły się, ale nie ustąpiły. Laska wytrzymała – przynajmniej jak dotąd.

Szybko rozejrzała się po pomieszczeniu. Kościół był na szczęście pusty. Był

ogromny. Jego strzelisty strop unosił się setki stóp nad głową. Panował tu chłód i pustka. Setki ław stały na marmurowej posadzce; na odległym końcu zaś, nad ołtarzem, płonęło kilka świec.

Kiedy tam spojrzała, mogłaby przysiąc, że dostrzegła jakiś ruch.

Walenie w drzwi narastało z każdą chwilą i dębowe podwoje zaczęły ponownie się trząść. Caitlin ruszyła z miejsca. Pobiegnęła wzdłuż nawy do ołtarza.

Kiedy tam dotarła, zauważyła, że miała rację: ktoś tam był.

Zobaczyła księdza, który klęczał w ciszy, odwrócony do niej plecami. Nie mogła zrozumieć, jak mógł pozostawać tak obojętny na krzyki, na jej obecność, jak mógł aż tak pogрузić się w modlitwie i to dokładnie w tej chwili. Miała nadzieję, że nie odda jej z powrotem w ręce tego tłumu.

– Witaj? – powiedziała.

Nie odwrócił się.

Podbiegła z drugiej strony i spojrzała mu w twarz. Był starszawym mężczyzną. Jego głowę pokrywała biała czupryna. Był ogolony, a jego jasnoblękitne oczy wydawały się zapatrzone we wszechświat, kiedy tak klęczał i się modlił. Nawet nie zadał sobie trudu, by na nią spojrzeć. Było w nim coś jeszcze, co Caitlin natychmiast wyczuła.

Będąc w takim stanie, potrafiła wyczuć w nim jakąś różnicę.

Wiedziała, że był tego samego rodzaju, co ona. Że był

wampirem.

Walenie zabrzmiało jeszcze głośniej. Jeden z zawiasów pękł i Caitlin spojrzała na drzwi z trwogą. Gawieź wydawała się zdecydowana, a ona nie wiedziała, gdzie indziej mogłaby pójść.

– Pomóż mi, proszę! – ponagliła księdza.

Modlił się dalej przez kilka chwil. W końcu, nawet na nią nie spojrzawszy, powiedział:

– Jak mogą zabić to, co już martwe?

Usłyszała charakterystyczny dźwięk rozłupującego się drewna.

– Proszę – ponaglała. – Nie oddawaj mnie im.

Wstał powoli, spokojny i opanowany i wskazał na ołtarz.

– Tam – powiedział. – Za kotarą. Klapa w podłodze. Szybko!

Spojrzała we wskazanym kierunku, ale dostrzegła jedynie ogromne podwyższenie pokryte atlasową tkaniną. Podbiegła tam, odchyliła płótno i ujrzała drzwi. Podniosła je i wcisnęła się do wnętrza.

Cisnąc się w środku skrytki, wyjrzała przez szczelinę. Widziała, jak ksiądz pospieszył do bocznych drzwi i otworzył je kopniakiem z zadziwiającą siłą.

W tej samej chwili, kościelne drzwi zostały powalone przez tłum, który wpadł do środka i zaczął biec wzdłuż nawy.

Caitlin zasłoniła szybko kotarę na całej długości. Miała nadzieję, że jej nie zauważą. Obserwowała wszystko przez szczelinę. Jak tłum pędził w jej kierunku, jakby wiedział.

– Tędy! – wrzasnął ksiądz. – Tam uciekł wampir!

Wskazał na boczne drzwi i tłum ruszył pędem, omijając go, z powrotem w mroczną noc.

Po kilku sekundach, niekończący się potok ciał opuścił kościół i wszystko na powrót ucichło.

Ksiądz zamknął drzwi i zaryglował je za ludźmi.

Usłyszała jego kroki, kiedy podszedł do niej. Trzęsąc się ze strachu i z zimna, powoli otworzyła klapę.

Odsunął kotarę i spojrział na nią.

Podał jej dłoń.

– Caitlin – powiedział i uśmiechnął się. – Długo na ciebie czekaliśmy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rzym, 1790

Spowity mrokiem Kyle, oddychał ciężko. Niewiele rzeczy nienawidził tak bardzo, jak ciasnych i dusznych miejsc. Kiedy podniósł dłoń w ciemności i poczuł otaczający go kamień, oblał się potem. Był w pułapce. Nic gorszego nie mogło go spotkać.

Przesunął dłoń, zacisnął pięść i wyciągniętym kciukiem wybił w kamieniu dziurę. Posypały się odłamki, a Kyle zasłonił oczy przed dziennym światłem.

Jeśli było cokolwiek, co mogło rozsierdzić go bardziej niż utknięcie w pułapce, to z pewnością było to nagłe i bezpośrednie wystawienie się na światło słoneczne, zwłaszcza, kiedy nie miał na skórze ochronnego okładu. Szybko przeskoczył nad gruzami i ukrył się za murem.

Odetchnął głęboko i rozejrzał się po okolicy zdezorientowany. Stał z oczu kurz. Właśnie tego nienawidził w podróży w czasie: nigdy nie wiedział, gdzie wypłynie, gdzie się pojawi. Od wieków już tego nie próbował, a i tym razem nie zdecydowałby się, gdyby nie Caitlin będąca mu wiecznie solą w oku.

Nie minęło wiele czasu po tym, jak opuściła Nowy Jork, kiedy Kyle zorientował się, że jego wojna tylko po części skończyła się zwycięstwem. Tak długo, jak Caitlin była na wolności, na tropie Tarczy, Kyle wiedział, że nie może spocząć. Stał u progu zwycięstwa, zniewolenia całego rodzaju ludzkiego i zostania jedynym przywódcą jego własnej rasy. Lecz teraz powstrzymywała go to mała, żalonna dziewczyna. Tak długo jak Tarcza pozostawała w zasięgu praktycznie każdego, nie mógł objąć władzy absolutnej. Nie miał wyboru.

Musiał wysledzić ją i zabić. I jeśli oznaczało to podróż w czasie, właśnie to miał

zamiar uczynić.

Oddychając ciężko, sięgnął po maść i posmarował ramiona, szyję i tors.

Rozejrzał się wokoło i zorientował się, że był w jakimś mauzoleum. Wyglądało na rzymskie, sądząc po oznaczeniach. *Rzym*.

Nie był tutaj od lat. Rozbijając marmur, wzbił tuman kurzu, który zawisł

ciężko w powietrzu i zasłaniał większość widoku. Wziął głęboki oddech, zebrał

siły i skierował się na zewnątrz.

Miał rację: to był Rzym. Rozejrzał się, dostrzegł typowe włoskie cyprysy i wiedział, że nie mógł być nigdzie indziej. Uświadomił sobie, że stoi na szczycie rzymskiego forum, wśród zielonych traw, pagórków, dolin i niszczących pomników ciągnących się przed nim po łagodnym zboczu. Widok ten przywołał

wspomnienia. Wielu ludzi pozbawił w tym miejscu życia, dawniej, kiedy jeszcze z niego korzystano. Sam niemal tu zginął. Uśmiechnął się, kiedy o tym pomyślał. Było to jedno z jego ulubionych miejsc.

I idealnie nadawało się na kres podróży w czasie. Niedaleko stał Panteon. W

kilka minut mógł stawić się przed Wielką Radą Rzymską, najpotężniejszym klanem, i uzyskać wszystkie odpowiedzi, które tak bardzo pragnął usłyszeć.

Wkrótce miał dowiedzieć się, gdzie przebywa Caitlin, i jeśli wszystko ułożyłoby się dobrze, otrzymać zgodę na jej zabicie.

Niekoniecznie jej potrzebował. Była to kwestia uprzejmości, etykiety wampirów, spuścizny tysiącletniej tradycji. Zawsze oczekiwano zgody na zabicie kogokolwiek na terytorium podległym danej osobie.

Gdyby odmówili, nie wycofałby się ani na jotę. Mógł utrudnić sobie tym życie, ale miał zamiar zabić każdego, kto stanie na jego drodze.

Oddychał głęboko rzymskim powietrzem i czuł się jak w domu. Zbyt wiele czasu minęło, od kiedy był tu po raz ostatni. Utknął zbyt wiele w sprawach związanych z Nowym Jorkiem, w polityce, w nowoczesnych czasach i miejscach. To tutaj było bardziej w jego stylu. W oddali dostrzegł konie, polne drogi i zgadywał, że najprawdopodobniej trafił do osiemnastego wieku. Idealnie.

Rzym był już miastem, lecz wciąż jeszcze dziewiczym, mającym przed sobą dwieście lat doganiania reszty.

Kyle przyjrzał się sobie uważnie i stwierdził, że przetrwał podróż do przeszłości w całkiem dobrym stanie. Zdarzało się, że wychodził z tych podróży cały poobijany i potrzebował wiele czasu na dojście do siebie. Ale nie tym razem. Czuł się silniejszy, niż kiedykolwiek przedtem. Był gotowy do drogi.

Czuł, że jego skrzydła mogły rozwinąć się w każdej chwili, że mógł polecieć wprost do Panteonu, gdyby tylko zechciał i wprowadzić swój plan w życie.

Jednak nie był do końca gotowy. Nie miał wakacji od dłuższego czasu i, powróciwszy tu, czuł się dobrze. Chciał trochę pozwiedzać, zobaczyć i przypomnieć sobie jak to jest być tutaj.

W kilku susach zbiegł ze wzgórza z oszałamiającą prędkością. Nie minęła sekunda, kiedy opuścił forum i znalazł się na tętniących życiem, zatłoczonych ulicach Rzymu.

Nie mógł się nadziwić, że nawet dwieście lat wcześniej mogło być tu tak tłoczno, jak zwykle w Rzymie.

Spowolnił tempo i wtopił się w tłum, idąc wraz z ludźmi. A była ich cała masa. Szeroki bulwar nadal przykrywała ziemia. Tysiące ludzi kroczyło po nim, zmierzając w różne strony. Były też konie wszelakiej maści i rodzaju zaprzężone do wozów, fur i karet. Ulice cuchnęły ludzkim potem i końskim łajnem.

Wszystko powoli do niego wracało, brak kanalizacji, brak łaźni – smród dawnych czasów. Aż zrobiło mu się od tego niedobrze.

Czuł, jak ludzie popychają go we wszystkie strony, jak tłumy gęstnieją, wypełniając się ludźmi wszelkiego pochodzenia, spieszącymi tam i z powrotem.

Nie mógł nadziwić się prymitywnym, sklepowym witrynom, sprzedającym staromodne włoskie kapelusze. Zachwycił się widokiem chłopców ubranych w łachmany, podbiegających do niego, by sprzedać mu trzymane w dłoni cząstki owoców. Niektóre rzeczy w ogóle się nie zmieniały.

Skreślił w wąską, obskurną alejkę, którą tak dobrze pamiętał, mając nadzieję, że wciąż była taka sama, jak niegdyś. Z przyjemnością stwierdził, że się nie zmieniła: przed nim stały dziesiątki prostytutek, opierając się o mury i nawołując go, kiedy przechodził obok.

Uśmiechnął się szeroko.

Kiedy podszedł do jednej – wielkiej, piersiastej kobiety z barwionymi na rudo włosami i przesadnym makijażem – sięgnęła dłonią w jego stronę i pogłaskała go po twarzy.

– Witaj chłoptasiu – powiedziała – szukasz przygody? Ile masz przy sobie?

Kyle uśmiechnął się, objął ją ramieniem i ruszył razem z nią w boczną alejkę.

Poszła z nim z ochotą.

Kiedy tylko minęli róg, kobieta powiedziała:

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Ile masz...

Zadała pytanie, którego nigdy nie dane było jej dokończyć.

Zanim skończyła mówić, Kyle zatopił kły głęboko w jej szyi.

Próbowała krzyknąć, ale szczelnie zasłonił jej usta wolną ręką i przyciągnął

bliżej do siebie. I pił. I pił. Czuł, jak ludzka krew rozchodzi się w jego żyłach, czuł prawdziwe upojenie. Jeszcze przed chwilą czuł się wysuszony, odwodniony.

Podróż w czasie wyczerpała go i dokładnie tego było mu trzeba, by odzyskać świetny nastrój.

Czuł jak jej ciało wiotczeje, ale pił nadal, wysysał coraz więcej i więcej, prawdopodobnie więcej, niż było mu trzeba. W końcu, poczuwszy całkowitą sytość, upuścił jej zwiędłe ciało na ziemię.

Kiedy odwrócił się i miał już wyjść z alejki, podszedł do niego ogromny mężczyzna, nieogolony i bez jednego zęba. Wydobyl sztylet zza pasa.

Spojrzał na martwą kobietę, po czym podniósł wzrok na Kyle'a i skrzywił

się na twarzy.

– Była moja własnością – powiedział. – Lepiej, żeby było cię na to stać.

Zrobił dwa kroki w stronę Kyle'a, po czym runął na niego ze sztyletem.

Kyle z łatwością uniknął ciosu, korzystając ze swego błyskawicznego refleksu. Chwycił nadgarstek mężczyzny i jednym ruchem pociągnął go w tył, łamiąc mu rękę w połowie. Człowiek wrzasnął, ale nie zdążył dokończyć. Kyle wyrwał mu sztylet z dłoni i tym samym ruchem podciął mu gardło. Pozwolił, by jego martwe ciało osunęło się na ulicę.

Spojrzał na sztylet, misternie wykonany niewielki przedmiot z trzonkiem z kości słoniowej i skinał głową. Nawet w połowie nie było tak źle. Wsunął sztylet za pas i grzbietem dłoni starł krew z ust.

Odetchnął głęboko. Nareszcie zadowolony ruszył alejką z powrotem na ulicę.

Ach! Jakże tęsknił za Rzymem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Caitlin ruszyła za księdzem wzdłuż nawy, kiedy skończył ryglować frontowe drzwi i zamykać wszystkie inne wejścia do kościoła. Słońce zaszło już i ksiądz zapalał pochodnie, odsłaniając po kolei coraz większą przestrzeń budowli.

Caitlin podniosła wzrok i dostrzegła liczne wielkie krzyże. Zastanawiała się, dlaczego czuła się tu tak beztrosko. Czy wampiry nie powinny przypadkiem obawiać się kościołów? Krzyży? Przypomniała sobie dom Białego Klanu w nowojorskim Cloisters i krzyże wiszące na tamtejszych murach. Caleb powiedział jej kiedyś, że niektóre rasy wampirów utożsamiały się z kościołami.

Uraczył ją przydługą przemową o historii wampirzej rasy i jej związku z chrześcijaństwem, lecz nie słuchała go zbyt dokładnie. Była w nim wówczas zanadto zakochana. I teraz tego pożałowała.

Ksiądz poprowadził ją bocznymi drzwiami, po czym skierowali się w dół po kamiennych schodach. Kiedy szli zwieńczonym łukiem, średniowiecznym korytarzem, ksiądz rozpałał kolejne pochodnie.

– Myślę, że nie wrócą – powiedział, ryglując za sobą kolejne drzwi.

Przeczesa całą okolicę szukając ciebie, a kiedy nic nie znajdą, wrócą do swoich domów. Zawsze tak robią.

Caitlin czuła się bezpiecznie i była niezmiernie wdzięczna za okazaną jej pomoc. Zastanawiała się, z jakiego powodu jej pomógł, dlaczego naraził własne życie dla niej.

– Gdyż jesteśmy tej samej rasy – powiedział, odwróciwszy się i popatrzawszy wprost na nią, przeszywając ją spojrzeniem błękitnych oczu.

Caitlin zawsze zapominała, jak łatwo przychodziło wampirom odczytywać czyjeś myśli. W tej akurat chwili zapomniała, że był jednym z nich.

– Nie wszyscy obawiamy się kościołów – powiedział, kolejny raz odpowiadając na jej myśli. – Wiesz, że nasza rasa dzieli się na wiele odłamów.

Nasz – życzliwy rodzaj – potrzebuje kościołów. Dzięki nim, rozwijamy skrzydła.

Minęli kolejny korytarz, zeszli po kilku następnych stopniach, a Caitlin zastanawiała się, gdzie ją prowadził. Tyle pytań cisnęło się jej do głowy, że nie wiedziała, od czego zacząć.

– Co to za miejsce? – spytała i natychmiast zdała sobie sprawę, że były to jej pierwsze słowa skierowane do niego od momentu, kiedy się spotkali. Potem załała go potokiem pospiesznie zadawanych pytań. – Jaki kraj? Który mamy rok?

Uśmiechnął się, idąc dalej, a jego twarz pokrywały liczne, podyktowane wiekiem zmarszczki. Był niskim, chuderlawym mężczyzną, o zbieleńszych włosach, świeżo ogolonej twarzy i wyglądzie ukochanego dziadka. Nosił

misternie wyszywany strój księdza i wyglądał w istocie staro, nawet jak na wampira. Zastanawiała się, ile to już wieków spędził na tym ziemskim padole.

Wyczuwała emanującą od niego życzliwość i ciepło. I czuła się przy nim nadzwyczaj swobodnie.

– Tyle pytań – powiedział w końcu z uśmiechem. – Rozumiem. Dla ciebie to duże przeżycie. Cóż, zacznijmy od tego, że jesteś w Umbrii. W niewielkim mieście zwanym Asyż.

Zaczęła łamać sobie głowę, próbując rozgryźć, gdzie to może być.

– We Włoszech? – spytała.

– Tak, w przyszłości tereny te będą częścią kraju zwanego Włochami –

powiedział. – Ale nie obecnie. Nadal zachowujemy niepodległość. Pamiętaj –

uśmiechnął się – że to już nie jest dwudziesty pierwszy wiek, jak może odgadnąć po strojach i zachowaniu tych wieśniaków.

– Który to rok? – spytała cicho, niemalże obawiając się odpowiedzi. Jej serce zabiło szybciej.

– Trafiłaś do osiemnastego wieku – odparł. – A dokładniej: do roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego.

Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty. Asyż. Umbria. Włochy.

Myśl ta poruszyła ją do głębi. To wszystko wydawało się takie nierealne, jak ze snu. Z ledwością potrafiła uwierzyć, że to działa się naprawdę, że rzeczywiście, faktycznie trafiła *tutaj*, do tego miejsca i czasu. Że podróż w czasie istotnie wypaliła.

Poczuła też niewielką ulgę: ze wszystkich miejsc i dat, w których mogła wylądować, Włochy w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym nie rokowały aż tak źle. W porównaniu na przykład z czasami prehistorycznymi.

– Dlaczego tamci ludzie próbowali mnie zabić? I kim ty jesteś?

– Pomimo wszelkich naszych zabiegów, te czasy nadal trąca nieco prostactwem i zabobonem – odparł. – Nawet w okresie takiego zbytku i dekadencji, a jakże, znajdują się setki aroganckich plebejuszy, którzy będą żyć w ciągłym strachu przed nami.

– Zrozum, to niewielkie, górskie miasteczko, jakim jest Asyż, od zawsze było bastionem naszego rodzaju. Wampiry często tu przybywają. Od zawsze.

Nasz rodzaj karmi się wyłącznie ich inwentarzem. Mimo to, z czasem, przykuliśmy uwagę wieśniaków.

– Czasami wypatrzą jednego z nas. Kiedy już do tego dojdzie, sytuacja staje się nie do przyjęcia. Dlatego od czasu do czasu pozwalamy im grzebać

niektórych z nas. Pozwalamy im odprawić te ich śmieszne, ludzkie obrządki, pozwalamy, by myśleli, że się nas pozbyli. A kiedy nie patrzą, wstajemy i wracamy do swoich spraw.

– Czasami jednak jakiś wampir wstanie za wcześnie, lub też ktoś przyuważy, jak ten powstaje z grobu. Wówczas zbiega się motłoch. Ale wzburzenie mija.

Zawsze tak jest. Niepotrzebnie zwraca to uwagę na nasz rodzaj, ale tylko chwilowo.

– Przepraszam – powiedziała Caitlin, czując się z tego powodu źle.

– Nie przejmuj się – odparł. – To była twoja pierwsza podróż w czasie. Nie potrafiłaś nad tym zapanować. Do tego trzeba trochę się przyzwyczaić. Nawet najlepsi z nas nie potrafią za dobrze kontrolować wynurzenia. Ciężko jest za każdym razem przewidzieć dokładnie, kiedy i gdzie wylądujesz. Tobie poszło dobrze – powiedział i delikatnie objął jej dłoń.

Minęli kolejny korytarz, tym razem z nisko sklepieniem.

– Poza tym, aż tak źle ci nie poszło – dodał. – Jak by nie było, wiedziałaś, żeby tutaj skierować kroki.

Caitlin przypomniała sobie ten moment, kiedy pędząc przez pole, zauważyła kościół.

– Po prostu logicznie było udać się właśnie do niego – odparła. –
Był

pierwszym budynkiem, który rzucił mi się w oczy i wyglądał na
twierdzę.

Uśmiechnął się, potrząsając głową.

– W świecie wampirów nie istnieje coś takiego jak zbieg
okoliczności –

powiedział. – Wszystko dzieje się z przeznaczenia. Budowla, która
tobie wyda się bezpieczną, komuś innemu może wydać się wątła.
Nie, wybrałaś to miejsce nie bez powodu. Szczególnego powodu. I
zostałaś do mnie sprowadzona.

– Ale ty jesteś księdzem.

Potrząsnął głową nieznacznie

. – Jeszcze jesteś młoda, bardzo młoda i nadal wiele przed tobą
nauki. Mamy własną religię, własne wyznanie. Nie różni się zbyt
od kościelnego. Można być wampirem i w dalszym ciągu
uczestniczyć w życiu religijnym. Zwłaszcza będąc takim jak my. Ja
służę nawet pomocą ludziom w ich codziennym życiu duchowym.
Wszak korzystam z dobrodziejstw mądrości zdobytej w trakcie
tysięcy lat przebywania na tej planecie – w przeciwieństwie do
ludzkich księży.

Na szczęście ludzie nie mają pojęcia, że nie jestem jednym z nich.
Wiedzą jedynie, że jestem miejskim klechą, i że zawsze nim byłem.

Caitlin rozmyślała gorączkowo, próbując pogodzić jakoś te fakty.
Postać wampirzego księdza wydała jej się paradoksalna. A pomyśl,
że istniała jakaś wampirza religia i to w obrębie kościelnych murów
był co najmniej dziwny.

Pomimo tego, jak fascynujące były te wszystkie wieści, jedyna
rzecz, której chciała się dowiedzieć nie dotyczyła wampirów, czy też
kościółów lub religii.

Chciała usłyszeć o Calebie. Czy przetrwał podróż? Czy żył? I gdzie
był?

Chciała też rozpaczliwie dowiedzieć się o swym dziecku. Czy była
wciąż brzemienna? Czy i dziecko przeżyło tę podróż?

Skupiła myśli na tych pytaniach, mając nadzieję, że ksiądz
podchwyci temat i odpowie jej na nie.

Ale nie zrobił tego.

Wiedziała, że usłyszał jej myśli i świadomie na nie nie zareagował.
Zmuszał

ją do tego, aby wypowiedziała je na głos. A przecież obawiała się zadać te pytania i on prawdopodobnie o tym wiedział.

– Co z Calebem? – spytała w końcu trzęsącym się głosem. Była zbyt podenerwowana, aby spytać o dziecko.

Obejrzał się na nią. Zauważyła, jak jego uśmiech zbladł, jak przez jego twarz przemknął ledwie zauważalny grymas.

Jej serce stanęło.

Proszę, pomyślala . Proszę, niech to nie będą złe wieści.

– Niektórych rzeczy będziesz musiała dowiedzieć się sama – powiedział

powoli. – O niektórych nie mnie jest rozprawiać. Tę podróż musisz podjąć sama.

Tylko i wyłącznie sama.

– Ale jest tu? – spytała z nadzieją w głosie. – Czy udało mu się?

Idąc u jej boku, ksiądz zacisnął wargi. Pozwolił, by jej pytania zawisły w powietrzu i pozostały bez odpowiedzi przez chwilę, która zdawała się trwać całą wieczność.

W końcu stanęli przed kolejnymi schodami. Ksiądz odwrócił się i spojrzał na nią.

– Chciałbym móc powiedzieć ci więcej – powiedział. – Naprawdę.

Po czym odwrócił się, wzniosł przed sobą pochodnię i ruszył w dół po kolejnych stopniach.

Weszli do długiego, podziemnego korytarza, którego sklepienie pokrywały wymyślnie zaprojektowane złocenia. Były w całości pokryte freskami o jaskrawych barwach, między którymi rozmieszczono łuki, również zdobione złotem. Strop lśnił.

Podłoga również. Pokryta pięknym, różowym marmurem, który wyglądał

jak świeżo umyty. Podziemne kondygnacje kościoła były olśniewające.

Wyglądały jak antyczny skarbiec.

– No! No! – Caitlin usłyszała nagle własne na głos wypowiedziane słowa. –

Co to za miejsce?

– To miejsce cudów. Jesteś w kościele świętego Franciszka z Asyżu.

Będącego zarazem miejscem jego wiecznego spoczynku. To wielce święte miejsce dla naszej religii. Zarówno ludzie jak i wampiry przybywają tu z pielgrzymką z odległych o tysiące mil miejsc tylko po to, aby tu pobyc przez chwilę. Franciszek był patronem zwierząt i wszystkich żywych stworzeń -poza rodzajem ludzkim – włączając w to nas. Powiadają, że dochodzi tu do cudów.

Chroni nas tu jego moc.

– Nie wylądowałaś tu przez przypadek – ciągnął dalej. – To miejsce jest twoim portalem. Jakby odskocznia, z której wyruszysz w swoją podróż, swoją *własną* pielgrzymkę.

Odwrocił się i zmierzył ją wzrokiem.

– W dalszym ciągu nie zauważasz – powiedział – że to twoja podróż.

Niektóre pielgrzymki ciągną się latami i wymagają pokonania wielu mil.

Caitlin zaczęła o tym rozmyślać. Przytłaczało ją to wszystko. Nie chciała wyruszać w żadne podróże, chciała wrócić do domu, być razem z Calebem; cali i zdrowi w dwudziestym pierwszym wieku, pozostawiając ten cały koszmar daleko za sobą. Była zmęczona ciągłymi zmianami miejsca, ciągłym uciekaniem, niekończącymi się poszukiwaniami. Tęskniła jedynie za normalnym życiem, życiem nastoletniej dziewczyny.

Ale powstrzymała się od dalszego myślenia w ten sposób.

Wiedziała, że w niczym to jej nie pomoże. Zaszły zmiany – trwałe i nieodwołalne – i już nic nie będzie takie samo. Przypomniała sobie, że teraz zmiana była normą. Nie była już tą samą, dawną, zwyczajną, ludzką Caitlin. Była starsza. Mądrzejsza. I czy jej się to podobało, czy nie, miała wyjątkową misję do wypełnienia. Musiała to po prostu zaakceptować.

– Gdzie wiedzie moja pielgrzymka? – spytała. – Jakie jest moje przeznaczenie? Dokąd właściwie zmierzam?

Zaprowadził ją na tyły ostatniego korytarza, gdzie stanęli przed wielkim, misternie zdobionym grobowcem.

Czuła emanującą z niego energię i w jednej chwili uświadomiła sobie, że był

to grób świętego Franciszka. Czują, że samo stanie obok niego przywracało jej siły, sprawiało, że była coraz silniejsza, że na powrót stawiała się sobą. Kolejny raz zastanawiała się, czy trafiła tu jako człowiek, czy jako wampir. Brakowało jej bardzo własnych mocy.

– Tak, nadal jesteś wampirem – powiedział. – Nie martw się. Trochę czasu upłynie zanim z powrotem będziesz sobą.

Z zakłopotaniem stwierdziła, że znowu zapomniała kryć się ze swymi myślami, jednak jego słowa pocieszyły ją.

– Jesteś bardzo wyjątkową osobą, Caitlin – powiedział. – Bardzo potrzebną naszej rasie. Bez ciebie, ośmieliłbym się nawet powiedzieć, że całej naszej rasie, jak i całemu rodzajowi ludzkiemu groziłoby całkowite wyginięcie.

Potrzebujemy ciebie. Potrzebujemy twojej pomocy.

– Ale co takiego miałabym zrobić? – spytała.

– Chcemy, abyś odszukała Tarczę. Aby to zrobić, będziesz musiała odszukać swego ojca. On i tylko on ma do niej dostęp. Natomiast, żeby go znaleźć, będziesz musiała odszukać swój klan. Swój *prawdziwy* klan.

– Ale ja nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć – powiedziała. – Nawet nie wiem, dlaczego akurat tutaj trafiłam, do tego miejsca i czasu. Dlaczego Włochy?

Dlaczego rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty.

– Będziesz musiała sama poszukać odpowiedzi na te pytania. Ale zapewniam cię, że istnieją naprawdę poważne przesłanki, dla których wróciłaś do tego życia. By spotkać wyjątkowe osoby. Wykonać określone zadania. Oraz żeby to miejsce i czas doprowadziły cię do Tarczy.

Caitlin zamyśliła się.

– Ale nie mam pojęcia, gdzie jest mój ociec. Nie mam pojęcia, gdzie zacząć go szukać.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

– Ależ oczywiście, że wiesz – odparł. – I to jest twoim problemem. Nie ufasz swojej intuicji. Musisz nauczyć się szukać głęboko w swojej duszy.

Spróbuj. Zamknij oczy i oddychaj głęboko.

Zrobiła tak, jak jej kazał.

– Zapytaj samą siebie: dokąd mam teraz się udać?

Caitlin zrobiła, jak powiedział, łamiąc sobie głowę. Nic się nie wydarzyło.

– Wsłuchaj się w dźwięk swego oddechu. Uwolnij umysł.

Kiedy postąpiła zgodnie z jego słowami, kiedy skupiła się naprawdę i rozluźniła, w jej umyśle zaczęły pojawiać się obrazy. W końcu otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Widzę dwa miejsca – powiedziała. – Florencję i Wenecję.

– Tak – powiedział. – Bardzo dobrze.

– Mam jednak mętlik w głowie. Gdzie mam iść?

– Kiedy podróżujesz, złe wybory nie istnieją. Każda ścieżka prowadzi po prostu do innego miejsca. A wybór należy do ciebie. Twoje przeznaczenie jest bardzo silne, ale posiadasz też wolną wolę. Możesz wybrać, za każdym razem.

Teraz na przykład, masz przed sobą zasadniczy wybór. We Florencji wypełnisz swoje obowiązki, przybliżysz się do Tarczy. Tego od ciebie potrzebujemy. W

Wenecji zaś załatwisz swoje sercowe sprawy. Będziesz musiała wybrać między twoją misją a twoim sercem.

Poczuła, jak jej serce zabiło mocniej.

Sprawy sercowe. Czy to oznaczało, że Caleb był w Wenecji?

Czuła, jak jej serce ciągnęło do Wenecji. Rozum jednak dyktował, że to we Florencji powinna się pojawić i spełnić pokładane w niej nadzieje.

Czuła się wewnętrznie rozdarta.

– Jesteś już dorosłą kobietą – powiedział. – Wybór należy do ciebie. Jeśli jednak podążysz za sercem, czeka cię zawód – ostrzegł. – Sercowy szlak nigdy nie należał do łatwych. Ani przewidywalnych.

– Jestem taka skołowana – odparła.

– Najlepiej idzie nam we śnie – powiedział. – Tu obok jest klasztor. Możesz przespać się tam w nocy, odpocząć i rano zdecydujesz. Do tego czasu odzyskasz pełnię sił.

– Dziękuję – powiedziała i sięgnęła po jego dłoń.

Odwrócił się, chcąc już odejść i w tej chwili jej serce zabiło mocniej.

Musiała zadać mu jeszcze jedno pytanie, najważniejsze ze wszystkich. Po części bała się je wymówić. Zaczęła się trząść. Otworzyła usta, żeby przemówić, ale zaschło jej w gardle.

Odchodził korytarzem i kiedy niemal znikł, Caitlin zdobyła się na odwagę.

– Czekaj! – krzyknęła. A potem cichym głosem dodała: – Proszę, mam jeszcze jedno pytanie.

– Zatrzymał się w miejscu, lecz pozostał odwrócony do niej tyłem. Dziwne, ale nie odwrócił się, jakby wyczuł, o co chciała go zapytać.

– Moje dziecko – powiedziała cichym, trzęsącym się głosem. – Czy... jest...

czy udało mu się? Przeżyć podróż? Czy nadal jestem w ciąży?

Odwrócił się powoli i zmierzył ją wzrokiem. Po czym spuścił oczy.

– Przykro mi – powiedział w końcu tak cicho, że nie była pewna, czy dobrze usłyszała. – Cofnął się w czasie. Dzieci mogą tylko podążać z jego biegiem.

Twoje dziecko żyje, ale nie w obecnych czasach. Jedynie w przyszłości.

– Ale... - zaczęła, trzęsąc się cała. – Sądziłam, że wampiry mogą podróżować jedynie w przeszłość. Nie w przyszłość.

– To prawda – powiedział. – Obawiam się jednak, że twoje dziecko żyje bez ciebie w jakimś innym miejscu i czasie. Ponownie spuścił wzrok. – Tak mi przykro – dodał.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

A Caitlin poczuła, jakby ktoś przeszył jej serce sztyletem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Caitlin siedziała w surowej izbie franciszkańskiego klasztoru, spoglądając w mrok przez otwarte okno. W końcu przestała płakać. Upłynęły długie godziny od jej rozstania z księdzem, od chwili, kiedy dowiedziała się o utraconym dziecku.

Nie była w stanie powstrzymać łez, ani przestać myśleć o życiu, jakie ją teraz czekało. Zbyt wiele bólu się z tym wiązało.

Po wielu godzinach wypłakała się jednak na tyle, że o jej smutku świadczyły jedynie wyschnięte łzy na policzkach. Wyjrzała przez okno, próbując oderwać od niego myśli. Odetchnęła głęboko.

Umbryjski krajobraz rozciągał się po widnokrąg, a z miejsca, w którym się znajdowała, wysoko na wzgórzu, widziała rozległe wzniesienia Asyżu. Na niebie wznosił się stojący w nowiu księżyc, rzucający dość światła, by mogła się przekonać, jak niezwykle piękny widok miała przed sobą. Widziała niewielkie, wiejskie chaty znaczące krajobraz plamkami, dym unoszący się z ich kominów i odczuła od razu, że był to jeden ze spokojniejszych okresów w historii.

Odwróciła się i rozejrzała po niewielkim pokoju, rozświetlonym blaskiem księżycy i jedną świecą płonąca na ściennym lichtarzyku. Całe pomieszczenie wykonane było z kamienia, a jedyną rzeczą tutaj było proste łóżko stojące w rogu. Nie mogła się nadziwić, że chyba było jej przeznaczone za każdym razem lądować w klasztorze. To miejsce w żadnej mierze nie przypominało Pollepel, a jednak ta niewielka, średniowieczna cela przywodziła jej na myśl tę, w której mieszkała na wyspie. Jakby była zaprojektowana do przywoływania wspomnień.

Przyjrzała się gładkiej, kamiennej podłodze i zauważyła tuż przy oknie dwa niewielkie odciski oddalone od siebie o kilka cali, jakby wgłębienia po kolanach.

Zastanawiała się, ile zakonnic modliło się tu, klęcząc pod oknem. Ta izba była świadkiem prawdopodobnie setek lat modłów.

Podeszła do małego łóżka i położyła się. Była to zaledwie kamienna płyta, pokryta najmniejszą możliwą ilością słomy. Próbowała zająć wygodną pozycję, obracając się na bok – i wówczas coś poczuła. Sięgnęła ręką i wydobyła to. I uświadomiła sobie z radością, że był to jej dziennik.

Podniosła do góry szczęśliwa, że ma go przy sobie. Był jej starym, zaufanym przyjacielem, jej jedyną rzeczą, która wydawała się przetrwać podróż w czasie.

Trzymając go, tę prawdziwą, namacalną rzecz, zdała sobie sprawę, że to wszystko nie było jednak snem. Naprawdę tu była. I wszystko, co się stało, było rzeczywiste.

Z jego stronic wyśliznął się i wylądował na jej kolanach nowoczesny długopis. Podniosła go i przyjrzała z namysłem.

O tak, postanowiła. Właśnie tego było jej trzeba. Musiała zająć się pisaniem.

Przetworzyć to wszystko, co wydarzyło się tak szybko, że nie miała nawet czasu złapać tchu. Musiała odtworzyć to wszystko jeszcze raz

w swojej głowie, wrócić myślami do przeszłości i przypomnieć sobie. Jak się tu znalazła? Co się stało?

Gdzie zmierzała?

Nie była pewna, czy sama знаła jeszcze odpowiedzi. Ale pisząc, miała nadzieję, że sobie przypomni.

Przewróciła kruche stronice, aż dotarła do pustego miejsca. Wyprostowała się na łóżku, oparła o ścianę, przyciągnęła kolana do piersi i zaczęła pisać.

*

Jak ja się tutaj znalazłam? W Asyżu? We Włoszech? W roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym? Z jednej strony, wydaje się, że jeszcze niedawno byłam w dwudziestym pierwszym wieku, w Nowym Jorku, wiodąc życie zwykłego nastolatka. Z drugiej – wydaje się, jakby upłynęła od tego czasu wieczność... Od czego to wszystko się zaczęło?

Pamiętam, po pierwsze, napady głodu. Mój brak zrozumienia, czym były.

Jonaha. Carnegie Hall. Moje pierwsze karmienie. Moją niewytłumaczalną przemianę w wampira. Nazwali mnie wtedy mieszańcem pół krwi. Czułam się tak źle, że chciałam umrzeć. Wszystko, na czym mi zależało, to być taka jak inni.

Potem pojawił się Caleb. Ocalił mnie, ratując przed zakusami złowrogiego klanu. I jego klan w Cloisters. Ale wyrzucili mnie, jako że związki między ludźmi i wampirami były zabronione. Znów zostałam sama ze sobą – przynajmniej do chwili, w której Caleb uratował mnie drugi raz.

Moje poszukiwania ojca, mistycznego miecza, który mógł ochronić rasę ludzką przed wojną wampirów, które wiodły Caleba i mnie z jednego historycznego miejsca w drugie. Znaleźliśmy miecz, ale został nam odebrany.

Jak zwykle, Kyle czekał tylko, żeby wszystko zniweczyć.

Ale wcześniej miałam czas zrozumieć, czym się staję. Caleb i ja zdążyliśmy się odnaleźć. Po tym, jak ukradli miecz, po tym, jak mnie dźgnęli, kiedy umierałam, Caleb przemienił mnie i ponownie uratował.

Jednak nie wszystko potoczyło się po mojej myśli. Zobaczyłam Caleba z jego byłą żoną, Serą i wyobraziłam sobie najgorsze. Myliłam się, ale było już za późno. Umknął daleko ode mnie, w sam

środek niebezpieczeństwa. Doszłam do siebie na wyspie Pollepel. Trenowałam tam, zaprzyjaźniłam się z wampirami –

tak bliskich przyjaciół nigdy jeszcze nie miałam. Zwłaszcza z Polly. I Blakiem –

tyle tajemniczym, co i pięknym. Prawie skradł mi serce. Ale w porę się opanowałam. Dowiedziałam się, że jestem w ciąży i uświadomiłam sobie, że muszę odnaleźć Caleba i ocalić go od wojny wampirów.

Wyruszyłam, by go uratować, ale było już za późno. Sam, mój brat, oszukał

mnie. Zdradził, kazał myśleć, że jest kimś innym. To z jego powodu myślałam, że Caleb tak naprawdę nie był Calebem, i go zabiłam – moją miłość. Mieczem.

Własnymi rękoma. Nadal nie potrafię sobie wybaczyć.

Ale sprowadziłam Caleba z powrotem na Pollepel. Próbowałam go ożywić, przywrócić do życia w jakikolwiek sposób. Powiedziałam Aidenowi, że zrobię wszystko, poświęcę wszystko. Spytałam, czy może wysłać nas w przeszłość.

Aiden ostrzegł, że to może nie zadziałać. A gdyby jednak, to może się okazać, że nie będziemy ze sobą. Ale nalegałam. Musiałam.

I teraz oto jestem. Sama. W obcym miejscu i czasie. Moje dziecko stracone.

Może i Caleb również.

Czy popełniłam błąd, przybywając tu?

Wiem, że muszę odszukać ojca, znaleźć Tarczę. Jednak bez Caleba u mego boku, nie wiem, czy znajdę w sobie siłę, by temu podolać.

Czuję się taka zdezorientowana. Nie wiem, co robić.

Proszę, Boże, pomóż mi...

Caitlin biegła ulicami Nowego Yorku, kiedy wielka, czerwona kula będąca słońcem zaczęła wschodzić nad horyzont. Była świadkiem istnej apokalipsy.

Wszędzie leżały przewracane auta, porozrzucane zwłoki i różne inne oznaki spustoszenia. Biegła i biegła, pokonując kolejne alejki, które wydawały się nie mieć końca.

I kiedy tak biegła, świat jakby obrócił się nagle wokół własnej osi, a wraz z tym znikły budynki. Cały krajobraz uległ zmianie, aleje obróciły się w polne drogi, betonowy bezkres przeistoczył się w rozległe wzgórza. Miała wrażenie, że cofa się w czasie, zostawia za sobą nowoczesność i wkracza w inny wiek. Czuliła, że gdyby przyspieszyła, odnalazłaby swego ojca, tego prawdziwego, gdzieś tam na horyzoncie.

Przebiegała przez niewielkie wiejskie osady, które również obracały się w nicość.

Wkrótce jedyną rzeczą, która się ostała, było pole usłane białymi kwiatami.

Kiedy wbiegła między nie, zauważyła z radością, że był tam, na horyzoncie, czekał. Jej ojciec.

Jak zwykle jego sylwetka odbijała się na tle słońca, tym razem jednak wydawał się bliższy niż zazwyczaj. Tym razem dostrzegła jego twarz, zarys jego ust. Uśmiechał się, czekając na nią z wyciągniętymi w jej kierunku ramionami.

Chciał ją przytulić.

Dotarła do niego i objęła, a on przytulił ją mocno, trzymając przy swej umięśnionej piersi.

– Caitlin – powiedział tonem emanującym wielką miłością. – Czy wiesz, jak jesteś blisko? Czy wiesz, jak bardzo cię kocham?

Zanim zdołała mu odpowiedzieć, zauważyła coś kątem oka. Zobaczyła Caleba stojącego na drugim końcu pola. Wyciągnął dłoń w jej stronę.

Postąpiła kilka kroków w jego kierunku, po czym zatrzymała się i spojrzała na ojca.

On również wyciągnął do niej dłoń.

– Odszukaj mnie we Florencji – powiedział ojciec.

Odwróciła się do Caleba.

– Odszukaj mnie w Wenecji – powiedział Caleb.

Patrzyła raz w jedną, raz w drugą stronę, rozdarta, nie mogąc zdecydować się, w którą stronę podążyć.

Poderwała się ze snu i usiadła prosto na łóżku. Była zdezorientowana.

W końcu uświadomiła sobie, że był to tylko sen.

Wschodziło słońce. Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Asyż skąpany w porannym słońcu był taki spokojny, taki piękny. Na zewnątrz nie było jeszcze nikogo, z któregoś komina zaś sączył się dym. Wczesnoporanna mgła zawisała nad polami, niczym chmura, załamując słoneczne światło.

Odwróciła się gwałtownie, usłyszawszy skrzypienie. Spięła się na widok uchylających się drzwi do jej komnaty. Zacisnęła pięści, przygotowując się na wizytę niechcianego gościa.

Kiedy jednak drzwi otworzyły się szerzej, spojrzała w dół i jej oczy rozwarły się szeroko w zachwycie.

– Róża! – wrzasnęła.

Róża odepchnęła drzwi na całą szerokość, wbiegła do środka i skoczyła w ramiona Caitlin. Zaczęła lizać ją po całej twarzy, a Caitlin rozplakała się ze szczęścia.

Odciągnęła ją od siebie i obejrzała z wszystkich stron. Róża nabrała ciała, urosła.

– Jak mnie znalazłaś? – spytała Caitlin.

Róża zaskomlała i znów ją polizała.

Caitlin usiadła na krawędzi łóżka. Głaszcząc Różę pieczołtliwie, zaczęła gorączkowo rozmyślać. Próbowwała oczyścić umysł. Jeśli Róży się udało, być może Caleb również przeżył ich podróż w czasie. Ta myśl dodała jej otuchy.

Rozum podpowiadał, żeby udać się do Florencji. Kontynuować poszukiwania. Wiedziała, że to tam znajdzie odpowiedź, gdzie jest ojciec oraz Tarcza.

Serce ciągnęło ją jednak do Wenecji.

Jeśli istniała choćby niewielka szansa, że Caleb mógł tam być, musiała się upewnić. Po prostu musiała.

I podjęła decyzję. Objęła Różę mocno ramionami, wzięła krótki rozbieg i wyskoczyła przez okno.

Wiedziała, że odzyskała już siły i że jej skrzydła się rozwiną.

I rzeczywiście tak się stało.

Chwilę później szybowała we wczesnym, porannym powietrzu ponad wzgórzami Umbrii, kierując się na północ, do Wenecji.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kyle przemierzał wąskie ulice antycznej dzielnicy Rzymu. Ludzie wokół

zamykali sklepy, udając się na wieczorny spoczynek. Zachód słońca wyznaczał

jego najbardziej ulubioną porę dnia. To wówczas czuł się najsilniejszy. Czuł, jak krew zaczynała mu szybciej pulsować, jak z każdym krokiem stawał się potężniejszy. Był niezmiernie szczęśliwy, że mógł znowu kroczyć tłumnymi ulicami Rzymu, zwłaszcza w tym stuleciu. Wciąż setki lat oddzielały tych żałosnych ludzi od jakiegokolwiek rodzaju techniki, sposobu monitorowania sytuacji. Mógł roznieść to miejsce na strzępy z lekkim sercem, nie obawiając się, że zostanie wykryty.

Skreślił w ulicę Via Del Seminario, która po kilku chwilach otworzyła się na wielki, antyczny plac Piazza Della Rotonda.

I ujrzał go przed sobą. Przystanął, zamknął oczy i odetchnął głęboko. Dobrze było znowu tu być. Wprost naprzeciwko znajdowało się miejsce, które przez setki lat nazywał swoim domem, jedna z najważniejszych na świecie siedzib wampirów: Panteon.

Górował, ku uciesze Kyle'a, tak jak zawsze – potężna, kamienna antyczna budowla, której tylna część wystawała w kształcie okręgu, a przód zwieńczony był olbrzymimi, imponującymi kamiennymi kolumnami. Za dnia wstęp do budynku mieli turyści, nawet w tym stuleciu. Przybywały tu niewyobrażalne tłumy ludzi.

Lecz nocą, kiedy drzwi za zwiedzającymi zostały zamknięte, gromadzili się tłumnie prawdziwi właściciele, rzeczywiści mieszkańcy tych ścian: Wielka Rada Wampirów.

Ze wszystkich zakątków świata przybywali tłumnie członkowie wszelkich wampirzych klanów, by uczestniczyć w obradach, trwających często przez całą noc. Rada rozstrzygała w każdej sprawie, wydawała pozwolenia, albo je cofała.

Nic w wampirzym świecie nie działo się bez ich wiedzy ani, w większości przypadków, bez ich aprobaty.

Wszystko układało się idealnie. W pierwotnym zamyśle budowla miała być świątynią ku czci pogańskich bóstw. Od wieków służyła jako miejsce oddawania czci, odbywania zebrań, służące mrocznym siłom wampirów. Dla każdego, kto potrafił patrzeć, było to oczywiste: ody na cześć pogańskich bogów, freski, malowidła i

posagi były wszędzie. Każdy człowiek, każdy turysta, który zadałby sobie trud odczytania przesłania tego miejsca, zdałby sobie sprawę, jakie jest wyjątkowe, rzeczywiste jego przeznaczenie.

A gdyby to nie miało wystarczyć, to tutaj pochowane zostały wszystkie wielkie wampiry. W tym tętniącym życiem mauzoleum, idealnym miejscu, które Kyle i jemu podobni mogli nazwać domem.

Kiedy wchodził po schodach, poczuł, jakby wracał do domu.

Wszedł na górę, bezpośrednio pod olbrzymie, żelazne, dwuskrzydłowe drzwi frontowe, uderzył metalową kołatką czterokrotnie – dając przyjęty przez wampiry sygnał –

i czekał.

Chwilę później ciężkie drzwi uchylły się na kilka cali i Kyle dostrzegł

nieznaną sobie twarz. Drzwi otworzyły się szerzej, na tyle, by Kyle zdołał wejść, i zamknęły się zaraz za nim z hukiem.

Olbrzymi strażnik, większy nawet od niego, spojrzał na niego w dół.

– Oczekują cię? – spytał z rezerwą.

– Nie.

Ignorując strażnika, Kyle zrobił kilka kroków w kierunku sali, kiedy nagle poczuł na ramieniu lodowato zimny uścisk i się zatrzymał. Zagotowało się w nim z wściekłości.

Wampirzy strażnik spojrzał na niego równie rozeźlony.

– Nikt nie wchodzi bez umówionego spotkania – warknął. – Będziesz musiał

stąd odejść i wrócić innym razem.

– Wejść tam, gdzie mam ochotę – syknął Kyle. – A jeśli nie weźmiesz ręki z mojego ramienia, nacierpisz się i to bardzo.

Strażnik zmierzył go wzrokiem. Znaleźli się w impasie.

– Jak widzę, niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają – dobiegł ich czyjś głos.

– W porządku. Możesz go wpuścić.

Kyle poczuł, że uścisk zelżał. Odwrócił się i ujrzał znajomą twarz: był to Lore, jeden z głównych doradców Rady. Stał, wpatrując się w Kyle'a, uśmiechając się i kręcąc głową powoli.

– Kyle – powiedział. – Nigdy nie myślałem, że cię jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Kyle wygładził marynarkę, wciąż pałając gniewem do strażnika i skinął

głową powoli.

– Mam sprawę do Rady – powiedział. – Która nie może czekać.

– Przykro mi, stary druhu – ciągnął Lore. – Dzisiejszy porządek jest już w pełni rozplanowany. Niektórzy czekali od miesięcy. Wygląda na to, że z każdego zakątka wampirzego świata przybył ktoś z nagłą sprawą. Jeśli jednak wrócisz w przyszłym tygodniu, to sądzę, że będę w stanie cię uwzględnić–

Kyle postąpił do przodu.

– Nie rozumiesz – powiedział nerwowo. – Nie przybyłem z tego czasu.

Wróciłem z przyszłości. Dwieście lat w przód. Z zupełnie innego świata.

Nadeszła pora Sądu Ostatecznego. Jesteśmy u progu zwycięstwa, całkowitego triumfu. I jeśli nie spotkam się z nimi w tej chwili, konsekwencje będą poważne dla nas wszystkich.

Spoglądając na niego, Lore zdał sobie sprawę z powagi chwili i jego mina zrzędała; w końcu, po kilku chwilach pełnej napięcia ciszy, odchrząknął.

– Chodź za mną.

Odwrócił się i oddalił wielkimi krokami. Kyle podążył za nim, idąc krok w krok.

Minął długi, szeroki korytarz i po chwili wszedł do potężnej, otwartej sali.

Była ogromna, przestronna, z pnącym się wysoko, kolistym stropem i marmurową, lśniącą posadzką. W kształcie przypominała okrąg, którego skraj wypełniały ozdobne kolumny i wzniesione na cokółkach posagi spoglądające do wnętrza sali.

Setki wampirów, przedstawicieli najprzeróżniejszych ras i poglądów, stały na uboczu, czekając. Kyle wiedział, że oni wszyscy byli podobnymi mu najemnikami, równie złymi, jak on sam.

Cierpliwie obserwowali zasiadającą w ławie na odległym końcu sali Wielką Radę ferującą wyroki. Czuł panujące w otoczeniu napięcie.

Wszedł do środka, chłonąc wszystko naraz. Powiadomienie Rady było właściwą rzeczą. Mógł zignorować ją, zapolować na Caitlin we własnym zakresie, lecz Rada miała niezbędne informacje, mogła skierować go prosto do niej. Co ważniejsze, potrzebował ich oficjalnej aprobaty. Odszukanie Caitlin nie było sprawą osobistą. Miało ogromne znaczenie dla całej wampirzej rasy. Gdyby Rada go poparła, a miał przeczucie, że właśnie tak będzie, nie tylko otrzymałby ich zgodę, ale również dostęp do ich zasobów. Mógłby zabić ją szybciej i szybciej wrócić do domu, by dokończyć swoją wojnę.

Bez ich aprobaty byłby tylko kolejnym łotrem, wyrachowanym wampirem.

Kyle nie miał z tym problemu, jednak nie chciał cały czas oglądać się za siebie: bez usankcjonowania jego postępowania, Rada mogłaby wysłać wampiry, by go zabiły. Był przekonany, że sobie poradzi, ale nie chciał marnować ani sił, ani czasu.

Gdyby jednak odrzucili jego żądania, był w pełni gotów zrobić wszystko, co było trzeba, żeby ją wytropić.

Była to ostatecznie jeszcze jedna formalność w niekończącym się potoku wampirzych ceremoniałów. Owa etykieta była spoiwem, które trzymało je razem

– ale również niesamowicie go irytowała.

Wchodząc coraz głębiej do sali, przyjrzał się członkom Rady. Wyglądali dokładnie tak, jak ich zapamiętał. Dwunastu sędziów Wielkiej Rady zasiadało na podwyższeniu w odległym krańcu sali, odziani w surowe, czarne szaty, z

zarzuconymi na głowę i zakrywającymi ich twarze czarnymi kapturami. Pomimo to, Kyle wiedział, kim byli ci mężczyźni. Spotkał ich wielokrotnie na przełomie stuleci. Raz, tylko jeden raz, opuścili kaptury i pokazali mu swe groteskowe, wykrzywione wiekiem twarze, oblicza, które chodziły po tej ziemi od tysięcy lat.

Aż wzdrygnął się na wspomnienie o tym. Byli szkaradnymi stworzeniami zrodzonymi przez noc.

Mimo to, byli też Wielką Radą sprawującą urząd za jego czasów, rezydującą w tym miejscu od samego początku, od kiedy wzniesiono Panteon. Budowla była w zasadzie częścią ich samych i nikt, wliczając w to nawet Kyle'a, nie śmiał sprzeciwić się ich werdyktom. Ich moce były po prostu zbyt wielkie, a środki, pozostające do dyspozycji na każde skinienie palca, zbyt szerokie.

Kyle może i zdołałby zabić jednego lub dwóch z nich, ale armie, które wezwaliby z wszystkich krańców ziemi, w końcu by go wytropiły i zniszczyły.

Setki wampirów zgromadzonych na sali przybyły, by wysłuchać wyroków Rady, ale też, by oczekiwać na audiencję. Zawsze równo ustawieni wzdłuż krańców okręgu, stali w gotowości, pozostawiając jego wnętrze całkowicie opustoszałe. Z wyjątkiem jednej osoby. Zawsze tej, która akurat miała potrzebę stanąć przed nimi i wysłuchać ich werdyktu.

Właśnie w tej chwili stała tam, naprzeciwko nich, jakaś nieszczęsna dusza, samotna, trzęsąca się ze strachu, wpatrująca się w ich nieprzeniknione kaptury i oczekująca ich wyroku. Kyle stał już kiedyś w tym miejscu. Do przyjemności to nie należało. Jeśli nie spodobała im się sprawa, z którą się do nich zgłosiłeś, mogli ni z tego, ni z owego zabić cię na miejscu. Z lekkim sercem przed Radą się nie stawało – była to zazwyczaj sprawa życia i śmierci.

– Poczekaj tutaj – wyszeptał Lore i oddalił się, znikając w tłumie. Kyle stał

na uboczu, obserwując.

W pewnej chwili zauważył, jak jeden z sędziów skinął nieznacznie, ledwie zauważalnie i z obu stron pojawili się żołnierze. Chwycili ręce mężczyzny stojącego naprzeciw Rady.

– Nie! NIE! – wrzasnął.

Ale na nic to się zdało. Odciągnęli go na bok krzyczącego i wierzgającego, świadomego tego, że prowadzili go na śmierć, że cokolwiek powie, czy zrobi, nie pomoże mu już w niczym. Kiedy wrzaski wampira odbiły się echem od ścian sali, Kyle zdał sobie sprawę, że mężczyzna musiał poprosić o coś, na co Rada nie wyraziła zgody. W końcu otworzyły się drzwi, mężczyzna został wyprowadzony na zewnątrz i drzwi zatrzasnęły się za nim. Na sali zapanowała na powrót cisza.

Kyle wyczuwał panujące w powietrzu napięcie. Wampiry spoglądały na siebie nawzajem, obawiając się chwili, kiedy przyjdzie kolej na ich posłuchanie.

Kyle zauważył, jak Lore podszedł do strażnika stojącego w pobliżu Rady i wyszeptał mu coś do ucha. Ten podszedł z kolei do jednego z sędziów, uklęknął

i wyszeptał mu do ucha.

Sędzia obrócił głowę ledwie co, a mężczyzna wskazał wprost na Kyle'a.

Nawet z tak dużej odległości Kyle poczuł jak oczy sędziego, skryte pod kapturem, prześwidrowały go. Wbrew sobie poczuł, jak przeszył go dreszcz.

Ostatecznie stanął w obecności prawdziwego zła.

Strażnik skinął głową, dając tym Kyle'owi sygnał.

Kyle przepchał się przez tłum i podszedł na sam środek sali – na to miejsce.

Wiedział, że gdyby podniósł wzrok, to bezpośrednio nad swoją głową ujrzałby oculus, okrągły otwór w stropie. Za dnia wpadała nim do wnętrza wiązka słonecznego światła; teraz jednak, o zachodzie słońca, światło było przytłumione, bardzo słabe. Wnętrze sali rozjaśniały głównie płonące wszędzie pochodnie.

Kyle uklęknął i uklonił się, czekając, aż zwróci się do niego zgodnie z właściwą wampirzą etykietą.

– Kyle'u z klanu Blacktide – wymówił powoli jeden z sędziów. – Masz czelność zwracać się do nas bez uprzedzenia. Jeśli twoja prośba spotka się z naszą odmową, wiesz, że ryzykujesz narażeniem się na karę śmierci.

To nie było pytanie; raczej oświadczenie. Kyle wiedział, jakie były konsekwencje. Ale nie bał się wyniku tego spotkania.

– Jestem tego świadomy, mój mistrzu – odparł zwyczajnie i czekał dalej.

W końcu usłyszał jakiś szelest, po czym kolejne oświadczenie:

– Zatem przemów. Czego od nas oczekujesz?

– Przybyłem z innych czasów. Okresu, który będzie miał miejsce za dwieście lat.

Na sali rozległo się głośnie szemranie. Strażnik uderzył laską o posadzkę trzykrotnie i wrzasnął:

– Cisza!

W końcu zgromadzeni na sali ucichli.

Kyle kontynuował.

– Nie podejmuję podróży w czasie pochopnie. Podobnie zresztą jak żaden z nas. Zmusił mnie do tego nagły wypadek. W przyszłości, w czasach, w których żyję, wybuchnie wojna – wspaniała wojna

wampirów. Rozpocznie się w Nowym Jorku i stamtąd rozprzestrzeni się na cały świat. Prawdziwa, wampirza apokalipsa, o której wszyscy marzyliśmy. Nasz rodzaj w końcu zwycięży.

Zetrzemy na proch i zniewolimy całą ludzką rasę. Pozbędziemy się również życzliwych klanów wampirów, każdego, kto stanie na naszej drodze.

– Wiem to, gdyż stoję na czele działań wojennych.

Podniósł się kolejny głośny pomruk, po czym rozbrzmiało uderzenie laski o podłogę.

– Moja wojna nie jest jednak skończona – krzyknął Kyle ponad wrzawą. –

Pozostaje jedna sprawa będąca mi solą w oku; jedna osoba, która może zniszczyć wszystko to, co osiągnęliśmy, zaprzepaścić wspaniałą przyszłość naszej rasy. Wywodzi się z wyjątkowego rodu. Cofnęła się w czasie najprawdopodobniej po to, by umknąć przede mną. Przybyłem tu, by ją odnaleźć i zabić raz na zawsze. Do tego momentu przyszłość nas wszystkich pozostanie niepewna.

– Staję tu dziś przed wami z prośbą o pozwolenie na jej zabicie, tu, na waszym terytorium i w waszych czasach. Jak również proszę o waszą pomoc w odszukaniu jej.

Po czym spuścił głowę i czekał. Serce biło mu szybciej, kiedy tak stał i czekał. Oczywiście, w ich interesie leżało pomóc mu. Nie widział żadnego powodu, by mieli postąpić inaczej. Z drugiej strony jednak stwory te, żyjące od pradawnych czasów, starsze nawet od niego samego, były całkiem nieprzewidywalne. Nigdy nie było wiadomo, co ta dwunastka miała w planach, a ich decyzje zdawały się równie przypadkowe, co podmuchy wiatru.

Czekał pośród głuchoj ciszy.

W końcu usłyszał, jak ktoś odchrząknął.

– Wiemy, oczywiście, o kim mówisz – przemówił jeden z sędziów chropawym głosem. – O Caitlin. O tym, z czego powstanie klan Pollepel. Ale która w rzeczywistości wywodzi się z innego, o wiele potężniejszego klanu. Tak, wczoraj przybyła w nasze czasy. Oczywiście, że o tym wiemy. I gdybyśmy sami chcieli ją zabić, czy nie sądzisz, że już by do tego doszło?

Kyle dobrze wiedział, że nie należało odpowiadać. Chcieli poczuć odrobinę własnej dumy. A on miał zamiar jedynie pozwolić im dokończyć przemowę.

– Ale istotnie podziwiamy twoją determinację, i wojnę w przyszłości –

ciągnął dalej sędzia. – O tak, jesteśmy pełni podziwu.

Na sali zaległa trwająca następną chwilę cisza.

– Pozwolimy ci ją wyśledzić, ale jeśli ją znajdziesz, nie zabijesz jej.

Pojmiesz ją żywą i przyprowadzisz do nas. Wolimy sami napawać się jej śmiercią, patrzeć jak umiera powoli. Będzie idealną kandydatką do Igrzysk.

Kyle poczuł, jak wszystko zagotowało się w nim z wściekłości. Igrzyska.

Oczywiście. Tylko na tym zleżało tym obrzydliwym, starym wampirom. Już sobie przypominał. Przerobili Koloseum na arenę, na której odbywały się konkurencje, gdzie wystawiali do walki wampiry przeciwko wampirom; przeciwko ludziom i zwierzętom i z uwielbieniem przypatrywali się, jak

zawodnicy rozrywają się na strzepy. Był to przejaw ich okrucieństwa, które Kyle w jakiejś mierze sam podziwiał.

Ale nie tego chciał dla Caitlin. Chciał, by nie żyła. Kropka. Nie żeby miał

coś przeciwko jej torturom. Ale nie chciał marnować czasu, ani dawać jej jakiegokolwiek szansy. Oczywiście nikt jeszcze nigdy nie przeżył Igrzysk. Ale jednocześnie nigdy nie było wiadomo, co może się zdarzyć.

– Ależ, moi mistrzowie – zaprotestował. – Jak sami stwierdziliście, Caitlin wywodzi się z potężnego rodu i stanowi o wiele większe zagrożenie i jest o wiele bardziej nieuchwytna, niż moglibyście to sobie wyobrazić. Proszę o waszą zgodę na jej natychmiastowe zgładzenie. Mamy zbyt dużo do stracenia...

– Nadal jesteś młody – powiedział inny sędzia – i dlatego wybaczymy ci próbę odgadnięcia naszej oceny sytuacji. Każdego innego zabilibyśmy na miejscu.

Kyle zwiesił głowę. Zdał sobie sprawę, że się zagalopował. Nikt nigdy nie kwestionował postanowień sędziów.

– Przebywa w Asyżu. To tam się teraz udasz. Pospiesz się i nie zwlekaj. W

zasadzie, teraz, kiedy już o tym wspomniałeś, z niecierpliwością oczekujemy, by zobaczyć jej śmierć na własne oczy.

Kyle odwrócił się, by odejść.

– I Kyle – zawołał jeden z nich.

Kyle odwrócił się na pięcie.

Główny sędzia zdjął kaptur, ukazując najbardziej groteskową twarz, jaką Kyle widział w całym swoim życiu – pokrytą w całości guzami, brodawkami i zmarszczkami. Otworzył usta i uśmiechnął się szkaradnie, pokazując pożółkłe, ostre zęby i błyszczące czarne oczy. Wyszczерzył się jeszcze bardziej i powiedział:

– Następnym razem, kiedy pojawisz się bez uprzedzenia, to ty zginiesz powolną śmiercią.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Caitlin szybowała nad sielankowym umbryjskim krajobrazem, mijając wzgórza i doliny, lustrując porośnięty bujną roślinnością zielony horyzont iskrzący się w porannym słońcu. Pod sobą widziała ciągnące się niewielkie osady, małe chaty otoczone setkami akrów ziemi i dym ulatujący z kominów.

Kiedy skierowała się na północ, krajobraz zmienił się. Leciała teraz nad wzgórzami i dolinami Toskanii. Jak daleko okiem sięgnąć, widziała winnice pnące się po wzgórzach i pracowników w wielkich, słomianych kapeluszach uwijających się o tej wczesnej porannej porze przy winoroślach. Był to niesamowicie piękny kraj. Caitlin żałowała po części, że nie może wylądować gdzieś tutaj, osiąść na stałe, zadomowić się w jednej z tych niewielkich chat.

Ale miała zadanie do wykonania. Leciała dalej, coraz dalej na północ, mocno trzymając zwiniętą w kłębek za jej koszulą Różę. Czuła, że Wenecja jest coraz bliżej, jakby przyciągała ją niczym magnes. Im bliżej miasta była, tym szybciej biło jej zniecierpliwione serce; już w tym momencie wyczuwała obecność osób, które kiedyś znała. Nadal nie wiedziała dokładnie kogo. Nadal nie potrafiła wyczuć, czy był tam Caleb, ani też, czy był chociaż żywy.

Zawsze marzyła o wyjeździe do Wenecji. Widziała obrazki z kanałami, gondolami i wyobrażała sobie, że kiedyś tam pojedzie, być może z kimś, kogo będzie kochała. Wyobraziła sobie nawet, że ktoś poprosi ją o rękę na jednej z tych gondoli. Ale nigdy nie przypuszczała, że odbędzie się to w ten sposób.

Kiedy tak leciała, zbliżając się coraz bardziej, uderzyło ją, że Wenecja, którą teraz, w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym, chciała odwiedzić, mogła znacznie różnić się od tej, którą widziała na obrazkach z dwudziestego pierwszego wieku. Zapewne tak było.

Wyobraziła ją sobie mniejszą, nie tak rozwiniętą, przypominającą bardziej wieś. Pomyślała też, że nie będzie tak zatłoczona.

Wkrótce uświadomiła sobie, że nie mogła bardziej się mylić.

Kiedy w końcu dotarła na obrzeża Wenecji, była w szoku zobaczywszy, nawet z tej wysokości, że miasto było uderzająco podobne do tego, którego obrazki widziała w dwudziestym pierwszym wieku. Rozpoznała historyczną, słynną architekturę, wszystkie małe mosty, te same wijące się uliczki prowadzące do kanałów. Istotnie, doznała wstrząsu, kiedy uświadomiła sobie, że Wenecja z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku nie różniła się, przynajmniej na zewnątrz, od tej z dwudziestego pierwszego wieku.

Im więcej o tym myślała, tym większego sensu to nabierało. Wenecka architektura liczyła sobie nie sto, czy dwieście lat: była starsza o całe setki lat.

Przypomniała sobie zajęcia z historii w jednej z wielu swoich szkół średnich na temat Wenecji, niektórych jej kościołów zbudowanych w dwunastym wieku.

Pożałowała teraz, że nie słuchała wtedy uważniej. Znajdująca się poniżej Wenecja, rozwlekła, zabudowana niezliczonymi budowlami, nie była nowym miastem. Nawet w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku liczyła kilka setek lat.

Caitlin pocieszył ten fakt. Wyobraziła sobie, że rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty będzie wyglądał jak z innej bajki. Z ulgą stwierdziła, że niektóre rzeczy w zasadzie nie zmieniły się tak bardzo. W znacznej mierze było to to samo miasto, które mogłaby zobaczyć w dwudziestym pierwszym wieku.

Jedyną rzucającą się od razu w oczy różnicą było to, że wodne trakty miasta pozbawione były oczywiście wszelkich łodzi motorowych. Nie było tu żadnych motorówek, żadnych promów, statków wycieczkowych. Zamiast tego, kanały wypchane były po brzegi wielkimi żaglowymi łodziami, których maszty pięły się na dziesiątki stóp w górę.

Zdziwiła ją również obecność tłumów. Zniżyła lot do zaledwie setki stóp nad ulicami miasta i zauważyła, że nawet o tej wczesnej, porannej porze ulice były pełne ludzi. A wodne trakty całkowicie znikły pod natłokiem łodzi. Była w szoku. Miasto było bardziej zatłoczone niż Times Square. Zawsze wyobrażała sobie, że cofając się w czasie, spotka mniej ludzi, mniejsze tłumy. Wyglądało na to, że również i w tym nie miała racji.

Kiedy przeleciała nad miastem i zaczęła okrążyć je kilka razy, rzeczą, która zadziwiła ją najbardziej był fakt, że Wenecja nie była jednym miastem, jedną wyspą – ale rozpościerała się na wielu wyspach, dziesiątkach wysp ciągnących się w różnych kierunkach, ze skupiskiem budowli na każdej z nich, tworzących odrębne miasteczka. Wyspa, na której leżała Wenecja, miała wyraźnie najwięcej budynków i była najgęściej zabudowana. Dziesiątki pozostałych wysp zdawały się jednak połączone ze sobą, tworząc istotną część miasta.

Inną rzeczą, która ją zadziwiła była barwa wody: jarząca się błękitem aqua.

Była taka jasna, tak osobliwa, niczym woda, którą spodziewałaby się ujrzeć gdzieś na Karaibach.

Kiedy wykonywała kolejne okrążenia nad wyspami, próbując zorientować się w sytuacji, podjąć decyzję, gdzie wylądować, poczuła żal do samej siebie, że nigdy nie zwiedziła tego miejsca w dwudziestym pierwszym wieku. No cóż, przynajmniej teraz miała okazję to zrobić.

Czuła się również nieco przytłoczona. Miasto zdawało się takie potężne i rozciągnięte. Nie miała pojęcia, gdzie wylądować, gdzie powinna rozpocząć

poszukiwania ludzi, których kiedyś знаła – jeśli w ogóle gdzieś tutaj byli. Jak głupia, wyobraziła sobie, że Wenecja będzie mniejsza, bardziej staroświecka.

Nawet z takiej odległości była w stanie stwierdzić, że mogłaby chodzić ulicami miasta przez wiele dni i nadal nie przemierzyć go w całości.

Zorientowała się, że nigdzie na wyspie, na której położona była ta właściwa Wenecja, nie było miejsca, w którym mogłaby wylądować, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Było tam zbyt tłoczno i nie było jak zbliżyć się, nie zwracając na siebie uwagi. Nie chciała wywołać sobą tego rodzaju zainteresowania. Nie miała pojęcia, jakie inne klany tam były, ani jak silny był

ich instynkt terytorialny. Nie wiedziała też, czy są życzliwi, czy źli, ani czy tutejsi ludzie, podobnie do tych z Asyżu, również wypatrywali wampirów i byli gotowi ruszyć za nią na łowy. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, był

kolejny, uganiający się za nią tłum.

Zdecydowała się wylądować na stałym lądzie, z dala od wyspy. Zauważyła potężne łodzie pełne ludzi, które zdawały się wyruszać właśnie ze stałego lądu i pomyślała, że był to najlepszy pierwszy etap jej wizyty. Przynajmniej łodzie zabiorą ją bezpośrednio do serca miasta.

Wylądowała niepostrzeżenie za kępą drzew na stałym lądzie, niedaleko od łodzi. Posadziła Różę na ziemi, a ta natychmiast czmychnęła w najbliższe krzaki za potrzebą. Kiedy skończyła, podniosła pyszczek, spojrzała na Caitlin i zaskomlała. Caitlin dostrzegła w oczach Róży, że była głodna i współczuła jej.

Sama również była głodna.

Lot zmęczył ją. Zdała sobie sprawę, że jednak nie odzyskała jeszcze pełni sił. Uświadomiła sobie również, że zgłodniała. Musiała nasycić swój głód. Ale nie ludzką krwią.

Rozejrzała się dokoła, lecz nie dostrzegła nigdzie żadnego jelenia. Nie było czasu na polowanie. Z łodzi odezwał się głośny gwizd i zrozumiała, że za chwile odbije od brzegu. Musiały poczekać. Ona i Róża. I zaspokoić głód później.

Ze ściśniętym sercem zatęskniła za domem, za bezpieczeństwem i otuchą, które czuła na Pollepel, za obecnością Caleba, jego wskazówkami, jak ma polować, jego radami. U jego boku zawsze miała wrażenie, że wszystko będzie dobrze. Teraz jednak, kiedy była sama, nie była już tego taka pewna.

*

Podeszła razem z Różą do najbliższej łodzi. Była to wielka, żaglowa łódź z długą, umocowaną na linie rampą, prowadzącą wprost na brzeg. Kiedy podniosła wzrok, zauważyła,

że łódź była wyladowana ludźmi po brzegi. Ostatni pasażerowie właśnie wspinali się po rampie. Caitlin pospieszyła z Różą w tym kierunku, chcąc zdążyć przed odbiciem łodzi. Ale zaskoczyła ją wielka, umięśniona dłoń, która pacnęła ją mocno w klatkę piersiową i zatrzymała w miejscu.

– Bilet – odezwał się czyjś głos.

Caitlin obejrzała się i zauważyła dużego, muskularnego mężczyznę, który spoglądał na nią z góry. Był nieokrzesany, nieogolony i cuchnął nawet z takiej odległości.

Caitlin poczuła narastającą w sobie złość. Była spięta z powodu głodu i miała mu za złe, że zatrzymał ją ręką w ten sposób.

– Nie mam – warknęła. – Nie możesz po prostu nas wpuścić?

Mężczyzna potrząsnął jedynie głową zdecydowanie i odwrócił się, całkowicie ją ignorując. – Bez biletu nie popłyniesz – powiedział.

Wezbrała w niej jeszcze większa złość, ale zmusiła się, by przypomnieć sobie Aiden. Co on by jej powiedział? *Oddychaj głęboko. Rozluźnij się. Użyj umysłu, nie ciała.* Napomniałby ją, że jest silniejsza od tego człowieka.

Powiedziałby, żeby się skoncentrowała. Skupiła. By użyła swych *wewnętrznych* talentów.

Zamknęła oczy i spróbowała skupić się na oddychaniu. Spróbowała zebrać myśli, skierować je w stronę tego mężczyzny.

Wpuścisz nas na łódź, powiedziała siłą woli. Zrobisz to bez pobrania od nas opłaty.

Otworzyła oczy, oczekując, że będzie nadal tam stał i zaproponuje jej wejście na pokład. Ku jej rozczarowaniu nie zrobił tego. Nadal ignorował ją, rozwiązując ostatnią linę.

To nie działało. Albo straciła moc kontrolowania umysłu, albo jeszcze w pełni jej nie odzyskała. A może była zbyt wykończona, nie skupiła się dostatecznie.

Nagle przypomniała sobie coś. Jej kieszenie. Przeszukała je szybko, zastanawiając się, co wzięła ze sobą z dwudziestego pierwszego wieku, jeśli w ogóle cokolwiek. Znalazła i z ulgą stwierdziła, że był to dwudziestodolarowy banknot.

– Masz – powiedziała, wręczając go mężczyźnie.

Wziął go, zgniół, podniósł do góry i przyjrzał uważnie.

– Co to ma być? – zapytał. – Nie znam tego.

– To dwudziestodolarowy banknot – wytłumaczyła Caitlin, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak głupio zabrzmiały jej słowa.

Oczywiście. Jakże *mógł*

go rozpoznać? Przecież był amerykański. I miał się pojawić dopiero za dwieście lat.

Z ukłuciem strachu zdała sobie sprawę, że wszystkie pieniądze, jakie akurat przy sobie miała, były tu całkiem bezużyteczne.

– Śmiecie – powiedział i wcisnął jej pieniądze z powrotem do dłoni.

Obejrzała się i z ukłuciem strachu zauważyła, że odwiązywali liny, że łódź

miała za chwilę wyruszyć. Namysliła się szybko, ponownie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła jakieś drobne. Przeszukała je wzrokiem, wyjęła dwudziestopięciocentówkę, wyciągnęła dłoń i podała ją mu.

Wziął z większym zainteresowaniem i podniósł do światła. Mimo to jednak nie był przekonany.

Wepchnął monetę z powrotem w jej dłoń.

– Wróc z prawdziwymi pieniędzmi – powiedział; równocześnie spojrzał na Różę i dodał – i żadnych psów.

Myślami powróciła do Caleba. Może tam był, tuż poza jej zasięgiem, na wyspie Wenecji, zaledwie jeden kurs łodzią od niej. Poczowała wściekłość, że mężczyzna powstrzymywał ją od spotkania się z nim. Miała pieniądze – tyle, że nie *jego* akurat. Poza tym, jego łódź wyglądała na ledwie zdatną do żeglugi i była wyladowana setkami ludzi. Czy jeden dodatkowy bilet mógł robić aż tak wielką różnicę? To po prostu nie było w porządku.

Kiedy wcisnął jej pieniądze do ręki, nagle ścisnął swoją wielką, spoconą łapą jej nadgarstek. Łypnął okiem w dół i na jego twarzy pojawił się wielki, krzywy uśmiech. Zobaczyła jego niepełne uzębienie i poczuła smród płynący z jego ust.

– Jeśli nie masz pieniędzy, zapłacisz mi inaczej – powiedział, uśmiechając się w jeszcze bardziej odrażający sposób. Jednocześnie podniósł dłoń i dotknął

jej policzka.

Zadziałała odruchowo. Podniosła rękę i pacnęła go mocno, po czym wykręciła swój nadgarstek z jego objęcia. Jej własna siła zadziwiła ją.

Spojrzał na nią, najwidoczniej zaszokowany, że tak niepozorna dziewczynka miała w sobie tyle siły. Jego uśmiech zastąpił grymas oburzenia i niezadowolenia. Zebrał ślinę i plunął wprost pod nogi. Caitlin spuściła wzrok, zauważyła, że plwocina wylądowała na jej butach, i poczuła odrazę.

– Ciesz się, że cię nie pociachałem – burknął, po czym odwrócił się do niej plecami obcesowo i wrócił do rozwiązywania lin.

Caitlin poczuła, jak wzbiera w niej złość, pokrywając policzki purpurą. Czy faceci wszędzie byli tacy sami? W każdym stuleciu i każdym wieku? Czy była to zapowiedź tego, jak traktowano kobiety obecnie w tym miejscu? Przyszły jej na myśl wszystkie inne kobiety, które musiały żyć w tych czasach, znosić to

wszystko i poczuła narastającą wściekłość. Miała wrażenie, że powinna stanąć w obronie ich wszystkich.

Nadal stał nachylony, rozwiązując liny, więc odchyliła się prędko i z całych sił kopnęła prostaka prosto w tyłek. Uderzenie odrzuciło go w powietrze nad polerem, głową do przodu, wprost do znajdującej się piętnaście stóp niżej wody.

Wylądował w niej z głośnym pluskiem.

Caitlin wbiegła szybko po linowej rampie razem z Różą u boku i wcisnęła się na wielką, żaglową łódź wyladowaną ludźmi po brzegi.

Stało się to tak szybko, że miała nadzieję, iż nikt niczego nie zauważył. I chyba właśnie tak było, ponieważ chwilę później załoga wciągnęła na pokład linową kładkę i łódź zaczęła odbijać od brzegu.

Caitlin podbiegła do burty i spojrzała w dół: zauważyła go, jak taplając się w wodzie i wynurzając co chwila głowę, uniósł pięść w kierunku łodzi.

– Zatrzymać łódź! Zatrzymać łódź! – wrzasnął.

Jego krzyki utonęły jednak we wrzawie wiwatujących z powodu wyruszenia w podróż ludzi.

Ktoś z załogi zauważył go jednak i podbiegł na stronę łodzi, podążając za wskazującym Caitlin palcem mężczyzny.

Nie czekała, żeby zobaczyć, co się stanie. Szybko wcisnęła się w gęsty tłum razem z Różą, meandrując i wykręcając raz w tę, raz w drugą stronę, aż w końcu dotarła głęboko w sam środek łodzi, w ciasny gąszcz ludzkiej masy. Przepychała się dalej, cały czas pozostając w ruchu. Setki ludzi cisnęły się ze sobą, a ona miała nadzieję, że dzięki temu jej nie zauważą, ani Róży.

W kilka minut łódź nabrała prędkości. Caitlin odetchnęła wreszcie głęboko.

Zdała sobie sprawę, że nikt za nią nie szedł, a nawet, na tyle, na ile mogła stwierdzić, nikt jej nie szukał.

Zaczęła przeciskać się przez tłum z większym spokojem, z Różą u boku, zmierzając na odległy kraniec łodzi. W końcu udało się i, wcisnąwszy się przy zatłoczonym relingu, oparła się o poręcz i wyjrzała na zewnątrz.

W oddali zobaczyła wciąż kołyszącego się na wodzie mężczyznę, który właśnie dopłynął do brzegu i zaczął podciągać się na nabrzeże.

W tej chwili wydawał się już tylko niewielką kropką na horyzoncie. Uśmiechnęła się. Dobrze mu tak.

Popatrzyła w drugą stronę i prosto przed sobą zobaczyła wylaniającą się zza widnokregu Wenecję.

Uśmiechnęła się szerzej, oparła wygodniej na relingu i poczuła, jak chłodna morska bryza zaczęła rozwiewać jej włosy. Był ciepły, majowy dzień.

Temperatura była w sam raz, a słone powietrze działało orzeźwiająco. Róża

podskoczyła i, oparłszy łapy o reling, również wyrzała na zewnątrz i wciągnęła powietrze.

Caitlin uwielbiała łodzie od zawsze. Nigdy nie zwiedziła autentycznego, historycznego statku żaglowego – nie mówiąc o żeglowaniu na takowym.

Uśmiechnęła się i poprawiła w myślach: to jeszcze nie był historyczny statek.

Był nowoczesny. Jak na tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty rok przystało.

Niemal wybuchnęła głośnym śmiechem, rozbawiona tą myślą.

Podniosła wzrok na wysokie, drewniane maszty pnące się do nieba.

Obserwowała, jak marynarze uwieszeni na grubych linach podnosili powoli wielkie płachty płótna. Wkrótce usłyszała łopot materiału. Wyglądał na ciężki.

Marynarze pocili się w słońcu, ciągnąc za liny ze wszystkich sił tylko po to, aby podnieść płótno kilka cali wyżej.

A więc na tym to polegało. Caitlin była pod wrażeniem ich sprawności, jak gładko im to szło. Nie mogła uwierzyć, jak ta wielka, zatłoczona łódź poruszała się tak szybko, zwłaszcza wobec braku dobrodziejstwa w postaci nowoczesnego silnika. Zaczęła zastanawiać się, co pomyślałby kapitan tej łodzi, gdyby opowiedziała mu o silnikach z dwudziestego pierwszego wieku, o tym, jak o wiele szybciej mógłby dzięki nim podróżować. Pewnie pomyślałby, że zwariowała.

Spuściła wzrok i popatrzyła na wodę przepływającą dwadzieścia stóp niżej, niewielkie fale rozbijające się o burtę. Woda była tak jasna, taka błękitna, że aż zdawała się magiczna.

Wszyscy wokół niej zaczęli cisnąć się, próbowali dojść do relingu, by rozejrzeć się po okolicy. Objęła spojrzeniem otaczających ją ludzi i uświadomiła sobie, jak zwyczajnie byli w większości ubrani. Wielu nosiło jedynie tuniki i sandały, byli też i tacy, którzy poruszali się boso. Byli jednak też i inni, ubrani elegancko, którzy starali się trzymać się z dala od tłumu. Kilku nosiło wymyślne maski z wystającym, długim, haczykowatym nosem. Śmiali się i rozpychali, najwyraźniej podpici.

Zauważyła też, że znakomita część pasażerów pociągała wina z butelek, wydając się pijana bez względu na wczesną, poranną porę. Na całej łodzi panowała świąteczna, hałaśliwa atmosfera, jakby wszyscy ci ludzie byli w drodze na jakąś potężną zabawę.

Caitlin przepchała się przez tłum wzdłuż relingu, mijając rodziców z dziećmi na rękach, zmierzając powoli, acz nieustępliwie na dziób. W końcu ujrzała to, na czym jej zależało. Oparła się na burcie i zaczęła obserwować, jak łódź zmierzała wprost w kierunku Wenecji.

Niczym nieprzesłonięty obraz miasta zaparł jej dech w piersi. Widziała jego zarys, piękne, historyczne budynki, wszystkie usytuowane starannie jeden przy

drugim, frontem do wody. Niektóre fasady były naprawdę okazałe, bogato zdobione, białe, pokryte bogactwem kształtów i drobiazgów. Wiele z nich posiadało strzeliste mury i okna wychodzące na otaczające je wody i co dziwne, ich główne drzwi wejściowe umieszczone były tuż nad poziomem wody.

Niewiarygodne. Można było dosłownie przybić do czyichś drzwi i wejść do środka.

Wśród tych wszystkich budowli dostrzegła kościelne iglice i sporadyczne kopuły znaczące horyzont. Było to miasto o wspaniałej architekturze, wytwornym, ozdobnym stylu, a wszystko to zdawało się zaprojektowane tak, by wychodzić na otaczające wody. Nie chodziło tu jedynie o współlistnienie z żywiołem – miasto go pochłaniało.

Wszędzie wzdłuż budynków, łącząc obydwie strony miasta, widniały niewielkie, zwieńczone łukiem mosty ze schodkami wznoszącymi się z obu stron, pośród których znajdowały się szerokie płaszczyzny. Ludzie spacerowali po nich w tę i z powrotem, albo po prostu siedzieli na brzegu i spoglądali na łodzie przepływające obok.

I wszędzie – dosłownie *wszędzie* – były statki. Kanały były całkowicie zapchane wszelakiego rodzaju i rozmiaru jednostkami –

na tyle, że aż trudno było dostrzec wodę. Słynne gondole były wszędzie dookoła. Wioślarze stali na burtach i sterowali po wodzie. Zdziwiła się, widząc jak były długie. Niektóre miały ze trzydzieści stóp. A między nimi pływały przeróżne mniejsze statki i łodzie. Niektóre dostarczały żywność, inne zabierały odpady. Miasto tętniło życiem. Nigdy w całym swoim życiu nie widziała czegoś podobnego.

Kiedy zlustrowała tłumy, ogromne ludzkie masy, poczuła dreszcze na plecach na myśl, że Caleb mógł tu być, wśród nich. Może właśnie na niego patrzyła? Wiedziała, że to głupie z jej strony, zwłaszcza z tej odległości, a mimo to starała się przyglądać ich twarzom, sprawdzać, czy być może, tylko być może, go wypatrzy.

Chłoneła cały ten ogrom i bezmiar miasta, tysiące ludzi cisnących się w każdym kierunku i nagle, jakąś częścią swojego jestestwa, tą rozumną, poczuła ogarniającą ją beznadzieję. Zdała sobie sprawę, że jej misja była skazana na niepowodzenie, że nie istniał żaden sposób, by mogła odszukać Caleba wśród tych wszystkich ludzi. Z drugiej strony, jej wiara w przeznaczenie sprawiała, iż czuła podekscytowanie, optymizm, że po prostu wiedziała, gdzieś głęboko w sercu, że jeśli Caleb tu był, to pisane im było się odnaleźć.

Tak czy siak, nie mogła oprzeć się podekscytowaniu, ani nie czuć dreszczyku związanego z podróżą. Z jej podróżą dokoła świata. A za chwilę miała poznać nowe miasto.

I może, tylko może, Caleb był na brzegu.

*

Opuściła łódź wraz z setkami innych pasażerów, ściśnięta między nimi, napierając na nich z Różą u boku, schodząc po stromej, linowej rampie. Panował

totalny chaos. Większość pasażerów, jeśli nie wszyscy, zdążyła się już do tej pory upić i hałasowała, więc dotarcie na nabrzeże zaczęło przypominać ogólną bijatykę.

Caitlin poczuła ulgę, kiedy jej stopy dotknęły ziemi. Szybko wyprowadziła Różę z gęstego tłumu, z dala od portu, w kierunku weneckich ulic.

Widok był przytłaczający. Miała nadzieję, że kiedy zejdzie z łodzi, tłumy się przerzedzą – ale nic z tego. Ludzie cisnęli się wszędzie. Co chwila ktoś ją popychał to w lewo, to znów w prawo.

Wkrótce znalazła się na ogromnym, nieosłoniętym placu, dokoła którego wyrastały potężne budowle, wszystkie skierowane frontem

do placu. Przeczytała tabliczkę: Piazza San Marco. Plac św. Marka. Nad placem dominował olbrzymi kościół, Basilica di San Marco, a po drugiej stronie stała Campanile, potężna, smukła wieża pnąca się setki stóp do nieba. Jak na zawołanie odezwał się potężny, kościelny dzwon i jego bicie rozdarło powietrze na placu niczym wybuch bomby.

Tysiące ludzi przemieszczały się bezładnie, zajmując się szeregiem przyprawiających o zawrót głowy czynności. Kiedy odważyła się wejść na plac, z wahaniem, ze wszystkich stron otoczyli ją obcy ludzie. Wszyscy chcieli sprzedać jej swoje towary. W dłoniach trzymali małe, drewniane lalki, jaskrawo pomalowane szkło, flaszki wina, ale przede wszystkim maski. Wszędzie, gdzie by nie patrzeć, były maski. Co dziwniejsze, wszędzie, gdzie skierowała wzrok, ze zdziwieniem zauważyła ludzi je noszących. Przeważnie była to biała maska z długim, haczykowatym nosem, ale było też wiele innych o różnorodnym kształcie i wielkości. Co dziwniejsze, wiele ludzi spacerowało w kostiumach, niektórzy byli całkowicie pod nimi ukryci. Jakby przybyła na wielką imprezę halloweenową. Nie miała pojęcia, z jakiej to okazji. Czy ludzie zawsze tutaj tak się ubierali?

Jakby nie było tego dosyć, wszyscy wydawali się pijani lub szybko do tego stanu zdążali. Śmiali się za głośno, śpiewali sami sobie, popychali jeden drugiego i pili wino wprost z dzbanów. Wszędzie rozbrzmiewała muzyka. Co kilka kroków trafił się jakiś gitarzysta lub skrzypek siedzący na skrzyni czy stołku, wygrywający melodie z wyciągniętym kapeluszem, prosząc o drobne.

Widowiska dopełniali żonglerzy, komicy, klauni i wszelkiego rodzaju artyści. Tuż przed nią jakiś mężczyzna żonglował jaskrawo barwionymi

piłeczkami, jeszcze inny podrzucał zapalone pochodnie. Zatrzymała się, obserwując to z podziwem.

Po chwili ktoś popchnął ją mocno. Odwróciła się i ujrzała wielkiego mężczyznę noszącego pelerynę i maskę, pijanego, chwiejącego się na każdym kroku i przytrzymującego wymyślnie ustrojoną kurtyzanę. Na oczach Caitlin sięgnął dłonią w dół i chwycił pośladek kobiety, która wybuchnęła śmiechem.

Miasto przypominało cyrk. Nigdy jeszcze nie widziała tak hałaśliwego i bezładnego miejsca. Nie mogła się nadziwić, że aż taka nieprzyzwoitość mogła uchodzić tu w najlepsze tuż przed tymi wszystkimi kościołami. Była to najdziwniejsza dychotomia, jaką

kiedykolwiek widziała. Czy to miasto żyło jedną, niekończącą się zabawą? Czy też trafiła na jakiś szczególny okres?

Zauważyła grupkę wytwornie ubranych kobiet, które torowały sobie drogę przez tłum. Miały wymyślne suknie i, przepychając się dalej, przytrzymały niewielkie sakiewki przy nosach.

Zastanowiło to ją. Co to mogło być? I wtedy do niej dotarło. Smród. Była zbyt odurzona na początku, by to zauważyć. Teraz jednak, kiedy szła coraz dalej, przytłoczył ją okropny zapach wszystkich i wszystkiego wkoło. Jakby nikt tutaj nigdy się nie kąpał. Przenigdy.

Wtedy coś sobie przypomniała: oczywiście, że nie. Przecież był to dopiero tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty rok. Kanalizacji jeszcze nie wynaleziono. Z

każdą chwilą, kiedy słońce wspinało się na nieboskłon i temperatura rosła, odór stawał się jeszcze gorszy. Caitlin złapała się za nos, ale bez względu gdzie skierowała kroki, nie mogła przed nim uciec. I to dlatego tamte kobiety trzymały sakiewki przy nosach: żeby zablokować zapach.

Nagle doznała uczucia klaustrofobii. Zauważyła boczną uliczkę i przedarła się w jej stronę przez grupkę żonglerów i gitarzystów. Kiedy przemierzała plac zauważyła, że prowadziło do niego wiele podobnych uliczek. Przypominały bardziej wąskie alejki przy strzelistych budynkach. Skręciła chyłkiem w najbliższą z nich.

W końcu mogła zaczerpnąć tchu. Róża również wyglądała, jakby poczuła ulgę. Poszły wąską uliczką, która wiła się, skręcając to w prawo, to w lewo.

Ulice były wąskie, a budynki powstrzymywały większość słonecznego światła.

Zaczęła odnosić wrażenie, że to miasto ją pochłania. Stanęła i zaczęła rozmyślać, dokąd pójść. Odważyła się pokonać zaledwie kilka przecznic i to wystarczyło, by całkowicie się pogubiła. Nie miała więc pojęcia ani gdzie szła, ani gdzie miałyby szukać Caleba – jeśli w ogóle tu był. Żałowała, że nie ma mapy – chociaż z drugiej strony nie miała przecież pieniędzy – albo raczej prawdziwych pieniędzy – którymi mogłaby za nią zapłacić.

Co gorsza, ponownie poczuła zżerający ją głód oraz wynikającą z tego powodu irytację. Róża zaskomlała, jakby czytała jej w myślach. Biedactwo również było głodne. Caitlin postanowiła znaleźć jakiś sposób, by nakarmić je obie.

Nagle usłyszała otwierające się nad nią okiennice, a zaraz potem głośny plusk. Odskoczyła, zauważywszy, jak zawartość wiadra wylądowała na ziemi tuż obok, nieźle ją strasząc. Podniosła wzrok i dostrzegła bezzębną staruchę, która opróżniła wiadro i zatrzasnęła za sobą okiennice.

Caitlin poczuła nosem okropny odór. Nikt nie musiał jej tłumaczyć, co właśnie zrobiła ta stara kobieta: wyrzuciła przez okno wiadro pełne moczu.

Poczuła odrazę. Usłyszała kolejne, otwierające się okiennice gdzieś w oddali, obejrzała się i zobaczyła, jak ktoś inny zrobił właśnie to samo. Spuściła wzrok i zdała sobie sprawę, że na ulicy zalegał mocz i kał. Zauważyła też kilka szczurów przemykających tu i ówdzie. Niemal ją cofnęło. Dzięki temu, po raz pierwszy w życiu naprawdę doceniła wynalazki i wygodę, jakie zapewniał jej dawny świat, co przecież uważała za coś oczywistego. Kanalizacja. Systemy odprowadzania ścieków. Zateęskniła za czystością. Poczuła nostalgię większą niż kiedykolwiek.

Jeśli taki miał być przedpremierowy pokaz miejskiego życia w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku, to nie była pewna, czy jest w stanie to znieść.

Pospieszyła dalej, zanim kolejne okiennice zdążyły się otworzyć i w końcu dojrzała przed sobą coś w rodzaju otwartej przestrzeni. Dotarła na koniec alejki i rzeczywiście okazało się, że uliczka otwierała się na kolejny plac, tym razem jednak mniej zatłoczony. Z uczuciem ulgi opuszczała boczną drogę, mogąc nareszcie napawać się słońcem i otwartym niebem.

Przeszła przez plac i usiadła na krawędzi dużej, okrągłej fontanny, na jednym z niewielu wolnych miejsc wśród zgromadzonego tłumu. Róża wskoczyła obok niej i usiadła, zerkając na nią i skomląc.

Kiedy tak sobie siedziała i próbowała zebrać myśli, podszedł do niej jakiś mężczyzna. Wskazał pędzlem na trzymane w drugiej ręce płótno. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a on nie przestawał wskazywać na płótno. – Narysuję twój obraz. Bardzo ładny. Przepiękny. Jak zapłacisz.

Caitlin potrząsnęła głową. – Przykro mi – powiedziała. – Nie mam pieniędzy.

Mężczyzna oddalił się prędko. Caitlin rozejrzała się po placu i zauważyła ulicznych artystów. Byli wszędzie. I namawiali ludzi, by im płacili. Wtedy spostrzegła coś, co ją zaniepokoiło: stada dzikich

psów. Wałęsały się po obrzeżach placu i grzebały w śmieciach. Zauważyła dużego psa, który zatrzymał

się i spojrzał w jej stronę. Wydawał się skupiony na Róży – wkrótce potruczał

w ich kierunku.

Róża musiała również to wyczuć, ponieważ odwróciła się powoli i zmierzyła wzrokiem zbliżające się zwierzę. Caitlin zauważyła, jak Róża spięła się cała i również ona się spięła. Wielki, parchaty pies był nieco podobny do owczarka niemieckiego. Podszedł do Róży i obwąchał ją. Róża prychnęła w odpowiedzi, po czym zjeżyła włosy na karku. Kiedy pies spróbował podejść od tyłu, nagle kłapnęła zębami i, warcząc nieziemskim głosem, obnażyła kły i zatopiła je w jego karku.

Pies zawył. Chociaż był większy, Róża była zdecydowanie silniejsza. Nie dawała za wygraną tak długo, aż w końcu pies uciekł.

Siedziała podekscytowana, warcząc przeraźliwie, niesamowicie, aż kilkoro ludzi cofnęło się przed nią, dając im nieco więcej swobody.

Caitlin była w szoku. Nigdy jeszcze nie widziała Róży w takim stanie. Zdała sobie sprawę, że nie była już tym małym, niewinnym szczeniakiem, które tak dobrze pamiętała; Róża dorastała i wkrótce miała stać się pełnokrwistą wilczycą, przeciwnikiem, z którego siłą należało się liczyć.

Caitlin poczuła nieprzyjazne spojrzenia otaczających je ludzi i postanowiła iść dalej, zanim ktoś zda sobie sprawę, że Róża nie była tylko zwykłym psem.

Zwrócenie na siebie większej uwagi była ostatnią rzeczą, jakiej akurat teraz było jej trzeba.

Wstała i poprowadziła Różę na przeciwległy skraj placu. Zaglądała we wszystkie boczne ulice i alejki prowadzące z placu i na plac i czuła się przytłoczona. Czy postąpiła głupio, przybywając tutaj? Jak w ogóle miałyby znaleźć Caleba pośród tej całej masy ludzi, w całym tym miejskim labiryncie?

Może powinna posłuchać rady księdza i zamiast tego podążyć do Florencji. Czy postąpiła głupio, idąc za głosem serca?

Zanim zdołała dokończyć tę myśl, coś przykuło jej uwagę. Na odległym krańcu placu zauważyła dziewczynę wleczoną w stronę bocznej alejki i usłyszała jej stłumiony płacz, zanim jej ust nie zakryła czyjaś dłoń. Była najwyraźniej w tarapatkach.

Bez chwili namysłu Caitlin zerwała się z miejsca i ruszyła za dziewczyną.

Wbiegła do alejki z Różą u boku. Wkrótce pędziła rzędem wijących się i skręcających alejek. Słyszała stłumione krzyki w oddali. Skreśliła w kolejną alejkę, potem następną, aż całkowicie zgubiła się w labiryncie bocznych uliczek.

W końcu dostrzegła dziewczynę przed sobą. Trzej mężczyźni wlekli ją ku krańcowi alejki. Jeden z nich zasłaniał jej usta dłonią, pozostali trzymali jej ramiona. Byli postawni, łysi, pokryci bliznami i wyglądali złowrogo.

Dziewczyna stawiała im dzielnie opór, ugryzła nawet jednego w rękę. Jej oczy były szeroko otwarte ze strachu. Szarpała ramionami, łokciami i kolanami

– ale nie zdało się to na wiele. Mężczyźni byli najwyraźniej od niej silniejsi.

– Puście ją! – wrzasnęła Caitlin. Podbiegła bliżej i zatrzymała się niedaleko.

Trójka mężczyzn zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na Caitlin. Musieli być w niezłym szoku, kiedy stanęli twarzą w twarz z jedną, zwykłą dziewczyną.

Na początku nie wiedzieli nawet, co o tym myśleć.

– Powiedziałam, puście ją – powtórzyła niskim, stalowym głosem.

– Nie zamierzam się powtarzać.

Wróciła myślami do tych chwil, kiedy była obiektem szykan, kiedy zastraszano ją i obezwładniano, zwłaszcza, kiedy była jeszcze człowiekiem.

Nienawidziła tyranów ponad wszystko na świecie. I jeśli było cokolwiek, co jeszcze bardziej ją rozsierdzało, to właśnie widok jakiegoś faceta, który próbował zrobić krzywdę dziewczynie. Poczwała, jak przepelnia ją gniew, jak płomień rozchodzi się po jej ciele od stóp, przez nogi, ramiona i dłonie; czwała, jak ją przeistacza, obdarza mocą, o której posiadanie nigdy by siebie nie podejrzewała. Oślepiła ją, kompletnie ogarniała. Nie miała wyboru. Dała jej się ponieść.

Ci trzej kretyni upuścili dziewczynę brutalnie na bruk, uśmiechnęli się jeden do drugiego i zwrócili w kierunku Caitlin. Dziewczyna mogłaby uciec, ale zamiast tego została na miejscu i obserwowała zajście. Caitlin usłyszała za sobą warczącą Różę.

Nie czekała. Zrobiła trzy kroki w przód, skoczyła w powietrze i wylądowała obiema stopami twardo na klatce piersiowej idącego przodem mężczyzny.

Kopnęła go tak mocno, że poleciał w tył o dobre kilka stóp.

Zanim pozostali zareagowali, obróciła się i wyrznęła łokciem drugiego mężczyznę w twarz, krusząc mu kość policzkową z głośnym trzaskiem i posyłając go na ziemię.

Trzeci napastnik chwycił ją od tyłu i przytrzymał ze wszystkich sił.

Zaskoczona tym przez chwilę Caitlin, zaczęła się szamotać. Ten mężczyzna był

jednak silniejszy, niż mogłaby się tego spodziewać.

W chwili, kiedy szykowała się już do przerzucenia go przez ramię, usłyszała dźwięk tłuczonego szkła i poczuła, że zwolnił uścisk.

Odwróciła się i zobaczyła stojącą za nią dziewczynę. W ręce trzymała zbitą butelkę. Mężczyzna leżał nieprzytomny na ziemi: najwyraźniej musiała zdzielić go nią po głowie.

Zanim zdołała jej podziękować, ten pierwszy mężczyzna, który zdążył już stanąć na nogi, zaatakował ponownie. Tym razem jednak Róża dała się ponieść szałowi. Przejęła pałeczkę. Rzuciła się na niego i skoczywszy w powietrze zacisnęła mu zęby na gardle. Mężczyzna padł na ziemię. Zaczął wić się i krzyczeć, ale w żaden sposób nie mógł pozbyć się Róży.

W końcu wyzionął ducha, a Róża wróciła do Caitlin.

Caitlin zlustrowała poczynione szkody: trzech mężczyzn leżących na ziemi, pozbawieni przytomności.

Odwróciła się i spojrzała na dziewczynę.

Dziewczyna popatrzyła na nią, nie tyle zdumiona, co wdzięczna.

Caitlin gapiała się na nią. Również była zszokowana. Ale nie z powodu tego, co się właśnie stało.

Raczej dlatego, że *znała* tę dziewczynę.

W rzeczy samej, była kiedyś jej najlepszą przyjaciółką.

Polly.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sam obudził się przy dźwięku dudniących kościelnych dzwonów. Nigdy nie przypuszczał, że mogą aż tak głośno dzwonić. Odniósł

wrażenie, że znalazł się właśnie w środku jednego z nich. Całe jego ciało trzęsło się od tego brzmienia.

Otworzył oczy na kompletny mrok. Sięgnął dłonią i wyczuł przed sobą kamień.

Zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękoma. Wkrótce wiedział już, że zewsząd był otoczony kamieniem. Leżał płasko na plecach. Próbował poruszać się na boki, ale bez skutku. Wtedy dotarło do niego, że był w trumnie.

W popłochu uniósł ręce i pchnął ze wszystkich sił. Po kilku sekundach zdołał

przesunąć kamienną płytę; przesunęła się ze zgrzytem o kilka cali i przez powstałą szczelinę do środka wdarło się świeże powietrze i światło. Odetchnął

głęboko, uświadamiając sobie, jak bardzo było mu tego trzeba.

Wetknął kilka palców w szczelinę i ze wszystkich sił popchnął płytę na bok.

Kolejny raz zazgrzytała, jakby protestując. Wkrótce jednak mógł wcisnąć wszystkie palce, a potem całe dłonie. Po kilku chwilach zepchnął płytę zupełnie, a popychając ją ostatni raz, zwalił ją z łoskotem na ziemię, rozbijając na tysiące kawałków.

Usiadł wyprostowany, chciwie łykając powietrze i zakrył oczy dłońmi przed słońcem.

Wyskoczył z trumny i chwiejąc się na osłabionych nogach, pognął w kąt, gdzie schował się przed bezpośrednim działaniem promieni słonecznych.

Przeszukał kieszenie i szybko rozwinął okład i zaaplikował na swe ręce i ramiona. Znalazł tam również krople do oczu i wkropił po dwie do każdego oka.

Po chwili, jego oddech zwolnił. Zaczął się uspokajać, czuć na powrót sobą.

Rozejrzał się dokoła.

Był w jakimś grobowcu, antycznym i zakurzonej. Zauważył otwarte drzwi prowadzące na zewnątrz.

Zebrał się w sobie i wyszedł wprost na słoneczne światło. I zamarł z wrażenia, gdzie trafił. Ze szczytu wzgórza ciągnęły się setki stopni. Swoją podróż miały w kościelnym mauzoleum i prowadziły w dół

do miasta. Do Rzymu. Miał przed sobą pełny obraz całego miasta, wspaniałą panoramę.

Odwrócił się i przyjrzał kościołowi, z którego właśnie wyszedł. Następnie znowu się odwrócił i przyjrzał schodom. Nagle uderzyło go to wszystko.

Wiedział, gdzie się znajdował. Widział to wszystko już wiele razy na pocztówkach: Schody hiszpańskie w Rzymie.

Jego podróż w czasie powiodła się. Nie wiedział za dobrze, dlaczego trafił

akurat tutaj, lub jaki był rok. Miał jednak nadzieję, że był tam, gdzie wylądował

Kyle. Sam nie mógł przypomnieć sobie wszystkiego – jego czas spędzony w Nowym Jorku wydawał się jakiś zamglony, jakby był jedynie snem – jedną rzecz jednak pamiętał bardzo dobrze: swoją pełną determinacji pogoń za Kyle’em.

Pamiętał, jak dowiedział się, że Kyle cofnął się w czasie, by zabić jego siostrę oraz to, że od tamtej chwili nie potrafił usiedzieć na miejscu. Postanowił

odszukać Kyle’a, bez względu na wszystko i zabić go, zanim ten zdoła wyrzucić krzywdę jego siostrze.

Zanim się o tym dowiedział, był przygnębiony, skłócony ze sobą, w głębokiej rozpaczyc spowodowanej tym, co zrobił swojej siostrze i Calebowi.

Nigdy nie chciał tego wszystkiego. Kiedy dowiedział się, co knuje Kyle, zaczął

patrzeć na całą sprawę jak na szansę otrzymania zapłaty za wszystko, co zrobił –

oraz zemścić się na Kyle’u. Sam wiedział, że nie mógł oczekiwać przebaczenia ze strony swojej siostry, Ale być może mógł przynajmniej wesprzeć ją na swój niewielki sposób.

Kiedy schodził po schodach wśród tłumów zauważył, że niektórzy ludzie ustępowali mu drogi i przyglądali się mu dziwnie. Niektórzy wskazywali na niego i spoglądali wyżej. Nagle uświadomił sobie, że musiał wyglądać nietuzinkowo, prawdopodobnie cały pokryty kurzem z grobowca. Niektórzy z nich widzieli go także, kiedy opuszczał mauzoleum, i być może słyszeli rozpadający się kamień.

Przyspieszył tempa, uważając, że najlepiej nie pozostawiać im zbyt dużo czasu do namysłu. Pospiesznie zszedł w dół po schodach, biegnąc niemal i pokonując trzy stopnie na raz.

Lawirował w tłumie, zastanawiając się, w którą stronę podążyc.
Czuł

wyraźnie obecność Kyle'a w mieście. Trudno byłoby tego nie wyczuć –

emanował czystym złem, roztaczał na swojej drodze niemal namacalną woń.

Sam podążył jego tropem, zgodnie z tym, co podpowiadały mu zmysły, lawirując bocznymi ulicami Rzymu. Ledwie zwracał uwagę na otoczenie. Był

zbyt zaabsorbowany wypełnieniem swojej misji.

W pewnej chwili znalazł się na jakiejś wyjątkowo wyglądającej ulicy.

Poszedł nią, potem kolejną alejką.

I zatrzymał się nagle, w samą porę, by nie potknąć się o coś: na ziemi leżały dwa gnijące trupy. Jeden wyglądał na prostytutkę, drugi zaś na jej sutenera. Sam wyczuł bardzo wyraźnie, że Kyle był tutaj, oraz że to było jego dzieło.

Podążył za swymi zmysłami. Pokonał kilka kolejnych ulic i zanim zdążył się zorientować, wpadł na wielki, antyczny plac: Piazza Della Rotonda. Przed sobą zaś ujrzał miejsce, którego szukał: Panteon.

Stanął i zapatrzył się pełen zdumienia. Budowla była wspaniała. Jej ogromne kolumny rozpostarte przed wejściem i okrągła kopuła były zarówno piękne jak i imponujące. Widział ją już w Internecie, lecz w żadnej mierze nie równało się to z zobaczeniem jej na żywo.

Internet, pomyślał i niemal wybuchnął śmiechem. Pierwszy raz rozejrzał się uważnie wokół. Zauważył ludzi ubranych w dawne stroje, brak samochodów i jakichkolwiek nowoczesnych udogodnień i nie mógł się nadziwić, jak wiele czasu dzieliło tych ludzi od poznania, czym był internet.

Skupił się. Wyczuł Kyle'a za tymi murami. Zacisnął pięść, sposobiąc się do walki.

Ruszył sprintem w kierunku budowli. Czuł głęboko w swoim sercu, że nareszcie dorównywał siłą Kyle'owi. I jeśli miał umrzeć w tej walce, chciał mieć to już za sobą.

Pobiegł po schodach i przycisnął rękę do potężnych ogromnych drzwi; co dziwne, były uchylone, jakby na coś czekały.

Pobiegł korytarzem wprost na środek głównej, okrągłej sali Panteonu. Zebrał

się w sobie, gotując do walki, do konfrontacji z Kyle'm, by runąć na niego z wielką siłą.

Kiedy jednak jego szarża dobiegła końca, kiedy zatrzymał się i rozejrzał

dokoła, ze zdziwieniem zauważył, że nie było tu dosłownie nikogo. Odgłosy jego kroków odbijały się echem od ścian, od wielkiej kopuły w górze, od marmurowej posadzki, kiedy odwracał się na wszystkie strony, szukając Kyle'a, lub jakiegokolwiek przeciwnika.

Był zaszokowany. Był pewien, że wyczuwał obecność Kyle'a w tym miejscu. Nigdy wcześniej jego zmysły nie zawiodły go aż tak bardzo. Może to był jakiś podstęp?

Zanim zdążył skończyć rozważania, wyczuł jakiś ruch. Coś zbliżało się do niego niesamowicie szybko. W ostatniej chwili podniósł wzrok i to zobaczył.

Setki wampirów ze skrzydłami wyprostowanymi jak u nietoperzy czekały na niego uczone stropu.

Wszystkie opadły na niego jak pająki, nurkując w powietrzu wprost na niego. Zostało im jeszcze tylko kilka stóp.

Było za późno na jakąkolwiek reakcję. Wszystko, co zdołał ujrzeć, to przeraźliwy tłum wampirów opadających na dół, chętnych pożreć swoją ofiarę.

Ich wrzaski i warknięcia były straszliwe. Kiedy ich wielkie skrzydła owinęły się wokół niego, nie potrafił oprzeć się myśli, że to ostatnie jego chwile na ziemi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Caitlin stała jak odurzona. Nie mogła uwierzyć, że to rzeczywiście była Polly. Wyglądała dokładnie tak samo. Miała wyróżniającą się, przezrystą, białą skórę, jasnobrązowe włosy i wielkie, błyszczące, niebieskie oczy. Wyglądała też na ten sam wiek, miała gdzieś koło osiemnastu lat. Racjonalnie rzecz biorąc, Caitlin wiedziała, że powinna się tego spodziewać. Jednak stanąwszy z nią twarzą w twarz, była całkowicie zaskoczona.

Polly uśmiechnęła się szeroko, wyszczerzyła od ucha do ucha, pokazując rząd pięknych, białych zębów – dokładnie taką ją Caitlin zapamiętała. To było niesamowite. I tak przyjemne rozpoznać kogoś znajomego. Pierwszy raz poczuła, że nie jest tu sama.

– Cóż, z pewnością wiesz, jak walczyć, co? – spytała Polly. Miała ten sam akcent, ten sam głos, tę samą manierę. Przyjrzała się Caitlin przez chwilę. Przez jej twarz przemknęło coś jakby rozpoznanie, ale szybko znikło.

– Jestem Polly – powiedziała i wyciągnęła rękę. – I komu zawdzięczam tę przyjemność?

Caitlin nie wiedziała, co odpowiedzieć. Naprawdę była w szoku. Jeśli mogło stać się coś bardziej niesamowitego niż ponowne spotkanie Polly, to tylko to, że jej nie rozpoznała, jakby Caitlin była dla niej całkowicie obcą osobą, jakby nigdy wcześniej się nie spotkały, nie dzieliły doświadczeń na wyspie Pollepel.

Oczywiście, Caitlin wiedziała, że nie było żadnego powodu, by Polly *miała* ją pamiętać. Przecież Caitlin *cofnęła się* w czasie, a nie przeniosła w przyszłość.

Mimo to, Caitlin znała ją tak dobrze, wręcz doskonale. To wszystko było całkowicie niewiarygodne. Zaczynała już myśleć, że Polly stroi sobie żarty, że ją sprawdza.

– Polly – powiedziała – to ja, Caitlin.

Polly spojrzała na nią, a na jej twarzy pojawiły się zmarszczki świadczące o konsternacji. W końcu Caitlin uzmysłowiła sobie prawdę: Polly rzeczywiście nie miała pojęcia, kim Caitlin jest.

– Wybacz – odparła Polly – spotkaliśmy się już? Przykro mi, ale nie przypominam sobie. Wybacz, jeśli tak było. Jeśli chodzi o imiona i twarze, jestem w tym okropna. Nazywasz się Caitlin? Ładnie. Cóż, teraz, kiedy mamy już za sobą część oficjalną, cieszę się, że cię spotkałam. Naprawdę wybawiłaś mnie z kłopotu – powiedziała, lustrując wzrokiem ciała trzech pozbawionych świadomości drabów, którzy nadal leżeli na ziemi bez ruchu. – Podłe dziadostwo.

Róża podbiegła do Polly, skomląc i merdając ogonem jak oszalała.

Oczy Polly otwarły się szeroko z radości. Nachyliła się i pogłaskała Różę.

– A cóż my tu mamy? – spytała.

– Ma na imię Róża – powiedziała Caitlin. Najwyraźniej Róża pamiętała Polly, aczkolwiek równie znamienne było to, że Polly nie

pamiętała Róży.

Mimo to Polly okazała Róży tyle samo sympatii, co kiedyś.

– Róża – powtórzyła i uściskała ją, kiedy ta polizała jej policzek. – Jakie słodkie imię. Roześmiała się. – No, już dość, Rózo! – powiedziała. – Mój Boże, ale entuzjazm! Pomyślałby kto, że mnie zna!

Caitlin uśmiechnęła się.

– No właśnie – odparła.

Jeden z nieprzytomnych mężczyzn jęknął i Polly nagle rozejrzała się po alejce.

– Lepiej się stąd wynośmy – powiedziała. Chwyliła dłoń Caitlin i wyprowadziła ją z alejki, a Róża ruszyła natychmiast za nimi.

Szły pod ramię, niczym para zaprzyjaźnionych, najlepszych przyjaciółek, mijając kolejne boczne uliczki Wenecji. Polly prowadziła, cała szczęśliwa, praktycznie podskakując, a Caitlin była zachwycona radością okazywaną jej przez Różę. Może Polly nic nie pamiętała, ale i tak Caitlin miała wrażenie, że znały się od wieków. Tak jak za pierwszym razem, kiedy spotkały się na Pollepel.

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę – powiedziała Polly. – Tamci mężczyźni nie życzyli mi najlepiej, lekko powiedziawszy. I to była moja wina tak naprawdę. Aiden ostrzegał nas, abyśmy nie ryzykowali i nie chodzili w pojedynkę. Bezpieczniej w towarzystwie, jak to ujął. Jestem silna – nie myśl, że nie – dziś jednak nie jestem w pełni sobą, a oni zaskoczyli mnie. Jestem znacznie silniejsza nocą. I źle by się to skończyło, tego jestem pewna. W

najgorszym przypadku straciłabym cały ten wieczór, a to po prostu nie mogło się wydarzyć.

Caitlin próbowała za nią nadażyć. Przypomniała sobie właśnie, że Polly zazwyczaj mówiła tak szybko, że z trudnością można było wtrącić cokolwiek.

Jej obecność oraz to, że była tuż obok, sprawiły, że Caitlin zrobiło się ciepło na sercu. Nawet jeśli Polly nic nie pamiętała. Caitlin miała nadzieję, że może z czasem Polly coś sobie przypomni. A nawet jeśli nie, to z wielką radością była gotowa rozpocząć ich znajomość całkowicie od nowa.

Co ważniejsze, Caitlin uderzyła jej dygresja. Czy wspomniała przed chwilą o Aidenie? Czy to było możliwe?

– Powiedziałaś Aiden? – spytała.

– Ależ oczywiście – odparła Polly. – Znasz go? Oczywiście, że nie.

Niemożliwe. Nie byłaś nigdy na naszej wyspie, prawda? Nie, nie, oczywiście, że nie. Wiedziałabym oczywiście. Ale zobaczysz ją teraz. Muszę przedstawić cię wszystkim. Ludzie mają wstęp wzbroniony, oczywiście. Tylko nasz rodzaj –

powiedziała, obejrzawszy się na Caitlin. – Oczywiście, wyczuwam, że jesteś jedną z nas. Wiedziałam w tej samej chwili, w której cię ujrzałam.

Caitlin próbowała coś powiedzieć, ale Polly jej przerwała.

– Nie należysz do żadnego klanu tutaj, prawda? Oczywiście, że nie. Znam każdego wampira w mieście. Chwyła Caitlin za ramię i zaczęła błagać –

Musisz przyłączyć się do naszego. *Musisz!* Porozmawiam z Aidenem. Jestem pewna, że ci pozwoli. Zwłaszcza, kiedy się dowie, jak mnie uratowałaś. Ach, nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna! W samą porę. Jakby to było nam przeznaczone.

Polly poprowadziła ją jedną alejką na kolejny, niewielki plac, potem następną boczną uliczką, pod niewielkim, kamiennym łukiem. Przeszły przez kładkę nad wąskim kanałem, po czym zawróciły po drugiej jego stronie.

Wydawało się, że Polly rzeczywiście znała te wszystkie uliczki.

Coś jej przyszło na myśl. Zawsze w obecności Polly miała z tym problemy.

– Polly – powiedziała, próbując złapać oddech. – Powiedziałaś, że znasz każdego wampira w mieście?

– Cóż, nie powiedziałabym, że *dostownie* każdego, ale większość z całą pewnością. Wenecja jest większa, niż ci się zdaje. Składa się naprawdę z wielu, wielu wysp. Chodzą słuchy, że niektóre wampiry skrywają się na małych wysepkach, o których nawet ja nie słyszałam.

Serce Caitlin waliło z podniecenia.

– Słyszałaś o Calebie? – spytała.

Polly zmarszczyła brwi.

– Caleb... Przykro mi, ale nic mi to nie mówi... Nie, nie mogę powiedzieć, że go znam.

Caitlin poczuła zawód. Być może naprawdę nie przeżył ich podróży. Może to, że wyczuwała przyjaciół w Wenecji dotyczyło tylko Polly. Może Caleb naprawdę odszedł.

– Więc jak? – spytała Polly.

Caitlin spojrzała na nią zdziwiona.

– Jak z czym?

– Idziesz ze mną? Na naszą wyspę? Byłoby tak zabawnie. Proszę. Miałabym wspaniałe towarzystwo. Tam jest tak *nudno*. I nie mogę tak po prostu pozwolić ci odejść, zwłaszcza po tym wszystkim. No chodź, nie masz dokąd pójść, prawda? Proszę, daj dziewczynie powód do radości.

Caitlin przyszło coś na myśl. Nie widziała żadnych przeciwwskazań. Jakby

nie było, rzeczywiście nie miała dokąd pójść, a chciała też spędzić więcej czasu z Polly – i spotkać się ponownie z Aidenem.

Uśmiechnęła się.

– Pewnie. Z ochotą.

Polly zapiszczała z radości.

– Doskonale! Mamy dodatkowy pokój, akurat dla ciebie. Ze wspaniałym widokiem na wodę. Tuż obok mojego. I Róży – dodała, nachylając się i głaszcząc Różę. – Oczywiście, mamy też miejsce dla ciebie.

Róża zamerdała ogonem i zaczęła skomleć bez opamiętania.

– Ach, biedactwo – powiedziała Polly – jest taka urocza, nieprawdaż? Ty też wyglądasz zachwycająco.

Polly pociągnęła ją za sobą kolejną alejką. Wkrótce Caitlin straciła orientację, ledwie nadążając krętymi drózkami. Zastanawiała się, w jaki sposób odnalazłaby drogę w Wenecji bez Polly.

Polly zatrzymała się przed jakąś wieśniaczką piekącą świniaka, która odkrawała kawałki mięsa i sprzedawała klientom.

Róża oblizwała się na ten widok.

Dwa proszę – powiedziała Polly, sięgając do kieszeni i podając kobiecie monetę. – I jeden dzban twojego specjału – dodała, mrugnawszy okiem.

Kobieta pokiwała głową porozumiewawczo. Ucięła dwa wielkie kawały mięsa i podała je Caitlin. Następnie wręczyła jej mały,

ceramiczny dzbanek.

Caitlin nachyliła się i nakarmiła Różę skrawkiem mięsa.

Zgłodniała Róża ledwie mogła się doczekać. Skoczyła i chwyciła mięso w powietrzu, zżarła od razu, oblizując pyszczek. Natychmiast zaskomlała, prosząc o więcej i utkwiała błagalne spojrzenie w Caitlin.

Polly roześmiała się. – W porządku, Rózo. Rozumiem – powiedziała i wręczyła kobiecie kolejną monetę. Świniak rozstał się z jeszcze większym kawałkiem mięsa, który Polly podała Róży ze śmiechem.

Caitlin przyjrzała się dzbankowi. Był wypełniony ciemną, gęstą cieczą.

– Napij się – powiedziała Polly. – Nie pożałujesz. Wyłącznie nasz specyfik.

– Co to jest? – spytała niepewnie Caitlin.

– Krew – odparła Polly. – Ale nie ludzka, nie martw się. Z jeleni. Kobieta trzyma dla nas zapasy.

Caitlin nie spodobał się zapach, ale męczyły ją ostatnio napady głodu. W

końcu przechylała dzban.

Kiedy krew zaczęła krążyć w jej organizmie, poczuła się jak nowo narodzona. Uświadomiła sobie, jakie spustoszenie w jej organizmie spowodował

głód. Odchyliła się i połykała płyn wielkimi porcjami. I piła i piła, nie będąc w

stanie się powstrzymać. Krew pociekła jej po brodzie, gdy opróżniła całą zawartość dzbanka.

Polly zaśmiała się.

Caitlin wytarła usta, czując zażenowanie.

– Wybacz – powiedziała. – Zdaje się, że byłam głodna.

Poczuła, jak wracają jej siły, jak wzbierają w każdej cząstce jej ciała. Czowała się jak odrodzona.

– Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić – powiedziała Polly. – Po tym, jak ocaliłaś życie dziewczyny.

*

Polly poprowadziła Caitlin ulicami Wenecji, aż w końcu dotarły na otwartą przestrzeń. Na widok portu Caitlin poczuła podziw. Spoglądała na Wielki Kanał

Wenecji, tętniący handlem, łodziami płynącymi w różne strony. Słona bryza omiotła jej twarz i włosy, działając orzeźwiająco.

Polly nie traciła czasu. Podbiegła do brzegu i zaczęła odwiązywać linę przytrzymującą długą, czarną gondolę.

– Wskakuj! – powiedziała.

Caitlin zawahała się, nie będąc pewną. Łódź była długa i wąska, nisko osadzona w wodzie i chybotą się szaleńczo na obie strony. Wszędzie wokół

potężne statki płynęły szybko, zmierzając we wszystkie możliwe strony. Z

łatwością wyobraziła sobie, jak jeden z nich taranuje gondolę.

– Ach, w porządku – powiedziała Polly, czytając w jej myślach. – Używam jej na okrągło. Wiesz, to najlepszy środek transportu.

Polly podała dłoń, Caitlin chwyciła ją i, balansując w powietrzu, weszła niepewnie do łodzi, która natychmiast zakołysała się gwałtownie.

Caitlin ześliznęła się i usiadła z wahaniem na drewnianej desce, przemoczona nieco dzięki pryskającej wszędzie wodzie.

Polly roześmiała się.

– Potrafisz rozprawić się z alejką pełną facetów, a boisz się maleńkiej łódeczki? Po czym dodała – No, dalej Rózo! Twoja kolej!

Róża, wciąż zaniepokojona, stała na nabrzeżu i wpatrywała się w Caitlin, oczekując zachęty.

Caitlin skinęła głową. Róża podbiegła i wskoczyła do łodzi, kołysząc nią kolejny raz. Zmoczyła przy tym swoje futro i od razu zaczęła szaleńczo strząsać z siebie wodę, ochlapując nią zarówno Caitlin, jak i Polly.

Roześmiały się obie.

Polly odwiązała linę, wsiadła do łodzi i stanęła na jej rufie. Chwyciła długie, drewniane wiosło i odepchnęła się od brzegu.

Wkrótce mknęły po wodzie, a Caitlin nie mogła się nadziwić, jak zdatna do żeglugi okazała się ich łódź. Poziom wody sięgał tak wysoko, że zdawało się, iż za chwilę ocean wleje się do środka, a

jednak łódź musiała być porządnie zaprojektowana, gdyż mknęły po wodzie z dużą prędkością nadawaną jej przez Polly. Caitlin rozsiadła się i spróbowała rozluźnić mimo wzburzonej wody kołyszącej ich łódź.

Obok nich, dosłownie o kilka stóp, przepłynął jakiś ogromny statek, zostawiając za sobą dużą falę. Gondola zakołysała się jeszcze gwałtowniej, a Caitlin znów usiadła spięta.

Polly zaśmiała się.

– Przyzwyczaisz się – powiedziała.

Caitlin zaczęła się zastanawiać, jak daleko będą jeszcze płynąć.

– Gdzie płyniemy, tak dokładnie? – spytała.

– Mieszkam na Isola di San Michele – odparła Polly – znanej również jako Wyspa Umarłych. Jest jedną z najodleglejszych wysp Wenecji i leży w lagunie.

Ale nie tak daleko. Nikt nas tam nie niepokoi, a i my nikomu nie sprawiamy kłopotu. A do tego żyje tam mnóstwo dziczyzny, którą się żywimy.

Wyspa Umarłych, pomyślała Caitlin. Dziwne było to, że klan Polly mimo wszystko mieszkał na wyspie, nawet setki lat wstecz. Zaczęła zastanawiać się, czy wyspa była choć trochę podobna do Pollepel. Jeśli tak, czekała ją ogromna przyjemność.

– A więc, po co przyplłynęłaś dziś do Wenecji? – spytała.

Polly westchnęła.

– Moja wina. Powinnam wziąć ze sobą jakieś wsparcie. Aiden ostrzegął nas, byśmy nie podróżowali w pojedynkę. Ale musiałam załatwić coś na dzisiejsze przyjęcie, a nikogo w pobliżu akurat nie było. Po prostu *musiałam* postarać się o odpowiednią suknię. Nie mam zupełnie nic, co mogłabym na siebie włożyć.

Znaczy, mam, ale nic wystarczająco zjawiskowego, przynajmniej jak na dzisiejszy wieczór. Mam na myśli, że taki bal odbywa się tylko raz w roku.

– Bal? – spytała Caitlin.

– Jak możesz o tym nie wiedzieć? – spytała osłupiała Polly. – Przecież to Wielki Bal. Czekałam na niego cały rok. Chciałam jedynie wymknąć się do miasta i zobaczyć, czy nie dostałabym czegoś lepszego. Jestem słabsza za dnia. I nadal trenuję. Gdyby napadli na mnie w nocy, zapłaciliby za to. Ale, jak już

powiedziałam, wzięli mnie z zaskoczenia. Mniejsza z tym. Gdzie nauczyłaś się tak walczyć?

– Ach – powiedziała Caitlin, uśmiechając się. – Kiedyś nauczyłam się jednej, czy też dwóch sztuczek na pewnej wyspie.

Miała nadzieję, że Polly zrozumie aluzję, że przypomni sobie. Ale niestety.

– Na wyspie? Znam ją? Gdzieś w pobliżu Wenecji?

Caitlin uśmiechnęła się.

– Nie bardzo – odparła.

Resztę podróży spędziły w ciszy. Róża złożyła głowę na kolanach Caitlin.

Dziewczyna próbowała zebrać rozkołataną myśl, patrząc z obawą na horyzont i wypatrując pierwszych oznak lądu. Z przejęciem czekała, by zobaczyć miejsce, w którym mieszkała Polly, by przekonać się, czy mieszkał

tam jeszcze ktoś, kogo pamiętała. Miała nadzieję, modliła się, by choć jeden z nich słyszał coś, cokolwiek, o Calebie.

*

Kiedy dotarły na niewielką wyspę, było już popołudnie i cały teren tonął w delikatnej, pomarańczowej poświacie. Caitlin natychmiast stwierdziła, że było tu przepięknie. Wyspa była niewiele większa od Pollepel i ciągnęła się na pół mili we wszystkie strony. W przeciwieństwie do Pollepel, była jednak płaska jak naleśnik. Rosnące tu drzewa również były inne. Wysokie, wąskie cyprysy naznaczały wyspę, porastając całą powierzchnię, pokrytą bujną, soczystą trawą.

Nie było też żadnego okazałego zamku. Zamiast niego natomiast był ogromny, renesansowy kościół, którego błyszcząca biała fasada wyrastała wprost z wody i była skierowana w stronę kanału. Budowla wyglądała, jakby miała setki lat.

Wejście umieszczono tuż nad wodą, więc można było podплыć łodzią i wejść wprost do środka. Widziała już to samo w przypadku innych budynków w Wenecji, ale mimo to, za każdym razem ją to zdumiewało. Ta świadomość, że można było otworzyć drzwi i wejść wprost do wody.

Do kościoła przylegał ogromny klasztor ciągnący się daleko, jak okiem sięgnąć. Miał opadający dach z czerwonej dachówki oraz

dziesiątki strzelistych murów i kolumn. Caitlin od razu wyczuła, że to tu mieszkał klan Polly.

Nadal trudno jej było pogodzić się ze świadomością, że wampiry mogły mieszkać w kościołach, czy też klasztorach. Zastanawiała się, dlaczego wybrali akurat to miejsce, tę wyspę leżącą pośrodku niczego. Przypuszczała, że mogli wybrać jakiegokolwiek miejsce w całej Wenecji na swój dom.

– Dzięki temu zachowujemy anonimowość – powiedziała Polly, czytając w jej myślach. Caitlin poczerwieniała. Zawsze zapomniała, jak uzdolnione w czytaniu myśli były wampiry.

– Nasz pobyt na wyspie sprawia, że nie rzucamy się w oczy – kontynuowała Polly. – Wenecjanie rzadko się tu zapuszczają, a kiedy ich odwiedzamy, staramy się nie zwracać na siebie uwagi. I w zupełności odpowiada to nam wszystkim.

Nie wchodzimy sobie w drogę.

Podpłynęły do zamkniętej bramy wejścia, na którym stało na warcie kilku wampirzych strażników. Polly podniosła wzrok i pomachała do nich, jednak oni wpatrywali się w nią z tępych wyrazem twarzy. Caitlin przyjrzała im się dobrze, ale żadnego nie rozpoznała.

– Otwórzcie bramę – powiedziała poirytowana Polly.

– Kim ona jest? – zapytał jeden z nich, kiwnąwszy głową w stronę Caitlin.

– To jedna z nas – odparła Polly.

– Nie rozpoznaję jej – powiedział inny.

– Po prostu otwórzcie tę bramę – warknęła Polly. – Wszystko w porządku.

Jeśli macie z tym jakiś problem, zgłóście to Aidenowi.

Obaj zawahali się, patrząc jeden na drugiego niepewnie. W końcu jeden z nich pociągnął dźwignię i żelazna brama zaczęła się unosić.

Przepląły przez bramę i wynurzyły się po drugiej stronie.

Caitlin rozejrzała się wokoło ze zdumieniem. Było tu po prostu pięknie. Na polach zauważyła dziesiątki wampirów trenujących pozorowany atak.

– Dlaczego akurat ta wyspa? – spytała Caitlin.

Polly spojrzała na nią.

- Chodzi o to, że Wenecja oferuje dziesiątki wysp do wyboru.
- To bardzo wyjątkowe miejsce – powiedziała Polly. – Chowamy tu naszych zmarłych już od wieków. To Wyspa Umarłych z wielu powodów.

Polly ostatni raz napała mocno na wiosło i łódź zatrzymała się tuż przy drzwiach kościoła, uderzając wydłużonym, drewnianym dziobem z taką siłą, że cała łódź się zatrzęsła.

Róża przebiegła całą długość i wyskoczyła na brzeg. Polly zarzuciła linę na belkę, pociągnęła i przywiązała mocno łódź. Caitlin złapała równowagę, stając powoli i wychodząc z rozkołysanej łodzi na brzeg.

Róża pobiegła do najbliższego krzaka i załatwiła się, podczas gdy Polly wyszła z łodzi i sprawdziła umocowanie liny. Następnie otworzyła szeroko wielkie kościelne drzwi i odsunęła się na bok, ustępując im drogi.

Caitlin wkroczyła do środka i poczuła się przytłoczona. Podobnie jak kościół

w Asyżu, tak i ten posiadał strzeliste sklepienie, misternie udekorowane freskami, i ogromną przestrzeń poniżej. Przez okna zdobione witrażami wlewało się słoneczne światło. Kiedy przeszły wzdłuż nawy, ich kroki odbiły się od marmurowej posadzki i rozbrzmiały dokoła.

– Kościół San Michele – powiedziała Polly. – Czyli, oczywiście, świętego Michała, który w Dzień Sądu dźwżyć będzie wagę. Według legendy św. Michał

jest strażnikiem snu zmarłych w wierze. Bardziej adekwatnego miejsca dla nas nie znajdziesz.

Polly poprowadziła ją na tyły kościoła, przez znajdujące się tam drzwi wiodące na wielki, średniowieczny dziedziniec. Kolumny ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Miejsce to tchnęło powagą i niesamowitym spokojem, zakłócanym jednak przez parę wampirów walczących drewnianymi mieczami pośrodku dziedzińca. Stukot broni odbijał się echem od otaczających ich murów.

Caitlin spojrzała na walczących i nie mogła uwierzyć: zobaczyła bliźnięta, Tylera i Taylor. Wyglądali dokładnie tak samo jak na Pollepel, identyczne rodzeństwo, zdumiewająco atrakcyjne i nadal wyglądające na około szesnaście lat.

– Ci dwoje – powiedziała Polly. – Są jak dwie krople wody. I zawsze ze sobą walczą.

Bliźnięta wyczuły ich obecność, przerwały pojedynek i podeszły do nich, oddychając z trudem. Spojrzały na Polly z konsternacją, najwyraźniej zastanawiając się, kim był ich nowy gość.

– Wiem, niezbyt często miewamy gości. – powiedziała Polly – ale ona jest wyjątkowa. Ma na imię Caitlin. Proszę, sprawcie, by poczuła się mile widziana.

Ocaliła mnie z rąk szubrawców w Wenecji. Mamy zatem u niej dług. A raczej *ja* mam.

– Zapytałaś Aidenę o zgodę? – spytał Tyler.

Polly zatrzymała się, a Caitlin poczuła, jak coś ścisnęło ją w gardle. Miała nadzieję, że się nie narzuca.

– Jeszcze nie – powiedziała Polly. – Nie ma go w tej chwili. Ale jestem pewna, że się zgodzi. Jakżeby nie mógł? Jest taka kochana. Przydałby się nam ktoś taki, jak ona. Nie wspominając już o tym, że pokój obok mojego jest pusty.

– Jestem Taylor – powiedziała bliźniaczka i wyciągnęła dłoń z ciepłym, przyjaznym uśmiechem na twarzy.

Caitlin korciło, by powiedzieć *wiem*.

Zamiast tego jednak wyciągnęła dłoń na powitanie.

Ręka Taylor, zimna i mocna, sprawiła wrażenie bardzo rzeczywistej i pomogła jej się ocknąć.

– Miło poznać – powiedziała Caitlin.

– A cóż my tu mamy? – spytała Taylor, po czym schyliła się i pogłaskała spragnioną Różę. – Rany, ale чудо.

– Jestem Tyler – powiedział chłopak, torując sobie drogę łokciem i szczerząc się do Caitlin. Kiedy uściśnęła mu dłoń, poczuła, jak atrakcyjna wydała się w

jego oczach i przypomniała sobie pierwszy raz, gdy się poznali, na Pollepel.

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Nagle Tyler krzyknął i podskoczył.

Stającą za nim Taylor wyszczerzyła zęby, smagnąwszy właśnie brata po łydce mocno drewnianym ostrzem.

– Przestań próżnować – powiedziała. – Czekają nas przygotowania do parady.

Tyler rzucił się na powrót w wir walki, zadając ciosy na prawo i lewo, które Taylor z powodzeniem parowała, raz za razem.

Polly ruszyła dalej korytarzem i Caitlin podążyła za nią.

– Tu mieszkamy i trenujemy – powiedziała Polly. – Od setek lat. Nie potrafię wyobrazić sobie, że mielibyśmy stąd kiedyś odejść, chyba, że z jakiegoś naprawdę dobrego powodu.

Caitlin pomyślała o przyszłości i przez jedną chwilę przyszło jej do głowy powiedzieć Polly, że nadejdzie dzień, kiedy rzeczywiście opuści te mury. Zdała sobie jednak sprawę, że Polly mogłaby wówczas pomyśleć, że całkowicie postradała zmysły. Poza tym, czemu miałyby dawać jej powód do rozczarowania?

Mimo to, dziwnie było znać przyszłość Polly, kiedy ona sama jej nawet nie знаła. Dzięki temu Caitlin uświadomiła sobie, z jaką pewnością wierzymy, że wszystko zawsze pozostanie takie samo, a tymczasem, w ostatecznym rozrachunku, rzadko kończy się to tak, jak zakładaliśmy.

– Zazwyczaj są tu tłumy – powiedziała Polly, podążając dalej korytarzem. –

Ale nie dziś. Większość z nas śpi, zbierając siły na dzisiejszy wielki wieczór.

Caitlin rozejrzała się, pomyślała o bliźniakach i zaczęła zastanawiać, czy wśród reszty członków klanu był ktoś jeszcze, kogo znała. Serce zabiło mocniej, kiedy nagle przyszedł jej do głowy Blake. Niemal bała się o niego zapytać.

– Czy wśród członków twojego klanu jest ktoś o imieniu Blake?

– Nie, żadnego Blake’a tu nie ma – odparła Polly. – A co?

Caitlin odetchnęła z ulgą. Była wystarczająco podenerwowana poszukiwaniami Caleba. Gdyby Blake również tu był, nie zniosłaby tego.

– Bez powodu – powiedziała i szybko zmieniła temat. – Więc, co to za bal tak dokładnie?

Polly spojrzała na nią oczyma szeroko otwartymi z podniecenia.

– To tylko najwspanialsza noc w całym roku. Nie mogę się jej doczekać.

Wszyscy tam będą. Dosłownie *wszyscy*. Nie tylko ludzie, ale również wszystkie wampiry. Każdy wybiera się na randkę. I każdy wygląda olśniewająco –

powiedziała, z każdym krokiem ulegając coraz większym emocjom.

Caitlin przyszło coś do głowy. *Każdy*. Zaczęła zastanawiać się, czy dotyczyło to również Caleba.

– Więc, czy będą... jakieś wampiry z innych klanów? – spytała.

– Każdy, kto się liczy w świecie wampirów – powiedziała Polly. – Nie tylko z sąsiednich klanów, ale z całej Europy. Sama śmietanka towarzyska.

Przybędzie, by wziąć udział w maskaradzie. Nie uwierzyłabyś – jak szykowne i wymyślne stroje tam się pojawiają. Nie wejdiesz bez maski. A wszystko będzie trwać godzinami. I nikt nie wie, kto jest kim. I zwykle jest to ktoś inny, niż ci się zdawało.

– Czy tu ciągle trwają jakieś zabawy? – spytała Caitlin. – Całe miasto wygląda, jakby sobie popiło.

– Naprawdę nigdy tu nie byłaś, prawda? - Polly potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – To pora karnawału. Dni wypełniają ustawiczne zabawy, przyjęcia, picie, hazard... To dlatego jest tu jak w domu wariatów. Znaczący, w Wenecji zawsze jest jak w wariatkowie, ale szczególnie o tej porze roku.

Wszyscy gromadzą się tłumnie na ulicach. Najwspanialsze kostiumy z całej Europy, wszystkie zgromadzone w jednym miejscu. Jak jedno wielkie przyjęcie, któremu nie ma końca. Zjawiłaś się w idealnej chwili! I dodam, że bardzo dogodnej, jak dla wampira: nikt nie będzie zastanawiać się, czy jesteś człowiekiem, kiedy wszyscy skrywają się pod kostiumami.

Polly otworzyła zwińczone łukiem dębowe drzwi i weszła do niewielkiego pokoju, zostawiając drzwi otwarte. Caitlin, wraz z Różą, weszły niepewnie za nią.

Pokój był najwidoczniej sypialnią Polly. Prosty, kamienny, z jednym, wielkim oknem, z którego rozpościerał się widok na drzewa, posiadał wygodne, słomiane łóżko pokryte różowym płótnem oraz czymś, co wyglądało jak słomkowe misie. Polly zaczerwieniła się, widząc je na łóżku i prędko wcisnęła je pod poduszkę.

Na podłodze i drewnianej komodzie leżały porozrzucone ubrania. Polly zaczęła szybko sprzątać.

– Przepraszam – powiedziała – za ten bałagan. Nie spodziewałam się żadnych gości. Aiden zabiłby mnie, gdyby zobaczył coś takiego. Ale czego się spodziewa? Dziś jest wielki bal. A ja nadal nie mam pojęcia, co na siebie włożyć

– powiedziała, chodząc po pokoju i starając się zapanować nad chaosem.

Caitlin dostrzegła kilka wymyślnych sukni wiszących na ścianie, oraz kilka misternie wykonanych masek. Była zdumiona ich kunsztem. Wyglądały jak dzieła sztuki. Niektóre miały długie, zakrzywione nosy, inne zaś były małe, służące za ledwie do zakrycia oczu. Były złote i srebrne, niektóre dość proste,

inne misternie zdobione. Jedne spoglądały złowrogo, inne wesoło; niektóre miały pióra, inne były ich pozbawione. Stanowiły niczego sobie kolekcję.

Zafascynowana Caitlin podeszła do ściany, podniosła dłoń i dotknęła jednej.

– No, dalej, przymierz – powiedziała Polly. Jest karnawał. Możesz być kimkolwiek chcesz. I możesz zmieniać się każdego wieczoru. O to właśnie chodzi w Wenecji.

Caitlin zdjęła maskę ostrożnie. Była najbardziej niezwykła z całego zbioru.

Była bogato zdobiona. Widoczne były wpływy perskie, czy też indyjskie i mieniła się odcieniami miedzi, złota i palonej pomarańczy. Nad czołem oraz poniżej, między oczyma, widniał wyrzeźbiony, kwiecisty wzór nadający masce królewski charakter.

Caitlin podniosła ją i delikatnie nałożyła na twarz. Podeszła do lustra i wówczas uprzytomniła sobie, że przecież nie miała odbicia.

– Wiem, do bani, nie? – spytała Polly. – Nigdy nie wiem, jak wyglądam.

Takie to frustrujące. Nawet nie wiem, po co trzymam tu to lustro. Pewnie mam nadzieję, że któregoś dnia zadziała. W międzyczasie musi ci wystarczyć to, co inni powiedzą.

Caitlin nie mogła sprawdzić, jak wygląda, ale czuła się inaczej, mając ją na sobie. Odniosła wrażenie, że stanęła w skórze kogoś innego, jakby miała licencję na bycie kimkolwiek. Dzięki temu miała poczucie swobody.

– Nawet pasuje – powiedziała Polly. – Możesz ją dzisiaj nałożyć.

Caitlin poczuła ukłucie strachu.

– Dzisiaj? – spytała niemal łamiącym się głosem.

– Idziesz, prawda? – powiedziała Polly i chwyciła ją za rękę. – *Musisz* przyjść. Po prostu *musisz*. Jak mogłabyś to opuścić? Proszę. Przyda mi się wsparcie. Wszyscy tutaj są tacy nudni, albo spotykają się już z kimś. Tak bardzo chciałabym iść tam razem z tobą. Będą tam najlepsi chłopcy, naprawdę sami najlepsi i twoje wsparcie będzie bardzo pomocne. Będzie tak zabawnie. Proszę, *blagam* – powiedziała Polly, chwytając ją za ramię.

Caitlin zamyśliła się. Ostatnią rzeczą, która przyszyła jej teraz do głowy było pójście na bal, lub też poszukiwania jakichś chłopców. Dla niej liczył się teraz tylko Caleb i nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek, czy jakąś zabawę, zanim go nie odnajdzie.

Powoli zdjęła maskę i wręczyła ją Polly.

– Wybacz, Polly – powiedziała. – Nie chcę cię rozczarować. Ale nie mogę iść. Naprawdę muszę skupić się na poszukiwaniach pewnej osoby.

– Tego gościa, o którym wspomniałaś? Caleba? – spytała Polly. – Cóż, jeśli tak, to będziesz musiała pójść. Jestem pewna, że tam będzie. Jeśli jest jednym z nas, to właśnie tam się pojawi. Musisz iść. Dla własnego dobra.

Caitlin zaczęła myśleć o tym i zdała sobie sprawę, że to miało sens. Jeśli Polly miała rację, jeśli ten bal naprawdę był takim wielkim wydarzeniem, to Caleb mógł tam być. Poza tym, nie miała żadnych innych tropów, żadnych pomysłów, gdzie go szukać. Może rzeczywiście powinna iść.

Wówczas przyszyła jej do głowy kolejna trapiąca myśl: nie miała co na siebie włożyć. Nigdy nie była za dobra w chodzeniu na tańce; zawsze zżerały ją nerwy, kiedy przygotowywała się do nich. A dzisiejsze wydarzenie wyglądało na największą, najbardziej oficjalną zabawę ze wszystkich. I do tego, nie była dobrą tancerką w dwudziestym pierwszym wieku – to jak miała nią być w osiemnastym? Wyglądałaby po prostu niezdarnie, głupio i rzucałaby się w oczy.

– Nie martw się. Tańce są łatwe – powiedziała Polly, jak na złość znowu czytając w jej myślach. – Nauczę cię. Obiecuję. Wystarczy złapać dłoń osoby tańczącej obok i ona już poprowadzi cię dalej. Poza tym i tak wszyscy będą pijani. Obiecuję, że nikt nawet nie zauważy.

– Pijani? – spytała Caitlin. – Pozwalają dziewczynom w naszym wieku pić?

Nie ma czegoś w rodzaju wiekowego ograniczenia?

Przez chwilę pomyślała z niepokojem o wstępie, o dowodzie.

Polly roześmiała się głośno. – Żartujesz? W Wenecji? Nikt się tym tu nie przejmuje. Nawet małe dziecko może się napić, jeśli ma ochotę.

– Ale ja nie mam nic do ubrania – zaprotestowała Caitlin.

Oczy Polly zablęskły. – Ach, oczywiście, że masz – powiedziała. – Nie rozejrzałaś się jeszcze po tym pokoju? Mam tu wystarczająco dużo sukni, żeby zatańczyć i na piętnastu balach. I wygląda na to, że nosimy ten sam rozmiar.

Proszę, przymierz coś. Zabawimy się! Przecież mamy już prawie dziewiętnasty wiek! Kiedy będziemy miały taką okazję, by się zabawić?

Caitlin przyszło coś do głowy. Z pewnością Polly miała rację. Jeśli nie teraz, to kiedy? Poza tym, zawsze chciała przymierzyć jedną z tych szykownych sukni.

Nie wspominając o tym, że jeśli Caleb *miał się* tam pojawić, to cóż mogło być lepszego, niż spotkać go ponownie, będąc ubraną w piękną suknię?

Im więcej o tym myślała, tym bardziej podobał jej się ten pomysł.

Być może udział w balu był właśnie tym, czego potrzebowała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Szybując ponad zboczami Umbrii, Kyle obniżył lot i zatoczył krąg wokół

niewielkiej, średniowiecznej osady Asyż. Przyjrzał się uważnie murom i ogromnemu kościołowi górującemu nad wioską. W świetle zachodzącego słońca jej mieszkańcy krzatali się tłumnie, zapalając pochodnie, zaganiając bydło, kury i owce do zagród. Wszyscy spieszyli gdzieś, jakby przygotowując się: wyglądało na to, że osada obawiała się nocy.

Kyle uśmiechnął się. Z chęcią dałby im ku temu nowy powód.

Niewiele rzeczy radowało go tak, jak sianie paniki i strachu w sercach pospólstwa, zadawania im koszmarów, które dręczyłyby ich do końca życia.

Nienawidził tego typu prostaków. Prześladowali jego rasę, od kiedy sięgał

pamięcią. Uważał, że już dawno powinni dostać lanie.

Kiedykolwiek nadarzała się okazja, napawał się daną mu szansą.

Zanurkował w powietrzu jeszcze niżej, celując w plac niedaleko kościoła, mając nadzieję, że jego nagłe i teatralne wręcz lądowanie wywoła trochę zamieszania, a być może nawet wywabi Caitlin. Jeśli ta podła dziewczyna rzeczywiście tu była, nie zamierzał tracić czasu na gonitwę. Nie mógł doczekać się powrotu do dwudziestego pierwszego wieku, kontynuowania swojej wojny oraz załatwienia niewygodnej drobnostki.

Oczywiście musiał jeszcze zdać relacje przed Wielką Radą, która chciała, by dostarczył ją żywą. Był to pewien kłopot, ale niestety konieczny. Mógł grać według ich zasad, złapać ją tylko po to, by ich zaspokoić. Ale zamierzał

osobiście ją odprowadzić i nie opuszczać, dopóki na własne oczy nie zobaczy, jak ją torturują i zabijają. W zasadzie bardzo podobałoby mu się to rozwiązanie.

Tym razem jednak nie zamierzał pozostawiać czegokolwiek przypadkowi.

Gdyby mieli opóźnić jej śmierć, sam zamierzał ją wykończyć – za ich zgodą lub bez.

Kiedy wylądował na placu z rozpostartymi szeroko czarnymi skrzydłami, wywołując podmuch wiatru, który sprawił, że psy zaczęły wyc, a kury fruwać, wieśniacy rozbiegli się na wszystkie strony z krzykiem. Starsze kobiety przeżegnały się, a podrostki rzuciły się do ucieczki. Jakby nagle spadła tam bomba.

Kilku odważniejszych chwyciło gospodarskie narzędzia i ruszyło w jego kierunku. Uśmiechnął się. Uwielbiał takich. Gdyby byli z jego rasy, może nawet zaprzyjaźniłby się z nimi.

Z łatwością uniknął uderzenia motyką wymierzonego niezdarnie w jego głowę przez jednego z wieśniaków, po czym podniósł dłoń i jednym, czystym ruchem pozbawił człowieka głowy.

Uradował go widok tryskającej krwi. Nachylił się i zatopił kły w tym, co pozostało z gardła mężczyzny i zaczął łapczywie pić. Poczul, jak krew zaczyna krążyć w jego żyłach, przyprawiając go o dreszcze. Właśnie takiej popołudniowej przekąski było mu trzeba.

Zobaczywszy to, pozostali dwaj wieśniacy stanęli jak wryci i unieruchomieni strachem wypuścili z rąk narzędzia, ułatwiając Kyle'owi tylko zadanie.

Podszedł do nich i chwycił za gardła. Podniósł do góry nad ziemię i uderzył

jednym o drugiego z taką siłą, że zabił ich na miejscu.

Na dziedzińcu rozległy się krzyki. Odezwały się kościelne dzwony. Wszyscy rzucili się do ucieczki, a dotarłszy do swoich domów, zaryglowali drzwi i okiennice.

Ze zbocza nadbiegł tuzin mężczyzn wyposażonych w rolnicze narzędzia.

Wykrzykując, natarli na Kyle'a. Uśmiechnął się. Nie nauczyli się jeszcze niczego.

Nie czekał. Natarł na nich, zderzając się z nimi w pół drogi, i kiedy zamachnęli się na niego, nagle skoczył w powietrze i, przeskoczywszy całą zgraję, wylądował za nimi. Zanim zdążyli zareagować, chwycił najbliższego za włosy i uniósł w powietrze. Zakręcił nim jak szmacianą lalką i rzucił w tłum. Ludzie poupadali jak klocki domina.

Zanim zdążyli wstać, Kyle sięgnął po jeden z ich sierpów i zamachnął się nim na oślep. Wykorzystując swoją wampirzą, niewiarygodną szybkość, zaatakował zdumionych ludzi jakby byli stogiem siana. Posiekał ich na kawałki.

Po chwili wszyscy byli już martwi.

Plac wiejski przeobraził się w przesiąknięte krwią pole bitewne. Kyle wkroczył między porżnięte ciała i swobodnym krokiem zmierzał w kierunku kościoła. W tej samej chwili zauważył, że drzwi zatrzasnęły się z hukiem i ktoś zaryglował je od wewnątrz. Uśmiechnął się. Zastanawiał się, dlaczego ludzie sądzili, że ryglowanie drzwi zda się na cokolwiek.

Odchylił się i kopnął potężne, kościelne drzwi, wrywając je z zawiasów.

Wkroczył dumnie do środka antycznego kościoła Asyżu i skierował się na wprost, wzdłuż nawy. Idąc, wrywał ławki i rzucał w poprzek, wysoko w okna, roztrzaskując antyczne witraże w drobny mak. Sięgnął po ogromny kandelabr, zerwał przytrzymującą go linę i zamachnął się nim nad głową. Kiedy wypuścił, świecznik

przeleciał przez całą długość kościoła i rozbił witraż w znajdującym się w oddali oknie.

Przyjrzał się swemu dziełu zniszczenia. Było piękne. Niewiele rzeczy bawiło go tak, jak pustoszenie kościoła.

Wyczuł obecność Caitlin. Podążył za swymi zmysłami, które poprowadziły go przez korytarz, w dół po schodach, na niższą kondygnację kościoła. Kiedy minął ostatni róg, stanął zaskoczony tym, co zobaczył.

Naprzeciwko stał niewielkiej postury, siwiejący ksiądz, który wpatrywał się dokładnie w niego. Kyle wyczuł w mgnieniu oka, że należał do jego rasy.

Zdziwił go widok wampira w stroju księdza. Co za profanacja jego własnej rasy.

– Dziewczyna, której szukasz, już dawno stąd odeszła – powiedział ksiądz bez strachu. Wpatrywał się w Kyle’a odważnie i z uporem.

– I nigdy jej nie znajdziesz – dodał.

Kyle zaśmiał się.

– Czyżby? – powiedział.

Podszedł do niego kilka kroków, jednak mężczyzna nie okazywał żadnych oznak chęci ucieczki. Był bardziej dzielny – lub głupi – niż Kyle myślał.

– Możesz mnie pokonać – powiedział ksiądz – ale Bóg pokona ciebie.

Możesz zabić mnie dzisiaj, ale kiedyś Bóg z pewnością zabije ciebie, i pomści mnie. Śmierć nie jest mi straszna.

– Kto mówił cokolwiek o zabijaniu? – spytał Kyle, podchodząc jeszcze bliżej. – To by było zbytnią uprzejmością. Sądzę, że poddam cię powolnym torturom.

– Niewielka mi różnica – powiedział mężczyzna. – Bez względu na to, co zrobisz, nigdy jej nie znajdziesz.

Kyle rzucił się na niego. W ostatniej chwili mężczyzna zamachnął się i rzucił

całą garść świętego prochu mu w oczy.

Kyle runął na ziemię zdumiony z oczami piekącymi bólem. Święty proch.

Cwany podstęp. Bolało jak cholera. Minęły całe stulecia, od kiedy ostatni raz miał go w oczach.

– W imię szatana, przeklinam cię – powiedział mężczyzna. – Niech ten święty proch zniszczy ciebie i wyśle z powrotem tam, skąd przybyłeś.

Zaczął rzucać proch na głowę Kyle'a garść za garścią.

Kyle jednak odzyskał siły i zaatakował mężczyznę, uderzając go mocno i posyłając na ziemię.

Będąc na nim, chwycił go za gardło i ścisnął.

Mężczyzna spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma.

Najwyraźniej był

zszokowany.

– Głupcze – prychnął Kyle. – Święty proch może zabić tylko najsłabszych z naszej rasy. Uodporniłem się na jego działanie setki lat temu.

Mężczyzna zaczął walczyć o oddech, ale Kyle ścisnął mu gardło coraz mocniej.

Kyle wyszczerzył zęby.

– A teraz moja kolej – powiedział. – Ty i ja poznamy się. Bardzo, bardzo dokładnie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Podążając za Polly przez drzwi, ubrana w szykowną suknię, Caitlin zdołała zatrzymać się w ostatniej chwili i nie wpaść do wody. Nadal nie mogła pojąć, że drzwi otwierały się wprost na wodę, że można było wpaść z taką łatwością, jak gdzie indziej wejść na chodnik.

Kiedy tak stała nad kanałem w blednym świetle zachodzącego słońca, spuściła wzrok na pomarszczoną falami wodę i w końcu zobaczyła swe odbicie.

– Spójrz! – powiedziała w zdumieniu i chwyciła ramię Polly, będąc w szoku, że nareszcie udało jej się zobaczyć własne odbicie.

– Wiem – odparła Polly. – Korzystamy z tego cały czas. To jedyny sposób, by siebie zobaczyć. Nie to, co lustro, ale musi wystarczyć.

Caitlin była zaskoczona własnym wyglądem. Miała na sobie ogromną, odświętną, wielowarstwową, zdobioną kwiecistymi wzorami suknię, która mieniła się barwami żółceni, złota i bieli. Polly splotła jej włosy w warkocz, a potem Caitlin uzupełniła strój

wybraną przez siebie wenecką maską. Spodobało jej się szczególnie to, że skryta za maską, mogła być kimkolwiek. Mając ją na sobie, wyglądała bardzo tajemniczo, majestatycznie, a nawet odrobinę groźnie.

Rozejrzała się. Wszędzie dokoła niej, u skraju wody, stali pozostali członkowie klanu Polly, dziesiątki wampirów, przygotowując się do zajęcia miejsca w gondolach. Ich wygląd sprawił na niej duże wrażenie: wszyscy byli poprzebierani w suknie i maski mieniające się różnymi kolorami, szyte z najprzeróżniejszych materiałów i w najrozmaitszych stylach. Przygotowania zajęły całe popołudnie, a wszyscy podeszli do tego bardzo poważnie. Ich formalność tak bardzo różniła się od tego, do czego Caitlin była przyzwyczajona. W jakiś dziwaczny sposób wpływało to jednak kojąco.

Wszyscy byli tacy elegancy, tacy wytworni. Caitlin wróciła myślami do tego, jak wyglądał wieczorny wypad na miasto w dwudziestym pierwszym wieku.

Przygotowania zajęłyby jej jakieś dziesięć minut. Włożyłaby dzinsy i jakiś golf.

Jakże nudne i zwyczajne to było w porównaniu z tym tutaj. Wydawało się, że ludzie żyjący w tym wieku korzystali z życia do granic możliwości.

Napotkała nie lada wyzwanie, kiedy przyszło jej zająć miejsce w wąskiej i rozkołysanej gondoli, mając na sobie tę ogromną suknię. Widząc jak Caitlin się męczy, stojący w gondoli obok Tyler podszedł i podał jej dłoń.

– Dzięki – powiedziała, chwytając jego rękę.

Zrobiła dwa kroki w stronę chybotającej się łodzi, zachwiała się, po czym odzyskała równowagę. Gondola zaś kołysała się na wszystkie strony. W końcu

Caitlin zdołała usiąść szybko i przycisnąć do siebie suknię, zanim ta zdążyła opaść na wodę.

Róża zaskomlała, spoglądając z brzegu, najwyraźniej mając ochotę do niej dołączyć.

– Wybacz Różo – powiedziała Caitlin. – Nie tym razem. Nie martw się.

Niedługo wrócę.

Róża skomlała przeciągle, chcąc stanąć u jej boku, a Caitlin poczuła wyrzuty sumienia. Ale jednocześnie była szczęśliwa, kiedy

pomyślała, że Róża zostaje tu, na tej wyspie, gdzie będzie bezpieczna.

Wszędzie wokół pozostali członkowie klanu wsiadali do gondoli. Utworzyli niewielką flotę, może z tuzin gondoli, z których każda mieściła dwie osoby, jedną siedzącą nisko i drugą, stojącą i wiosłującą. Caitlin rozpoznała wiele twarzy: Taylor i Tylera, Caina i Barbarę, Patricka, Madeline, Harrisona... Polly przedstawiła jej ich wszystkich wcześniej tego dnia. Dziwne było to uczucie.

Być przedstawianym ludziom, których przecież już знаła. Ale przeszła przez to i wszystko potoczyło się gładko. Nawet Cain był dla niej tym razem miły.

Przywitali ją, jakby była z nimi od zawsze. I znowu poczuła się między nimi jak w domu. Zaczynała mieć wrażenie, że wszystko, co utraciła na Pollepel powoli do niej wracało. Znowu zaczynała się czuć jak w domu. Jednakże przepełniał ją również strach: wydawało się, że za każdym razem, kiedy gdzieś się zadomowi, coś się wydarza i wyrywa ją z tego miejsca.

Łodzie odbiły od brzegu i zaczęły pruć po czystej, błękitnej wodzie, oświetlone w zapadającym zmierzchu wschodzącym w całej okazałości księżycem. Woda była nieco bardziej niespokojna niż poprzednio i ich łódź

kiwała się raz w górę, raz w dół. Ale był to spokojny, monotony ruch, który pozwolił jej się uspokoić, podobnie zresztą jak odgłos uderzających o burtę fal.

Caitlin oparła się i zamknęła oczy, czując słone powietrze muskające jej twarz i oddychając głęboko. Noc była ciepła i Caitlin czuła się całkowicie rozluźniona.

Usłyszała czyjś głos, który podchwycił jakąś melodię i obejrzała się za siebie. Jeden z członków jej klanu, wiosłujący w gondoli obok, zaczął śpiewać głębokim, melodyjnym głosem w języku, którego nie rozumiała. Powolna i smutna pieśń zmieszała się z odgłosem pluskających fal i sporadycznymi odgłosami ptaka nieopodal.

Ponownie zamknęła oczy i odprężyła się. I znów poczuła się jak w domu, natchniona beztroską przepełniającą cały świat. Pozwoliła swoim myślom błąkać się, rozmyślając o nadchodzącej nocy.

Pomimo uderzających różnic kulturowych, kostiumu i maski, mimo tego, że był dopiero tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty rok, a ona była akurat w drodze na bal, Caitlin czuła, że nie było aż tak wielkiej różnicy od tego, co zostawiła w

domu. Czowała się niemal tak samo, jakby wychodziła właśnie z przyjaciółmi na potańcówkę w sobotni wieczór. Na zewnątrz świat był inny, ostatecznie jednak wszystko sprowadzało się do tego samego. Spędzania wieczoru z przyjaciółmi.

Liczenia na dobrą zabawę. Na spotkanie kogoś. Zdumiewające, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

W przypadku Caitlin, jedyną rzeczą, która zaprzętała jej umysł był Caleb.

Czowała, jak z każdym odepchnięciem wiosła jej serce bije coraz mocniej z podekscytowania, w nadziei, że jest coraz bliżej spotkania z nim. Całym sercem czowała, że zobaczy go tego wieczora na balu. Modliła się, żeby okazało się to prawdą. Modliła się naprawdę gorąco, żeby żył, żeby przeżył podróż w czasie.

Żeby tam był. Miała wrażenie, że będzie to jej ostatnia szansa na spotkanie Caleba.

Gdyby jednak nie było go tu, gdyby nie udało mu się, byłaby zdruzgotana. A jeśli tam był... Nie wiedziałyby nawet od czego zacząć. Spróbowała wyobrazić sobie tę chwilę. Kiedy zobaczy go ponownie po raz pierwszy. Pragnęła, aby ją rozpoznał, żeby ich miłość to ułatwiła. Żeby w sekundzie, kiedy ich oczy się spotkają, wziął ją w ramiona i przypomniał sobie wszystko. Żeby powiedział, że również szukał ją wszędzie i jaki był wdzięczny, że znów byli razem.

Podziękowałby jej za przywrócenie mu życia. Powiedział, jaki był szczęśliwy, mogąc żyć przy jej boku, z dala od wszelkiego zła.

Serce rosnęło jej na myśl o tym wszystkim. Miała okazję zacząć wszystko od nowa. Miała okazję spotkać Caleba jeszcze raz zupełnie na nowo. Poniekąd, byłoby jak na ich pierwszej randce. Może byłby też ich pierwszy taniec. I pierwszy pocałunek.

A potem... być może tym razem mogliby wziąć ślub. I jeszcze raz mieć dziecko.

*

Kiedy dotarli do Wenecji, było już ciemno. Po pokonaniu ostatniego zakola i zbliżeniu się do miasta, Caitlin poraziło jego piękno. Nocny mrok rozświetlały płomienie świec w każdym oknie i pochodni zatkniętych na każdej łodzi. Na wodzie był jeszcze większy tłok niż wcześniej. Od jej powierzchni odbijały się tysiące pochodni pozatykane na setkach gondoli sunących przez noc. Jeśli już, miasto

wyglądało jeszcze bardziej odświętnie nocą aniżeli za dnia. Caitlin była zdumiona, jak wiele zdołali uzyskać bez elektryczności.

I, ku jej zaskoczeniu, było tu jeszcze tłoczniej. Nawet z tej odległości dochodziły do niej odgłosy śmiechu, śpiewu i przede wszystkim muzyki. Z

każdej strony, zza każdego rogu, z każdego placu, a nawet łodzi dochodziła

muzyka. Ludzie brzdąkali na lutniach, harfach, gitarach... Jakby przybywali na jedno wielkie przyjęcie.

Wszyscy pili otwarcie, a w powietrzu niósł się ich śmiech. Wzbijał się ponad ogólny zgiełk, jakby wszyscy z jakiegoś powodu pękali ze śmiechu.

Caitlin nie mogła doczekać się powrotu do miasta. Zwłaszcza teraz, kiedy towarzyszyli jej na nowo poznani przyjaciele. Mimo to czuła się nieco onieśmielona gęstwina ulic i tymi tłumami. Ludzie byli dosłownie wszędzie, a że wszyscy byli w kostiumach, o wiele łatwiej było oddzielić się od grupy i zgubić w tym zamęcie.

Ich gondole przepłynęły pod mostem i przybiły do nadbrzeża. Członkowie klanu zaczęli wyskakiwać z łodzi, przywiązywać je do brzegu i pomagać reszcie w opuszczaniu łodzi.

Zanim Caitlin w ogóle zdążyła wstać, Tyler wyskoczył ze swojej gondoli, podbiegł do niej i przyklęknął, ofiarowując pomocną dłoń.

– A mi nie zaoferujesz pomocy? – spytała Polly, żartując.

– Ona jest nowa – odparł Tyler. – Jej przyda się bardziej.

Caitlin chwyciła ochoczo jego dłoń, mając nadzieję, że Tyler nie wyobrazi sobie niewiadomo czego. Kiedy wysiadała z rozkołysanej łodzi, Tyler podniósł

ją i pomógł zeskoczyć na brzeg. Nie był to łatwy wyczyn i zaczęła się zastanawiać, jak uda się jej później wsiąść z powrotem.

Nagle, zanim Polly zdążyła wsiąść, pojawił się Patrick, podbiegając do niej z wyciągniętą ręką.

– Może pomóc? – spytał z nadzieją w głosie. Stał z wielkim uśmiechem na twarzy, dużymi uszami i rudą czupryną, dokładnie tak, jak Caitlin zapamiętała go z Pollepel.

– Dzięki – odparła Polly – ale sobie poradzę.

Patrick odwrócił się zawiedziony jej odmową.

Caitlin nie mogła nadziwić się zawilościom losu. Przypomniała sobie chwile, kiedy Polly rozpaczliwie zabiegała o względy Patricka; teraz najwyraźniej było inaczej.

Caitlin była szczęśliwa, mogąc z powrotem stanąć na ziemi, wśród nowych przyjaciół, gotowa zobaczyć miasto po raz pierwszy w nocy. Kiedy trafiła tu wcześniej, była zdezorientowana; tym razem była gotowa chłonąć każdy jego aspekt.

Całą grupą udali się pospiesznie w stronę tłumu. Caitlin trzymała się Polly i robiła wszystko, żeby jej nie zgubić. Nie było to zbyt trudne, gdyż jaskrawą, różowo-białą suknię Polly – jak i dopasowaną do tego stroju maskę – trudno było przegapić. Polly chwyciła ją za rękę, kiedy tłum zaczął pchać je w różne strony.

– Żadne inne miejsce na świecie nie przypomina Wenecji – powiedziała Polly. – Miasto chyli się ku upadkowi, ale nikt się tym nie przejmuje. Tonie, i to dosłownie, ale i tym jakoś nikt się nie przejmuje. Ludzie chcą się tylko bawić.

Przybywają z odległych zakątków świata, by wziąć udział w balu i pokręcić głowami nad naszym stylem życia – powiedziała i wzruszyła ramionami. –

Żyjemy z dala od tego wszystkiego, mieszkając na naszej wyspie; ale kiedy już tu przybywamy, zawsze spędzamy miło czas.

Skreśli w boczną uliczkę, po czym wyszli na wielki plac otoczony budynkami, których fasady, skierowane do wewnątrz placu, jaśniały szykownymi marmurami. Było cudownie. Na placu kłębiły się tłumy ludzi, rozświetlając go rzęście pochodniami.

Caitlin zaczęła zastanawiać się, czy te tłumy kiedykolwiek się rozproszą.

Jedna strona placu zajęta była przez liczne kawiarenki, goszczące w tej chwili setki ludzi siedzących przy niewielkich stolikach; wszystkich poprzebieranych w kostiumy, noszących maski, sączących kawę z filiżanek, tudzież pijących wino. Brzęk naczyń słyszalny był z dużej odległości. Między stołami włóczyły się psy w poszukiwaniu jakichś resztek.

Kiedy przeszli przez plac, Caitlin zauważyła liczne stoiska do gry: setki niewielkich stołów, zasiadających za nimi kanciarzy przesuwających małe muszle i oferujących wiele innych sposobów wyciągnięcia pieniędzy od niczego niespodziewających się ofiar hazardu. Wokół nich cisnęły się setki ludzi stawiających swe pieniądze w grach z góry skazanych na przegraną.

Nagle rozległ się łomot i podniosły krzyki, kiedy jakiś rozeźlony klient wyrócił jeden ze stołów. Skoczył na kanciarza i zaczął mocować się z nim na ziemi, wymieniając się ciosami i wywołując ogólne zamieszanie.

Caitlin poczuła, jak ktoś szarpnął ją za rękę i podążyła za Polly z resztą grupy, skręcając w kolejną boczną alejkę. Uliczka była wąska. Zmieściłoby się tu zaledwie kilka osób stojących jedna obok drugiej. Była też mroczniejsza od pozostałych. Kiedy szli, wokół otwierały się okiennice, zza których wyłaniały się dziewczęta, niewiele starsze od Caitlin. Ściągały suknie nisko na tyle, żeby obnażyć swoje piersi.

Caitlin była w szoku.

– Chcesz się zabawić? – zawołała jedna z nich.

– Hej, kochanie! – krzyknęła inna.

– Ja jestem wolna! – wrzasnęła jeszcze inna.

Caitlin zrobiło się przykro, że dziewczyny w jej wieku musiały w ten sposób pracować. Nie mogła zrozumieć niesprawiedliwości panującej na świecie.

Wyglądało na to, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Weszli na kolejny plac wypełniony żonglerami, połykaczami ognia i różnego rodzaju zabawami. Muzyka była tu jeszcze głośniejsza, jako że cały zespół

wykonawców brzdąkał właśnie na gitarach przy akompaniamencie śpiewającego chóru.

– Wypijesz?

Przed Caitlin pojawił się dzban wina, kiedy obiegło ich kilku sprzedawców i podsunęło napitek pod nos. Próbowwała ich odepchnąć, ale wciąż cisnęli się ku niej. W końcu Polly odepchnęła ich mocno do tyłu i dali za wygraną.

– Tylko tak sobie z nimi poradzisz – powiedziała Polly.

Surowość tego miejsca zaskoczyła Caitlin. Wydawało się, że panuje to całkowity chaos.

Zanurzając się głębiej w kolejnym ścisku, zaczęła doznawać uczucia klaustrofobii. Z każdym krokiem coraz trudniej było się poruszać. Tłum wydawał się coraz gęstszy i gęstszy, w miarę jak zewsząd napływały kolejne grupy ludzi. Co gorsza, zaczął dokuczać jej odór.

Jakby nikt się nie kapał, co najwyżej polał się tanimi perfumami, co i tak nie odnosiło żadnego skutku.

Obejrzała się i zauważyła, jak Polly wyjmuje niewielką sakiewkę z kieszeni i podnosi ją do nosa.

– Co to? – spytała.

Polly spojrzała na nią i zorientowała się, że Caitlin nie miała nic podobnego.

Sięgnęła ponownie do kieszeni i podała jej jedną. W dłoni Caitlin wyglądała śmiesznie, jak niewielka, jedwabna torebka potpourri.

– Przytrzymaj przy nosie – poinstruowała ją Polly. – Pomoże.

Caitlin podniosła ją do nosa i od razu pomogło. Zamiast ludzkich zapachów, wciągnęła powietrze przesycone różami i perfumami.

– Bez tego naprawdę ciężko wytrzymać w Wenecji.

Caitlin zlustrowała tłum i zauważyła, że pozostali członkowie klanu również ich używali.

W końcu wydostali się na kolejną boczną ulicę, która kończyła się mostkiem.

Musieli wspiąć się po około piętnastu stopniach, po czym most stał się płaski, prowadząc w poprzek kanału. Caitlin rozejrzała się na prawo i lewo i zauważyła, że wodny ciąg wił się wąskimi alejkami Wenecji. Widok wody bezpośrednio płynącej przez środek miasta był naprawdę niewiarygodny. Nie mogła się nadziwić, że podążając dalej musiałyby w końcu natrafić na kolejny niewielki most.

Zeszli z mostku po drugiej stronie i podążyli kolejną alejką. Weszli na kolejny plac, tym razem o wiele wytworniejszy od poprzednich, otoczony ogromnymi pałacami z wymyślnymi marmurowymi fasadami, łukowatymi

drzwiami i wielkimi, strzelistymi oknami. Caitlin zaczęła się zastanawiać, czy tutaj mieszkała rodzina królewska.

W chwili, kiedy już miała spytać Polly, dokąd zmierzają, cała grupa zatrzymała się przed jednym z piękniejszych budynków, przed dębowymi drzwiami. Jeden z nich schwycił żelazną kołatkę i uderzył trzykrotnie w drzwi.

Odgłos uderzeń poniósł się echem przez cały plac.

W przeciągu sekund drzwi otworzył sztywnie ubrany kamerdyner. Ukłonił

się i usunął na bok.

– W samą porę – powiedział z uśmiechem.

*

Trzymając się blisko Polly, Caitlin weszła do ogromnego pałacu i rozejrzała wokół zdumiona. Nigdy jeszcze nie była w takim pomieszczeniu. Sklepienie stropy ogromnego i pełnego przepychu pałacu pięły się wysoko i mieniły barwnymi freskami poprzecinanymi wymyślnymi formami. Ściany pokryte były olejnymi malowidłami i potężnymi, złotymi lustrami. Z sufitu zwisał nisko kandelabr z dziesiątkami świec, które rozświetlały wnętrze. Pod stopami Caitlin zauważyła posadzkę z misternie ułożonych, biało-czarnych, marmurowych płyt, tak lśniących, że mogła niemal się w nich przejrzeć. Naprzeciwko znajdowały się szerokie, marmurowe schody wijące się w górę z obu stron, z bogato zdobionymi poręczami i puszystym, czerwonym chodnikiem pośrodku.

Wewnątrz panował tłok. Był zupełnie inny od tego na ulicach – tutaj wszyscy wyglądali wytwornie, elegancko i bogato, bardzo bogato. Uginali się pod biżuterią – najbardziej olśniewającymi i kosztownymi klejnotami, jakich Caitlin jeszcze nigdy w życiu nie widziała.

Wewnątrz rozbrzmiewała muzyka. W narożniku siedział kwartet smyczkowy, a łagodne tony skrzypiec i wiolonczeli niosły się echem po wysokich murach. Caitlin zastanawiała się, kto tu mieszkał. Czy była to jakaś rządowa posiadłość? Czy raczej prywatna rezydencja?

– To Pałac Doży – powiedziała Polly w odpowiedzi na jej myśli, ciągnąc ją za rękę i prowadząc przez tłum. – Władcy wszystkich mieszkańców. Pałac służy najbogatszej rodzinie w Wenecji jako miejsce przyjęć. Rządzą tym miastem już od setek lat.

– Jak zdobyli takie bogactwo? – spytała Caitlin.

– Dzięki soli.

– Soli? – spytała Caitlin, pomyślawszy, że się przesłyszała.

– Kiedyś była cennym towarem. Był okres, kiedy nikt w całej Europie nie mógł jej zdobyć. A Wenecja miała jej pod dostatkiem. Nie zauważyłaś wody?

– Nie czułaś tego w powietrzu? Jest przesycone solą. To dlatego wszystkie budynki butwieją. Sól zawarta w wodzie powoduje korozję ich fundamentów.

– Kiedy przybyli tu pierwsi Wenecjanie, szybko zorientowali się, że trafili na żyłę złota. Musieli jedynie wydobyć sól z wody. Przypominało to bicie monet.

Zgromadzili bogactwo, którego ani ty, ani ja nie mogłybyśmy sobie wyobrazić.

Szły dalej, lawirując w jeszcze większym tłumie.

– Ale teraz ta rodzina już wymiera – kontynuowała Polly. – Ich imperium kurczy się. Potomkowie w żadnej mierze nie przypominają swoich przodków.

Niektórzy są jednak tacy uroczy. Zwłaszcza jeden wpadł mi w oko. Robert.

Wnuk. Jest mniej więcej w naszym wieku i nie został jeszcze przemieniony. Jest rewelacyjny – powiedziała, a jej oczy zabłysły. – Nosi najbardziej ekstrawaganckie stroje. Sądzę, że również mu się podobam. Mam nadzieję, że poprosi mnie dziś do tańca. Za każdym razem, kiedy go widzę, trwoni wręcz niesamowitą ilość srebra, zachowując się w rozrzutny sposób.

W końcu dotarły na drugą stronę pomieszczenia i Polly otworzyła okazałe drzwi. W tym momencie Caitlin opadła szczęka.

– Na przykład zatrudniając Mozarta – dodała Polly.

W odległym końcu sali, przy ogromnym, biesiadnym stole siedział sam Wolfgang Amadeusz Mozart.

W białej peruce i szykownym kostiumie był jedyną osobą bez maski – i jedyną, która jej nie potrzebowała. Wystarczyła jego powierzchowność i to aż za bardzo. Niski, pękaty i bardzo blady, siedział za klawesynem, jedną ręką podnosząc kielich, a drugą grając na instrumencie. Kiedy odstawił kielich, wybuchnął dzikim śmiechem i dalej grał dwiema rękoma.

Przy całej beztrosce, grana przez niego muzyka była natchniona, wręcz duchowa. Caitlin nie słyszała nigdy czegoś podobnego. W zasadzie nigdy jeszcze nie słyszała klawesynu. Rozbrzmiewał blaszanym, metalicznym dźwiękiem, niezbyt głośnym – ale rezonującym na swój specyficzny sposób.

Jego gra była wesoła, optymistyczna i swawolna. Taka, jak i on w dużej mierze.

Mimo to, słyhać było w niej jakiś podźwięk, coś przenikliwego.

Stół mógł pomieścić około setkę ludzi; dotychczas zajmowano połowę wolnych miejsc. Pozostałe pięćdziesiąt było puste i to tam poprowadzili ją członkowie klanu. Usiedli wszyscy razem, wypełniając wolne miejsca, a pozostali biesiadnicy wzniesli kielichy i przyjęli ich wiwatami. Towarzysze Caitlin wzniesli swoje, a kiedy Caitlin poszła w ich ślady, zauważyła, że ktoś zdążył już skwapliwie napełnić go czerwonym płynem.

Siedziała w pluszowym, czerwonym, atlasowym fotelu, praktycznie w nim tonąc, oparłszy łokcie na wielkich poręczach i wpatrywała się w swój kielich.

Był zrobiony z pięknego kryształu, w którym mienił się czerwony płyn,

rozświetlony rzucanym przez stojący na stole ogromny świecznik światłem.

Przeczuwała, co to był za płyn i kiedy zaczęła pić, zrozumiała, że miała rację: to krew. Zaczęła krążyć w jej żyłach gwałtownie, wzmacniać ją i uświadomiła sobie, że była w niej domieszka czegoś jeszcze – jakiegoś rodzaju alkoholu.

Poczuła jak uderza jej do głowy, przyprawia o lekki zawrót głowy. Poczuła się też odprężona. Zdała sobie sprawę, jak bardzo była spięta od chwili, kiedy się tu pojawiła.

Na stole przed nią pojawił się wspaniały porcelanowy talerzyk z niewielkim kawałkiem surowego mięsa. Podobne talerzyki spoczęły przed pozostałymi członkami klanu. Zanim zastęp kelnerów się ulotnił, pojawił się kolejny, stawiając na stole przeróżne przysmaki i mięsa. Na środku zaś – wielkiego, faszerowanego prosiaka z jabłkiem w paszczy.

Caitlin nigdy jeszcze nie widziała tyle jedzenia przed sobą. Ponadto, wydawać by się mogło, że z każdą następną sekundą jakiś sługa przynosił

kolejne danie. A to wszystko oprócz dziesiątek innych sług, którzy bezustannie krążyli wokół nich i napełniali kielichy. Naczynia stojące po jej stronie stołu napełniali ciemnym płynem, pozostałe zaś czymś, co wyglądało jak szampan.

Caitlin chciała spytać Polly, o co w tym chodziło, dlaczego byli akurat tutaj, czyj to był dom, ale była zbyt zafascynowana Mozartem. Nie rozumiała muzyki klasycznej i nie potrafiła jej docenić, ale mimo to, oczywiście było, nawet dla laika, że grał z wprawą i pasją niepodobną do niczego. Mężczyzna płonał.

Muzyka zdawała się wypływać spod jego palców, dopełniając świąteczny nastrój. Równie zadziwiające było to, że jednocześnie śmiał się, pił i grał, nie pominąwszy ani jednej nuty.

Wszyscy siedzący przy stole pili i śmiali się. Drzwi do wielkiej sali stały otworem i co rusz ktoś wchodził i wychodził. Zabawa przeniosła się wkrótce i do ich sali, otaczając biesiadników zewsząd. Nie przypominało to już oficjalnej sali biesiadnej, a raczej zestaw stołowy typowy dla koktajlowych przyjęć. Caitlin ledwie potrafiła uwierzyć w przepych przepełniający to miejsce.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytała w końcu. – Dlaczego tu przyszliśmy? Do kogo należy to miejsce? Sądziłam, że idziemy na bal?

Polly miała akurat kawałek surowego mięsa w ustach i wysysała z niego krew, delektując się każdym najmniejszym kawałkiem. W końcu odłożyła resztę, wyglądając na orzeźwioną, wytarła usta i spojrzała na Caitlin.

– To Wenecja, moja droga – powiedziała. – Nic tutaj nie zaczyna się o czasie. A wszystko zawsze poprzedza coś innego. Nie wpadliśmy tak od razu na bal. Najpierw obiad. Przed nim muzyka; przed nią picie, a jeszcze przedtem zabawa. Życie tutaj nie toczy się tylko wokół jednego wydarzenia, na które

idziesz i z którego wracasz. Tutaj chodzi o to, aby sprawić, by te wydarzenie trwało całą noc.

Caitlin zdążyła się już zorientować, że na tym to właśnie polegało. Kiedy podniosła wzrok, zauważyła grupę cyrkowców zbliżających się do odległego krańca stołu, wlokących za sobą wózki z przeróżnymi piłkami. Na innym wózku dostrzegła muszle. Kiedy wszyscy zgromadzeni przy stole biesiadnicy skierowali na nich wzrok, cyrkowcy zamieszali muszle.

– Ta! – ktoś krzyknął, podnosząc dłoń i wskazując na muszlę.

Była to przysadzista kobieta, pokryta zbyt ciężkim makijażem, siedząca na kolanach jakiegoś mężczyzny. Krzyknąwszy, popchnęła na środek stołu okazałą stertę złotych monet.

– Nie, nie, tamta! – wrzasnął ktoś inny, popchnąwszy swój stosik monet.

Po pełnej napięcia chwili, cyrkowiec podniósł konchę... i pokazał pustą.

Zebrani wybuchnęli pełnym zachwytu gromkim śmiechem.

Kobieta, która odgadła prawidłowo, zgarnęła swoją stertę monet, jak i wszystkie pozostałe, po czym przechyliła się i pocałowała swojego mężczyznę.

Caitlin rozejrzała się wokół stołu i zauważyła, że wiele kobiet siedziało mężczyznom na kolanach, że niektóre z nich całowały się z nimi namiętnie na oczach wszystkich zgromadzonych. Jakoś nikomu to nie przeszkadzało.

– Nie sądzisz, że jest fantastyczny? – spytała Polly.

Caitlin podążyła za jej spojrzeniem ku szczytowi stołu. Siedział tam arogancko wyglądający typ, mający około osiemnastu lat, uderzająco przystojny.

Miał ciemnobrązowe włosy i brązowe oczy, był ogolony i wyglądał, jakby przez całe życie był rozpieszczany.

– To on – ciągnęła Polly. – Robert.

Polly miała rację: był nieziemsko wystrojony i bardzo pociągający. Ale zupełnie nie w jej typie. Wyglądał na przemądrzałego. Maskę podciągnął do góry tak, że spoczywała na jego czole, a w dłoni trzymał inkrustowany rubinami kielich. Za nim stało kilka ponętnych kobiet, z których jedna oparła rękę na jego ramieniu.

Nagle spojrział wprost na Caitlin, wzniosł kielich i skinął głową.

– Mój Boże, widziałas? – spytała Polly. – Spojrział na nas! Widziałas? Myślę, że popatrzył na mnie! Mam wielką nadzieję, że ze mną zatańczy.

Caitlin poczuła zdenerwowanie. Bez cienia wątpliwości wiedziała, że Robert spojrział na nią, a nie na Polly. Przestraszyła się nagle, że mu się spodobała, i że Polly znenawidzi ją za to. Zawsze pakowała się w takie tarapaty.

Usiadła wygodniej w swoim wyściełanym fotelu, zdawszy sobie sprawę, że czekała ją długa noc. Z jednej strony było zabawnie. Z drugiej jednak przerastało

ją to, było tego za dużo, zbyt dekadenccko – za dużo jedzenia, za dużo wina, za dużo zabaw, za dużo ludzi. Jakby nigdy nie miało się to skończyć.

Chciała jedynie zobaczyć Caleba. Rozpaczliwie za nim tęskniła, bardziej niż kiedykolwiek, każdą cząstką swej duszy. Wyobrażała sobie, że wyjdzie na bal, wkroczy do sali balowej i natychmiast go znajdzie. A to całe picie, zabawa, biesiada – wszystko to wydawało

się jedynie zawracaniem głowy. I odsuwało w czasie jej spotkanie z Calebem. Zaczynała się niecierpliwić.

– A kiedy zaczyna się bal? – spytała.

– Nigdy wcześniej niż przed północą – odparła Polly, beztrąsko sięgając po kolejny łyk wina.

Północ, pomyślała Caitlin. Spojrzała na znajdujący się po drugiej stronie sali zegar szafkowy i zauważyła, że wybiła dopiero dziewiąta.

Czekała ją naprawdę bardzo długa noc.

*

Siedziała rozparta w fotelu, czując zawroty głowy powodowane coraz to nowymi porcjami wina, ustawicznym, wręcz histerycznym śmiechem docierającym z wszystkich stron i mnogością potraw łądujących przed nią na stole. Biesiada przeistoczyła się w hedonistyczną ucztę, jakiej Caitlin jeszcze w życiu nie widziała. Nie mogła uwierzyć, że była to zaledwie rozgrzewka przed nocnym balem.

Przyglądała się wszystkiemu uważnie, ciekawa, jak zachowywali się ludzie i o czym rozmawiali w tym tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku. Uznała w końcu, że owo uroczyste przyjęcie było całkowicie odmiennym doświadczeniem. Każdy z obecnych był w jakiejś mierze zaangażowany, doceniał towarzystwo innych osób, był zaabsorbowany wspólną konwersacją.

Nikt nie rozmawiał przez komórkę, nikt nie pisał smsów, nie sprawdzał poczty, ani swojej strony na Facebooku. Żadnych dzwonek, żadnych elektronicznych brzdęków. I zamiast elektryczności, łagodny blask świec. Wszystko tchnęło większą swobodą, wolniejszym tempem, było bardziej ludzkie. Żadnego pośpiechu; wszyscy zdawali się mieć czasu pod dostatkiem. Pomyślała, że może właśnie tak wyglądało życie bez tej całej techniki.

A mimo to, nie było tu miejsca na prostotę: porcelana, kryształ, stołowe srebra, wyszukane suknie, wyśmienite dania, wina z dobrego rocznika...

Wszystko to można było spotkać w jakiejś luksusowej restauracji w dwudziestym pierwszym wieku.

Jednocześnie wyglądało na to, że nikt z obecnych nie miał za grosz szacunku dla swojego zdrowia. Czy oni kiedykolwiek słyszeli o

czymś takim, jak

cholesterol? Jedli i pili, jakby nie wiązało się to z żadnymi konsekwencjami, jakby wszyscy mieli jutro paść trupem. Zakładała również, że większość z tych ludzi nigdy w życiu nie widziała siłowni – lub chociażby wiedziała, co to.

Wprawiało to ją w osłupienie.

Caitlin osuwała się coraz niżej w swym fotelu. Była przejeżdżona i jej oczy zaczęły się zamykać – i wtedy, nagle, odezwało się bicie zegara.

Wszyscy wstali, a Caitlin zdała sobie sprawę, że wielki zegar wybił północ.

Kiedy wszyscy podnosili się ze swych miejsc, po drugiej stronie sali otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi prowadzące na salę balową.

Caitlin wstała z innymi. Polly chwyciła jej rękę ze zniecierpliwieniem i pospieszyły wraz z całym tłumem w kierunku sali. Wkrótce, w miarę jak coraz więcej ludzi napływało ze wszystkich sal biesiadnych, ogromna sala balowa wypełniła się po brzegi.

Potężna sala przypominała w dużej mierze pozostałe: miała białoczną posadzkę z marmurowych płyt, masywny kominek, kandelabry pełne płonących świec i złote lustra na każdej ścianie odbijające światło i sprawiające, że pomieszczenie to wyglądało na jeszcze większe niż w rzeczywistości. Wewnątrz były już setki ludzi, a mimo to przez otwarte drzwi napływali coraz to nowi. Sala była naprawdę obszerna. Caitlin z ledwością dostrzegła drugi koniec z miejsca, w którym stała. Wyciągała szyję, szukając wzrokiem Caleba, ale na nic to się zdało. Otaczało ją morze ciał, a poza tym, wszyscy mieli maski.

Kiedy zabrzmiała muzyka, Caitlin spięła się z podenerwowania. W odległym końcu sali, na niewielkim podium siedział Mozart i grał na klawesynie; wkrótce dołączyli do niego wiolonczeliści i skrzypkowie. Przedtakt przeistoczył się w oficjalny walc.

Każdy z przybyłych wiedział, co należało zrobić. Każdy oprócz Caitlin oczywiście. Stała na uboczu, czując się jak idiotka, kiedy pozostali uformowali idealne rzędy po obu stronach sali. Poszukała wzrokiem Polly, niemal gubiąc ją w ludzkim mrowiu, i pospiesznie stanęła u jej boku.

– Nie martw się, to prosty taniec – powiedziała Polly. – Zawsze zaczynają od łatwych.

Cała sala zaczęła poruszać się w idealnej synchronii, trzymając ramiona wyciągnięte na boki, robiąc jeden krok w przód i dwa w tył, obracając się o pół

okręgu w prawo, potem w lewo. Caitlin starała się za nimi nadążyć. Nigdy wcześniej nie czuła się aż tak niezdarnie. Nigdy nie była dobrą tancerką, i w dodatku nie wiedziała, co to za taniec. Jej jedynym ratunkiem było wolne tempo, które pozwoliło jej nadążyć za pozostałymi.

Ponownie zlustrowała tłum, mając nadzieję, że dostrzeże Caleba. Jednak było to niemożliwe: ze względu na te wszystkie kostiumy i maski nie była nawet

w stanie stwierdzić, kto był mężczyzną, a kto kobietą. Sporadycznie dostrzegała długie włosy opadające spod maski na plecy, ułatwiając nieco dzięki temu jej zadanie. Niektóre kobiety upięły jednak włosy pod maską, ukryły pod wysokim kołnierzem albo wręcz ubrane były w męski strój. Natomiast niektórzy mężczyźni, co szybko zauważyła, o dziwo przyodziani byli w suknie; i tylko po mięśniach łydek była w stanie stwierdzić, że rzeczywiście byli mężczyznami.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że w tym wieku zdarzały się przypadki transwestytyzmu. Czy cokolwiek miało tu swoje granice?

Właśnie chwytając rytm pieśni, kiedy muzyka nagle ucichła. Śmiejąc się głośno, Mozart zagrał kolejną, tym razem o wiele szybszą melodię.

Rozpoczął się nowy taniec. Tańczący uformowali cztery rzędy po przeciwnych stronach sali i ruszyli w parach tańczyć walca, zataczając szerokie koła wzdłuż całej sali.

– Mój Boże, tam jest – powiedziała Polly, obserwując Roberta tańczącego po przeciwnej stronie z jakąś dorodną blondynką. Caitlin rzuciła okiem, ale nie potrafiła zrozumieć, co takiego widziała w nim Polly.

W następnej chwili podbiegł do Polly Patrick, odciągnął maskę i uśmiechnął

się. Wysunął dłoń.

– Zatańczysz? – spytał z nadzieją w głosie.

Zasłonił jej widok Roberta. Polly wyciągnęła szyję, cała poirytowana.

– Może później – powiedziała.

Uśmiech znikł z twarzy Patricka, który oddalił się chyłkiem.

– Muszę choć raz z nim zatańczyć – powiedziała i pomknęła w tłum w kierunku Roberta.

Caitlin stała, czując się bardziej samotna, niż kiedykolwiek w życiu, i ponownie nerwowo przeczesła wzrokiem wszystkie twarze. Nie tak wyobrażała sobie to wszystko. Rozmazujący się potok masek ciągnął się przed jej oczyma, jedna za drugą. Jak w ogóle mogła mieć nadzieję na znalezienie Caleba?

Spróbowała przypomnieć sobie jego twarz i z każdą chwilą stawało się to coraz trudniejsze. Zaczęła nawet zastanawiać się, czy w ogóle go znała. Mając złe przeczucie, zaczęła tracić nadzieję, że przeżył ich podróż w czasie.

Spróbowała się skupić, użyć swoich zmysłów. Zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać, starając się odgradzić od tej całej muzyki, hałasu i harmidru.

Czuła, jak co rusz ktoś popychał ją na boki, ale próbowała to ignorować i skupić się na Calebie. Nabrała głęboko powietrza, mając nadzieję, że w jakiś sposób wyczuje jego obecność. Głęboko w sercu była pewna, że zorientowałaby się, gdyby był w tym samym co ona pomieszczeniu.

– Caitlin? – usłyszała nagle męski głos.

Otworzyła oczy z podnieceniem, czując, jak jej serce uderzyło mocniej.

Stał przed nią mężczyzna w szykownej, zielonej masce. Uśmiechnął się.

Czyżby zadziałało?

Caitlin również uśmiechnęła się w nadziei, że tak było.

Kiedy jednak mężczyzna odsłonił maskę, jej serce pękło.

Jak na złość, był to Tyler.

Ten sam poczciwy Tyler. Po tych wszystkich stuleciach nadal próbował ją poderwać. – Czy ofiarujesz mi ten taniec? – zapytał.

Caitlin zdenerwowała się. Zniszczył tę chwilę.

– Nie – warknęła i odwróciła się plecami.

Zauważyła jego twarz, jak spochmurniała z rozczarowania, kiedy odchodził.

Nagle poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna być aż tak okrutna wobec niego. Z pewnością na to nie zasługiwał; przecież zaprosił ją tylko do tańca. I to nie była jego wina. Ale podszedł do niej w złym momencie. I teraz czuła się jeszcze gorzej.

Zlustrowała salę ponownie z rozpaczą. Nie miała pojęcia, jak mogłaby tu znaleźć Caleba. A jej zmysły najwyraźniej nie pomagały w niczym. Zbyt dużo działo się wokół, zbyt dużo rozpraszało jej próby koncentracji.

Muzyka znów uległa zmianie i tańczący stanęli do kolejnego tańca. Tym razem pary tańczyły ze sobą, a po chwili rozdzielały się i każdy tańczył z kimś innym przez kolejnych kilka kroków. Obserwując to, Caitlin zdała sobie sprawę, że właśnie w ten sposób mogła go znaleźć. Musiała włączyć się w ten taniec, przeczesać całą salę, zatańczyć z jak największą ilością partnerów. Sterczenie tak na uboczu w niczym jej nie pomagało. Musiała wziąć w dłonie ręce jak największej ilości osób. Wiedziała, po prostu czuła, że gdyby rzeczywiście dotknęła dłoni Caleba, wiedziałaby o tym, bez dwóch zdań.

Zdeterminowana, ruszyła w taneczny wir z odrodzoną żarliwością, chwytając dłonie najbliższego partnera, podążając w rytm trzech kroków niezdarnie, zmieniając partnera razem z pozostałymi i chwytając dłonie następnego.

Dłonie, które chwytiała, były spocone. Wyczuwała też zapach alkoholu dolatujący zza masek.

Tańczyła nieustannie przez dłuższą chwilę, aż w końcu przyzwyczała się do nowych kroków, zmieniając tak wielu partnerów w tak krótkim czasie, że cały obraz zamazał się w jej oczach. Przez jedną chwilę tańczyła chyba nawet z jakąś kobietą. Wszyscy zmieniali partnerów coraz szybciej w takt rosnącego tempa muzyki. Tańczyła na całej szerokości sali – obracając się dokoła.

I zawsze dotykała czyjejś nowej dłoni. Czyjegoś ramienia. Co piruet, to inny partner. Niscy i wysocy, chuderławi i przysadziści. Każda nowa osoba skryta za

coraz to wymyślniejszą maską; niektóre były śmieszne i rozśmieszały ją, inne zaś wyglądały ponuro.

Lecz wciąż ani śladu Caleba.

W końcu muzyka ucichła. Wyczerpana fizycznie i emocjonalnie Caitlin odeszła do narożnika, by wypocząć. Wszyscy starali się

złapać oddech. Caitlin zdjęła maskę i starła pot z czoła, ciężko oddychając, jako że robiło się gorąco.

– Czy sprawi mi pani przyjemność i zatańczy ze mną? – odezwał się czyjś głos.

Caitlin odwróciła się na pięcie pełna nadziei.

Ale nie był to Caleb – poznała go już po głosie.

Nie, to Robert. Książę.

Był ostatnią osobą, z którą chciałyby zatańczyć. Nie tylko dlatego, że był

arogancki, ale, co ważniejsze, ponieważ podobał się Polly.

Stał naprzeciw i przyglądał się jej z nabiegłymi krwią od nadmiaru wina policzkami i śmiesznym piórem sterczącym zza jego maski, pnącym się kilka stóp w górę.

Tym razem zamierzała zachować się taktownie.

– Wybacz – odparła – ale zrobiłam sobie przerwę.

Jego twarz poczerwieniała. – Jak śmiesz! Czy naprawdę odważysz się odrzucić propozycję tańca ze mną? Czy nie wiesz, kim jestem? Wszak ty jesteś zwykłą dziewczką. Dobrze radziłbym przystać na moją ofertę – póki jeszcze jest aktualna.

Wbrew sobie wybuchnęła śmiechem. Zdała sobie nagle sprawę z wyraźnej różnicy, jaka dzieliła wiek osiemnasty i dwudziesty pierwszy, czyli nadal obowiązujących klasowych podziałów. Ten mężczyzna potrzebował porządnej nauczki. Była wściekła.

– Nie zatańczyłabym z tobą nawet gdybyś mi zapłacił – powiedziała oziębło.

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas oburzenia. Odmaszerował, tupiąc głośno. Prawdopodobnie nikt nigdy w ten sposób do niego nie przemawiał.

I dobrze, pomyślała Caitlin. Najwyższa pora.

Potrzebowała zaczerpnąć świeżego powietrza. Wewnątrz było zbyt duszno.

Wszystkie okna były pozamykane, a roztańczone setki ciał wytwarzały niesamowity gorąc.

Zaczęła przedzierać się przez parkiet i dokładnie w tym momencie rozbrzmiała nowa melodia. Wolniejsza i bardziej romantyczna.

Tańczący na powrót zaczęli zmieniać partnerów. Caitlin próbowała

ich zignorować, ale był to kolejny taniec na zmianę partnera i nikt nie pytał nikogo o zdanie. Ludzie chwyтали kogokolwiek spotkali na swej drodze, tańczyli przez kilka chwil i

odbijali, i Caitlin wkrótce poczuła, jak ktoś chwyta ją i obraca wkoło. Po prostu nie dało się tego uniknąć.

Poddała się, podjąwszy decyzję, że przetańczy na drugą stronę sali jeszcze jeden ostatni raz, a potem uda się do wyjścia. Zmieniała jednego partnera za drugim, chwytając dłonie i puszczając je na przemian.

I wówczas stało się. Kiedy dotknęła rąk ostatniego z tańczących, poczuła jak przeszedł ją prąd.

To były jego dłonie, jego energia. Wyczuwała to od stóp do głów.

Podniosła wzrok i przyjrzała się mu uważnie. Nosił maskę, dumną, złotą maskę godną królewskiej rodziny, a więc nie mogła dostrzec jego oczu. Ale ciało dało jej sygnał.

Zaparło jej dech w piersiach. Wszystko zatrzymało się w miejscu.

Kiedy jednak otworzyła usta, by przemówić, jakiś przypadkowy tancerz odciągnął ją od niego, chwycił i obrócił w przeciwnym kierunku. W tej samej chwili, inny tancerz odciągnął i jego, obracając Caleba w przeciwną stronę.

Próbowała się wyrwać, ale jej partner był zbyt ciężki i silny. Kiedy w końcu zdołała się uwolnić, była w połowie sali, rozglądając się rozpaczliwie za Calebem. Przeczesała tłum w poszukiwaniu złotej maski, ale wydawało się, że jej właściciel znikł, rozplynał się w morzu ciał.

Jak oszalała ruszyła przez salę, rozpychając wszystkich na boki, stanowczo zdecydowana, by go odnaleźć.

Krażyła po całej sali, chodząc od jednego wejścia do drugiego.

W końcu, po niecałej godzinie, poczuła się wyczerpana. Nigdzie go nie było.

Jeśli rzeczywiście to był on, to na tej sali już go nie było.

A może wyobraziła sobie to wszystko?

Nachyliła się, zdjęła maskę i odetchnęła. Nie mogła tego znieść. Miała już dość.

Wybiegła przez najbliższe drzwi, potem przez hol i kolejne drzwi.

W końcu wydostała się na zewnątrz, na plac, zachłannie łykając powietrze.

Zdjęła maskę i poddała się emocjom.

Płakała, tak bardzo płakała.

*

Zabił dzwon. Caitlin podniosła wzrok na gigantyczną wieżę zegarową stojącą po drugiej stronie placu. Spostrzegła, że wybiła już czwarta. Nie mogła uwierzyć, że już tak późno. Gdyby była w domu w swoich czasach i gdyby trwał

semestr szkolny, jej matka by ją zabiła. Tutaj nikt nie zawracał sobie tym głowy.

Na sali było wiele nastolatek. Na placu również wałęsało się ich wiele. O tej porze, o czwartej nad ranem.

Była wykończona. Chciała tylko wrócić do domu, na wyspę Polly i runąć na łóżko.

Potrzebowała snu. Musiała oczyścić umysł, ułożyć plan odszukania Caleba –

jeśli w ogóle żył. Postąpiła głupio. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Jak mogła oczekiwać, że spotka go na tym balu? Nawet jeśli to był on, najwyraźniej odszedł już i to na dobre.

Musiała wrócić do środka, znaleźć Polly i zapytać, czy mogłyby już wracać.

Miała nadzieję, że tak. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, było wielogodzinne czekanie, aż Polly zechciałaby wyjść z balu. A poza tym, nie miała jak inaczej wrócić na wyspę – ani też żadnego innego miejsca, do którego mogłaby teraz pójść.

Weszła do sali balowej i z ulgą stwierdziła, że zabawa dobiegała końca. Tłok zmalał o połowę i z każdą mijającą chwilą coraz więcej ludzi opuszczało to miejsce.

Na szczęście szybko znalazła Polly i z niepokojem zauważyła, że jej przyjaciółka płakała. Podbiegła do niej natychmiast.

– Co się stało? – zapytała. – Coś złego?

– Robert – odparła Polly. – Poprosiłam go o taniec. Najpierw odmówił.

Potem zmienił zdanie i zatańczył ze mną, ale w sposób, jakby mu na tym nie zależało. Tańczył szybko, jakby chciał mieć to już za sobą,

jakby pastwił się nade mną. Przewrócił mnie. Powiedział, że jestem pokraczną tancerką. Drwił ze mnie, a wszyscy się tylko śmiali. Jest mi tak bardzo wstyd – powiedziała, płacząc.

Caitlin zzieleniała z wściekłości. Właśnie znalazła jeszcze jeden powód, by nienawidzić Roberta.

– Możemy już iść? – spytała Polly. – Chcę wracać do domu.

Caitlin z ulgą przyjęła te słowa, lecz usłyszawszy całą historię, nie była jeszcze gotowa odejść. – Oczywiście – powiedziała – dasz mi tylko jedną minutę?

Polly skinęła głową przez łzy, które rozmazały cały makijaż. Caitlin poderwała się i dumnym krokiem przeszła przez salę.

Zauważyła go z łatwością – jego jednego najłatwiej było znaleźć w całym pomieszczeniu. Jego ogromne, białe pióro sterczało z tyłu maski na trzy stopy wyżej od wszystkich pozostałych. Chichotał, tańcząc z kilkoma dziewczętami po drugiej stronie parkietu.

Caitlin spostrzegła nagle przechodzącego obok sługę i chwyciła niesiony przez niego srebrny kielich wypełniony szampanem. Podbiegła do tańczących,

podeszła ukradkiem od tyłu, i udawszy, że potknęła się niechcący, wylała całą zawartość kielicha na jego plecy. Upewniła się, żeby płyn pociekł za koszulę, spłynął po jego gołej skórze.

Robert wrzasnął i zaczął podskakiwać wkoło, raz na jednej, raz na drugiej nodze, w miarę jak zimny płyn spływał po nagiej skórze.

Caitlin czmychnęła w tłum i schowała się. Robert obrócił się na pięcie, szukając winowajcy, ale nadaremnie. Wszystkie skupione wokół dziewczęta śmiały się z niego głośno.

Zadowolona ze swego czynu Caitlin odstawiła kielich i pospieszyła do Polly.

Sala pustoszała z każdą chwilą. Nagle rozbrzmiała nowa melodia, wolniejsza i bardziej romantyczna – prawdopodobnie, jak Caitlin przypuszczała, ostatnia tej nocy. Obejrzała się i zauważyła, że Mozart wciąż grał, jego twarz oblewał pot, był blady i nie wyglądał zbyt zdrowo.

I wówczas to poczuła.

Dotyk palców na ramieniu. Ten dreszcz, który wywołały w całym jej ciele.

Stała w miejscu. Obawiała się odwrócić i stanąć z nim twarzą w twarz.

Bała się, czy to rzeczywiście był on. I że znowu może go stracić.

Odwróciła się powoli.

Stał przed nią w tej samej złotej masce. Z dłonią wyciągniętą w jej stronę, oczekując jej aprobaty. Odszukał ją. By zatańczyć ostatni raz tej nocy.

Z walącym sercem chwyciła jego dłoń, a on objął ją drugą ręką w pasie. Tym razem przytrzymała go mocno, kładąc drugą rękę na jego ramieniu, zdecydowana nie pozwolić nikomu ich rozdzielić.

Tańczyli wolnego walca dookoła sali, a z każdym krokiem Caitlin czuła, że jej serce wrywa się do niego. To był naprawdę on. Była taka szczęśliwa, że żył.

Że mu się udało. Umocniło ją to w przekonaniu, że wszystko działało się z jakiegoś powodu. Że cokolwiek stanęłoby między nimi, na zawsze byli już sobie przeznaczeni.

Tańczyli powoli, spokojnie, w miarę jak salę opuszczali ostatni balujący.

W końcu melodia ucichła. Zatrzymali się, trzymając ciasno w objęciach, nie chcąc pozwolić sobie odejść.

W końcu wypuścił ją z objęć, podniósł dłoń, gotów unieść maskę z oczu.

Serce Caitlin waliło tak mocno, że nie potrafiła zebrać myśli.

Zdjął maskę.

A wtedy Caitlin zemdląła.

ROZDZIAŁ JEDYNASTY

Kyle szybował rozpędzony na nocnym niebie wprost ku Wenecji. Ten ksiądz okazał się twardy – dopiero ciężkie tortury, o wiele cięższe niż Kyle mógł to sobie wyobrazić, zmusiły go do udzielenia odpowiedzi, zdradzenia, gdzie udała się Caitlin. W końcu jednak, na chwilę przedtem zanim go zabił, to Kyle odniósł zwycięstwo. Uśmiechnął się teraz na myśl o tym.

Zanurkował w kierunku cichych uliczek Wenecji. Lądowanie było szybkie i twarde, dlatego wybrał jedną z nieoświetlonych alejek, tę, której zawsze używał, kiedy zachodziła potrzeba złożenia wizyty w

tej śmierdzącej dziurze. Było tak, jak zwykle. Ulica przypominała rynsztok i tonęła w całkowitym mroku.

Stanowiła idealną przykrywkę dla nocnych lądowań.

Było tak ciemno, że Kyle nie wiedział dokładnie, co stoi na jego drodze.

Opadł na ziemię zbyt szybko i przez przypadek na coś nadepnął. Najpierw zdziwił się, że podłoże było nadzwyczaj miękkie, kiedy jednak usłyszał

chrząkanie jakiegoś mężczyzny, uświadomił sobie, że wylądował na jakimś śpiącym menelu.

Menel skoczył na nogi i popatrzył gniewnie na Kyle'a.

– Co to ma znaczyć? – wrzasnął.

Rozdrażniony Kyle nie dał mu nawet szansy dokończyć zdania. Kopnął go mocno, posyłając w powietrze. Mężczyzna przeleciał przez alejkę, wyrznął o przeciwległy mur i osunął się na ziemię nieprzytomny. Kyle poczuł się dzięki temu trochę lepiej.

Rozejrzał się, z zadowoleniem stwierdził, że nikt nie zauważył jego lądowania. Ruszył alejką i aż wzdrygnął się na panujący tu smród, odór tego miasta. Od razu zatęsknił za dwudziestym pierwszym stuleciem.

Wygładził koszulę i wszedł na plac. I znalazł się w samym środku gęstego weneckiego tłumu. Ci głupi ludzie tańczyli, bawili się i śpiewali wszędzie wokół

niego. Irytowali go ponad wszelką miarę. Nie potrafił zrozumieć, z jakiego powodu mogli być aż tak szczęśliwi. Byli jedynie garstką śmiertelników bez żadnego celu w życiu, takiego jak na przykład jego. Żaden z nich do niczego nie dążył, nie kierował się osiągnięciem czegokolwiek, nie pracował choćby w przybliżeniu tak ciężko, jak on.

Im więcej się śmiali, tym większe odnosił wrażenie, że się z niego naigrawali. Jego wściekłość przybierała na sile. Wybrał jednego z tłumu, szczególnie wesołego klauna. Zakradł się od tyłu i kopnął z całych sił tuż za

kolanem, posyłając go na ziemię i rozsypując dokoła piłeczki, którymi ten żonglował.

Mężczyzna odwrócił się natychmiast, aby zobaczyć, kto mu to zrobił, lecz nie był w stanie dojrzeć go w takim tłumie. Przynajmniej

przestał się śmiać.

Dzięki temu Kyle uśmiechnął się, podniesiony nieco na duchu.

Zaczął torować drogę łokciami przez ścisk, przez plac, potem kolejną alejkę.

W końcu dotarł do brzegu wody i ruszył wzdłuż kanału. Tłok nie był tu aż tak gęsty.

I oto ujrzał przed sobą, dokładnie taki, jak go zapamiętał, Most Westchnień.

Niewielki mostek, mający być może ze dwadzieścia stopni po każdej ze stron i piętnaście stóp długości między brzegami. Był wystarczająco wysoki, by mogły przepłynąć pod nim niewielkie barki. Stał naprzeciwko więzienia i z tego miejsca zapewniał widok na więźniów zaciąganych do cel. Most otrzymał swą nazwę od westchnień kochanków, którzy stali na nim i patrzyli, jak odbierano im tych, których kochali. Było to jedno z ulubionych miejsc Kyle'a w Wenecji.

Co ważniejsze, było to dokładnie miejsce, w którym chciał się znaleźć.

Najpierw chciał dokonać spustoszenia w tym przypominającym wysypisko mieście, a dopiero potem zabrać się za tropienie Caitlin. Nie tylko dlatego, że zamierzał czerpać z tego ogromną przyjemność. Był to również zasadniczy punkt jego planu. Musiał odwrócić jakoś ich uwagę. Nie chciał mierzyć się bezpośrednio z całym jej klanem, sam przeciw im wszystkim. Nie chciał ryzykować, że uzyskają nad nim przewagę i ponownie straci dziewczynę z oczu.

Potrzebował jakiegoś wsparcia. A ponieważ Wielka Rada nie zamierzała mu tego zapewnić, musiał wprowadzić w życie inny plan, swój własny: który dotyczył właśnie więzienia. Kiedy otworzy cele, więźniowie rozleją się po mieście i rozszarpiają je na strzępy. I to mu wystarczy, i to aż zanadto, żeby zająć czymś ludzi i wszystkich członków klanu.

Zszedł z mostu, przeszedł alejkę i wszedł tylnymi drzwiami do wielkiej budowli, w której mieściło się więzienie.

Ruszył dumnym krokiem przez pusty, marmurowy korytarz, kierując się w stronę schodów. Wiedział, że tam niżej, w czeluściach Wenecji leżały miejskie lochy, a w nich przebywały setki ludzkich

więźniów – a nawet kilkoro z jego własnej rasy – gotowe opuścić je w jednej chwili i przynieść zagładę całemu miastu.

Przy schodach stało kilku policjantów, którzy na widok Kyle'a zeszytnieli w jednej chwili. Któryś z nich uniósł bagnet w jego kierunku.

Kyle nie dał im jednak żadnej szansy. Skoczył nagle w powietrze, kopiąc jednego z nich mocno w pierś. W szaleńczym wirze zadał ciosy pięścią i

łokciem, zanim w ogóle zdążyli zareagować, po czym wyrwał bagnet z rąk któregoś i zaczął dźgać ich bez litości.

W kilka chwil strażnicy leżeli przed nim na ziemi. Wszyscy martwi.

Kyle rozejrzał się szybko na boki, upewnił się, że nikt go nie obserwował i pospiesznie zszedł po schodach.

Zapowiadała się naprawdę piękna noc.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy otworzyła oczy, zdała sobie sprawę, że spogląda na strop. Był wysoko i tak daleko od niej. Zauważyła też piękne freski namalowane na jego powierzchni. Była całkowicie dezorientowana. Próbowwała przypomnieć sobie, gdzie jest. Czowała, że leży na plecach, a jej głowa spoczywa na czyichś kolanach.

I natychmiast sobie przypomniwała.

Podniosła wzrok, mrugając powiekami, chcąc sprawdzić, kto to. Serce łomotało mocno.

Ale to nie Caleb spoglądał na nią z góry.

Lecz Polly.

Usiadła prędko, otrząsnąwszy się z resztek snu, i rozejrzała wokół.

– Nareszcie – powiedziała Polly. – Myślałam, że odpłynęłaś na dobre. Co się stało?

Caitlin zaczęła rozglądać się po całej sali, lustrując maski opuszczających ją szybko osób. Poczwała ukłucie strachu.

– Gdzie on jest? – spytała.

– Kto? – spytała Polly.

Ponownie przeczesала wzrokiem salę. *Nie. To nie działo się naprawdę. Nie znowu.*

Sięgnęła myślami wstecz. Starła się przypomnieć sobie moment, w którym uniósł maskę. Kiedy spojrzała w jego oczy.

To nie był Caleb. I właśnie to najbardziej nią wstrząsnęło.

Nie. Caleb nie pojawił się na balu, ani przez chwilę przez całą długą noc.

Mężczyzna, przed którym stała, z którym tańczyła, ten, z którym poczuła taką więź, okazał się Blakiem.

I teraz gdzieś przepadł.

Była taka wściekła na siebie. Dlaczego musiała zemdleć? Dlaczego akurat jej przydarzały się takie rzeczy i to w najgorszych momentach?

– Widziałam, jak zemdlałaś – powiedziała Polly – i jakiegoś chłopaka, który cię podtrzymał. Szybko przybiegłam, by pomóc.

– Gdzie on jest? – spytała Caitlin z niepokojem.

– Znikł, kiedy wylądowałaś bezpiecznie na moich rękach.

Nagle odezwał się inny głos:

– Ale tylko na chwilę.

Caitlin odwróciła się i jej serce zamarło.

Stał przed nią, ledwie kilka stóp dalej. Blake. Powoli zdjął maskę i spojrzał

na nią z tym samym przejęciem, co poprzednio, tym samym, które zapamiętała z ich pierwszego spotkania.

Wszystko do niej wróciło. Ich wspólna warta na Pollepel, jego gra na wiolonczeli, tamta noc na plaży, ich rozmowa – przypomniła sobie to wszystko, jakby zdarzyło się zaledwie wczoraj.

Zastanawiała się, czy i on pamiętał. Sposób, w jaki na nią patrzył przekonywał ją, że było tak istotnie.

Chociaż z drugiej strony, jakżeby mógł? Przecież tamto wydarzyło się w przyszłości, a teraz była przeszłość. Chyba że posiadał moc zaglądania w przyszłość. Wydawało się, że większość wampirów ją miała, niektóre potężniejszą od innych, tak więc wywnioskowała, że najprawdopodobniej pamiętał, lub raczej widział to w przyszłości.

– Tak – odparł, precyzyjnie odczytując jej myśli. – Widzę.

Caitlin poczuła, że się rumieni. Była zażenowana, że znów ktoś odczytał jej myśli. Jednocześnie było poruszona faktem, że

pamiętał.

Pamięta. Wszystko pamięta. Naprawdę.

Już samo to wiele dla niej znaczyło. Nareszcie poczuła, że nie oszalała, że nie była tu sama. Odniosła wrażenie, że znalazła pierwszą prawdziwą więź

łącącą ją z dwudziestym pierwszym wiekiem. Nareszcie nie czuła się tu tak całkiem obco. Jakby nic z tego nigdy się nie wydarzyło.

– Caitlin? – powiedziała powoli zdumiona Polly, spoglądając raz na nią, raz na niego. – Nie przedstawiłaś mnie swemu przyjacielowi.

Caitlin stała bez słowa, niepewna co ma powiedzieć.

– Mmm... - zaczęła i ucichła. Próbowwała wymyślić jakieś wytłumaczenie, ale nie miała pojęcia, od czego zacząć.

Stała więc tak nadal, aż zrobiło się nieco niezręcznie.

– Jestem Blake – powiedział w końcu, wyciągając dłoń ku Polly.

Polly uścisnęła jego dłoń z rezerwą. Spojrzała na Caitlin, która wciąż wpatrywała się w Blake'a, jakby zobaczyła ducha. Nie tylko była pod wrażeniem odkrycia tej więzi ze swoją przeszłością – ale też była poruszona przywiązaniem, jakie poczuła do niego. Zapomniała już, jaki był niezwykle przystojny.

– W porządku? – spytała Polly.

Caitlin skinęła głową powoli. Nadal była jak sparaliżowana. To uczucie, kiedy razem tańczyli, kiedy trzymali się za ręce... wiedziała, że było prawdziwe.

Była pewna, że to Caleb. Ta więź była zniewalająca. Jak to możliwe? Że to nie Caleb, a Blake? I dlaczego Caleb nie pojawił się wcale na balu, przez całą noc?

Caitlin była pewna, że skoro Caleb nie pojawił się w nocy, a jej staranne poszukiwania i myślowe nawoływanie nie przyniosły skutku, to nie było go tutaj. Targała nią mieszanina różnych uczuć. Czuła, jak serce jej pęka, kiedy zaczęło do niej docierać, że Caleb mógł nie przeżyć podróży. A może przeżył, ale wylądował w innym stuleciu i innym miejscu.

Jednocześnie czuła, jak jej serce odżywa poczuciem więzi z Blakiem. Tyle było między nimi nieświadomości. A ona nie miała pojęcia, od czego zacząć.

Miała wrażenie, że już odzywanie się do niego było dowodem jej braku lojalności wobec Caleba. Ale przecież właśnie wyglądało na to, że nigdy go tu nie było.

Polly spoglądała raz na nią, raz na niego, kiedy tak stali i gapili się na siebie i wkrótce poczuła się nieswojo.

– Caitlin – powiedziała – sądzę, że obie musimy wracać do domu. Już prawie piąta. Nikogo tu prawie nie ma.

Caitlin skinęła głową, ale nic nie powiedziała, nie potrafiąc oderwać oczu od Blake'a. Był zachwycający, taki idealny, jak z obrazka. Jego szczęka rysowała się wyraźnie pod idealną skórą. Jego ciemnobrązowe oczy błyszczały, wpatrując się w nią z energią, jakiej jeszcze nigdy nie czuła.

– W zasadzie, jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałbym dotrzymać jej towarzystwa przez chwilę – powiedział Blake.

Polly zaczęła protestować, jednak on szybko dodał, – Nie martw się –

odprowadzę ją całą i zdrową.

– Caitlin? – spytała Polly. – Tego właśnie chcesz?

Czy ja tego chcę? pomyślała. Pragnęła tego ponad wszystko. W gruncie rzeczy, akurat w tej chwili nie potrafiłaby wyobrazić sobie siebie gdziekolwiek indziej, bez niego. Czuła, jakby nie miała wyboru. Jakby *nie chciała* go mieć.

– Tak – zdołała w końcu wykrztusić.

– Wiesz, gdzie mieszkamy? – spytała Polly, ta zawsze opiekuńcza przyjaciółka.

Blake skinął głową.

– Oczywiście. Każdy to wie. Isola di San Michele.

Polly nadal nie była skora ich opuścić.

W końcu Blake podszedł o krok i podał Caitlin otwartą dłoń.

Caitlin zawahała się na ułamek sekundy, po czym podniosła rękę i podała mu swoją dłoń.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Caitlin siedziała w gondoli, podczas gdy Blake stał za nią na rufie i delikatnie wiosłując, manewrował po małych, wąskich kanałach podupadłej części weneckiego śródmieścia. Było już naprawdę późno. Miasto zdawało się pogrążone w głębokim śnie, całkowitej ciszy i coraz większym mroku w miarę, jak przygasało coraz więcej ulicznych pochodni. Jedyną rzeczą rozświetlającą mroczną noc była wielka księżycowa tarcza na niebie i sporadyczna świeca płonąca w

oknie. Caitlin słyszała jedynie delikatny plusk fal uderzających o ich łódź oraz odgłosy zanurzającego się w wodzie wiosła. Było tak spokojnie i romantycznie.

Takiej Wenecji Caitlin jeszcze nie widziała. Miasto było spokojne i opustoszałe. Wewnętrzzną część przecinały kanały wijące się przez sam środek, przypominające boczne alejki, tyle że podróżowało się po wodzie. Razem z Blakiem musiała schylać się mniej więcej co sto stóp, by nie uderzyć głową o kamienne mostki. Kanały były tak wąskie, że starczało miejsca zaledwie dla dwóch gondoli przepływających obok siebie.

Podniosła wzrok i ujrzała popadające w ruinę wnętrza domostw zbudowanych na podwalinach miasta. Drzwi każdego z nich otwierały się wprost na wodę, na której w większości przypadków kołysały się umocowane do palików gondole ich właścicieli. A wyżej, wysoko nad głową, na porozwieszanych wszędzie sznurach suszyło się pranie. Byli w samym sercu Wenecji, gdzie w spokoju żyli miejscowi. Tchnęło tu antycznym światem.

Caitlin zastanawiała się, o czym myślał Blake, kiedy tak płynęli razem w ciszy. Był jednym z najbardziej małomównych ludzi, jakich знаła. Nigdy nie potrafiła zgadnąć, o czym myślał. Trwali w ciszy przez zbyt długi czas. A przecież miała tak wiele pytań. Aż paliła się, by mu je zadać. Chociaż, co dziwne, odpowiadała jej ta cisza w jego towarzystwie i to bardzo. Nie czuła potrzeby wdawania się z nim w rozmowę, by nie czuć się nieswojo. Wiedziała, że w jego przypadku było tak samo. Wróciła myślami do ich wspólnych chwil na Pollepel, do tego, jak milczał przez cały czas. Nic tak naprawdę się nie zmieniło.

Mogły minąć wieki, a ludzie pozostawali zawsze sobą.

I to jej odpowiadało. Była po prostu zachwycona, że był tu z nią, że razem wybrali się na przejażdżkę. Zamknęła oczy, wciągnęła słone powietrze do płuc i spróbowała zatrzymać tę chwilę dla siebie. Przejażdżkę gondolą po oświetlonej blaskiem księżyca Wenecji. Czego więcej mogłaby chcieć?

W końcu jednak kilka pytań przedarło się na powierzchnię jej świadomości i po prostu musiała je wypowiedzieć. Nabrała głęboko powietrza, mając nadzieję, że nie zepsuje tym nastroju.

– Co pamiętasz? – spytała w końcu.

Pytanie zawisło w powietrzu na dłuższą chwilę, która zdawała się trwać, aż zaczęła się zastanawiać, czy Blake je usłyszał, a nawet czy rzeczywiście je zadała.

W końcu odpowiedział

– Wystarczająco dużo.

Zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem tych słów. Czysty Blake. Zawsze taki tajemniczy. Nigdy nie mówił więcej, niż trzeba.

– Pamiętasz Pollepel? – spytała.

I znów cisza. Aż wreszcie:

- Nie nazwałbym tego w ten sposób – odparł. – To raczej spoglądanie w przyszłość, na życie, które mogłoby się wydarzyć. Widzę je w myślach. Jednak nie stało się ono moim udziałem.

– Zatem... – zawahała się na chwilę. – Czy dostrzegasz nasze wspólne chwile?

Tym razem to on się zawahał.

– Częściowo – odparł. – Mam jakby wrażenie. Odczucie ciebie z innej rzeczywistości, które jest bardzo silne. Jednak szczegóły... zakrywa mgła.

Sądzę, że tak ma być. Jak by nie było, za każdym razem zaczynamy od początku, prawda?

– A jakie jest to doznanie? – spytała.

Nie widziała go, gdyż stał za nią i wiosłował, ale wydało jej się, iż w otaczającej ich ciszy usłyszała jego uśmiech. – Bardzo pozytywne – odparł.

Potem dodał:

– Powiadają, że istnieją ludzie, których przeznaczone jest nam spotykać w każdym życiu i każdym miejscu – i właśnie to czuję w stosunku do ciebie.

Caitlin wiedziała dokładnie, co miał na myśli. Również to odczuwała. Nie chodziło tu o miłość. Raczej o coś silniejszego. Przeznaczenie. Los.

Nieuchronność. Bycie *przeznaczonym* do życia z jakąś osobą bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie. Była to ta magiczna chwila, kiedy wszechświat sprawiał, że ścieżki schodziły się ze sobą; kiedy pomijał czyjeś prawo wolnego wyboru. Był to ten moment, kiedy wolna wola zmuszona była poddać się czemuś wyższemu, ważniejszemu. Przeznaczeniu. Które, jak uważała, było potężniejsze nawet od miłości. Miłość, taką prawdziwą, mogła przeżyć tylko z jedną osobą w jednym życiu i w tym mogła akurat dokonywać wyborów. Lecz

przeznaczenie – czuła, że mogło dotyczyć jej i wielu innych osób, i że nie miałyby wpływu, kogo dotyczy.

Obawiała się zadać następne pytanie. Jej serce biło mocno.

– Wiedziałeś, że będę tej nocy tutaj? – spytała.

Nastąpiła długa cisza. W końcu odrzekł:

– Tak, dlatego przyszedłem.

– Czy jesteśmy sobie przeznaczeni w tym życiu? – spytała.

– Nie wiem – powiedział. – Ale wiem jedno, że chcę być z tobą.

Kiedy pokonali kolejny zakręt, ich niewielki trakt połączył się z Wielkim Kanałem Weneckim. Ich oczom ukazała się laguna. Jej krystaliczne, błękitne wody skrywała zalegająca wszędzie mgła, nadająca księżycowej poświacie osobliwy wygląd.

W głowie miała mętlik. Emocje zaczynały brać górę i z trudem przychodziło jej przypomnienie sobie powodu, dla którego cofnęła się w czasie do tego miejsca. Jej myśli powracały do Caleba z coraz większym trudem. A przecież była tak zdecydowana go odszukać. Teraz jednak była pewna, ponad wszelką miarę, że Caleba po prostu tu nie było. To po co tu w takim razie trafiła? Czy zamiast tego miała spotkać Blake'a? Byś z nim?

Blake przybił do nabrzeża, przywiązał łódź i usiadł przy niej. Wstawał świt i niebo zaczynało mienić się różnorodnością barw.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Nareszcie mogła się mu przyjrzeć.

– Czas jest cenny – powiedział. – Wydawałoby się, że trwa wiecznie, ale tak nie jest. Życie, mimo swych zawłośc, umyka tak szybko. W jednej minucie możemy być razem, a już w następnej rozstać się na wieki.

Zaczęła myśleć o jego słowach i zdała sobie sprawę, że miał rację.

– Cóż za ironia – powiedziała – że dla nas, nieśmiertelnej przecież rasy, czas jest jedyną rzeczą, której, wydawałoby się, nigdy nam nie starcza.

Spojrzał na nią pałającym wzrokiem. Caitlin odwzajemniła jego spojrzenie, czując, jak poddaje się całkowicie uczuciom.

– Mieszkam w pałacu poza miastem – powiedział. – Chcę, byś tam ze mną popłynęła.

Caitlin nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zaniemówiła. Serce biło jej mocno w piersi, a w ustach zaschło. Nie miała siły się sprzeciwić. Miała wrażenie, że stoi obok siebie i obserwuje wszystko z tej perspektywy, że jest jedynie biernym świadkiem.

Nagle Blake pochylił się, a ona zorientowała się, że zamierzał ją właśnie pocałować. Świat zaczął wirować wokół niej. Zamknęła oczy.

I wówczas, sekundę później, poczuła dotyk jego miękkich ust na swoich.

I właśnie wtedy usłyszała hałas.

Oboje natychmiast przerwali pocałunek i odwrócili się w tej samej chwili.

Zobaczyli młodą parę z dzieckiem huśtającym się między rodzicami, idącą po pomoście. Dziecko tryskało radością, podskakując w górę, a jego rodzice zdawali się rozpromienieni. Zmierzali ku łodzi zaledwie kilka stóp od Caitlin i Blake'a. Kiedy tam dotarli, młody ojciec obejrzał się i spojrzał w ich stronę.

Serce Caitlin stanęło.

Mężczyzna również musiał być zaskoczony widokiem Caitlin, gdyż jego szeroki uśmiech nagle znikł. Odwrócił się i spojrzał wprost na nią, powoli wypuściwszy dłoń dziecka ze swojej ręki.

Kobieta stojąca przy nim, wysoka i rudowłosa, również odwróciła się i zaczęła wpatrywać w Caitlin.

Blake, zaskoczony, nie mogąc zrozumieć o co chodzi, przyglądał się im obojgu na zmianę.

Świat Caitlin właśnie wywrócił się do góry nogami.

Oto stał przed nią, zaledwie kilka kroków dalej, Caleb.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Caitlin siedziała w niewielkiej łodzi, spoglądając na nieboskłon jaśniejący o świcie i chciała, by nastał koniec świata. Płynęli dalej Wielkim Kanalem, aż ląd znikł z pola widzenia i tylko woda otaczała ich zewsząd – a Caitlin, jakąś częścią swej duszy, pragnęła płynąć tak bez końca, aż po sam horyzont i dalej poza oblicze ziemi. Była taka smutna, taka zdezorientowana... chciała zapaść się pod ziemię.

Nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna. Osobą, która wiosłowała nie był

Blake, czy Caleb, ale całkowicie obcy jej człowiek, gondolier, którego znalazła na pomoście i którego wynajęła, by zawiózł ją na wyspę Polly. Na szczęście Polly dała jej wcześniej pieniądze na wszelki wypadek.

Blake nalegał, by pozwoliła choć odwieźć się do domu, ale odmówiła.

Darzyła go zbyt silnym uczuciem i po tym, jak zobaczyła Caleba, nie mogła znieść jego towarzystwa ani chwili dłużej. Potrzebowała czasu, by to wszystko rozwikłać, spróbować zrozumieć.

Jak na ironię, gdyby nie wpadli na Caleba dokładnie przed chwilą, Caitlin była pewna, że nadal byłaby teraz w gondoli z Blakiem, być może w drodze do jego pałacu.

Prawdopodobnie spędziliby cudowną noc, taką, którą zapamiętałyby do końca życia, bez względu na to, jak długie by ono nie było. Gdyby wtedy nie natrafiła na Caleba, mogłaby nawet spędzić resztę życia z Blakiem.

Ale najwyraźniej nie było jej to pisane. Nie takie było jej przeznaczenie.

Nie. Dokładnie w tym momencie, w tej sekundzie, kiedy usta Blake'a dotknęły jej ust, dokładnie wtedy, kiedy w końcu przestała szukać Caleba, przeznaczenie postanowiło postawić go na jej drodze. Wszedł z żoną i dzieckiem na wczesnoporanną przejażdżkę łodzią. Wstali wcześniej, a ich spragniony wrażeń syn nie mógł się doczekać, by wsiąść na łódź i popłynąć na poranną eskapadę.

Dlaczego musiała go zauważyć? I dlaczego on musiał zauważyć ją? I dlaczego to wszystko musiało się stać dokładnie w chwili, kiedy usta Blake'a dotknęły jej ust? Nie dość, że czuła się teraz jeszcze bardziej dezorientowana względem Blake'a, to nawet miała wrażenie, że zdradziła Caleba, jakby zrobiła coś okropnego. Czy życie musiało być aż tak okrutne?

Kiedy zauważyła Caleba, w pierwszej chwili, gdy otrząsnęła się z szoku, poczucia winy wywołanego pocałowaniem Blake'a, jej pierwszym odczuciem była radość, euforia na widok Caleba żywego tu i teraz. Wskoczyła z łodzi

Blake'a bez namysłu, niemal ją wywracając, przebiegła molo wprost w jego kierunku i zatrzymała się ledwie o stopę od niego.

Wpatrzyła się w niego, a on spojrzał w dół na nią. Najpierw, mogłaby przysiąc, zobaczyła jakby skojarzenie przemknęło mu po twarzy.

Jednak już w następnej sekundzie jego twarz wykrzywiła konsternacja.

Przypatrywał się jej wciąż, ale nie było to spojrzenie kochanka, czy nawet przyjaciela. Było to spojrzenie kogoś, kto mógł już cię kiedyś spotkać, ale nie potrafił teraz przypomnieć sobie, kim jesteś.

– Kto to jest, tatusiu? – zapytał chłopczyk, na oko dziesięcioletni, szarpiąc Caleba za rękaw.

Caleb zignorował go, wciąż wpatrzony w Caitlin. W końcu, nie odwracając od niej wzroku, powiedział, – Nie wiem, Jade.

Caitlin poznała po jego głosie, po jego zachowaniu, że naprawdę, rzeczywiście nie wiedział. I to właśnie zraniło ją najbardziej, zabolalo dotkliwiej, niż gdyby zabito ją milion razy. Oto pojawiła się tu, przebyła całą tę podróż w czasie wyłącznie dla niego, naraziła swoje życie, straciła dziecko – i to wszystko po co?

Z jednej strony to zadziało – żył i miał się dobrze w innym stuleciu. Z tego powodu poczuła ulgę.

A mimo to, już jej nie znał. Aiden ostrzegał ją. Powiedział, że podróż w czasie jest nieprzewidywalna. Blake, którego ledwie znała, pamiętał ją, a Caleb, którego kochała ponad wszystko, nie. To było zbyt okrutne.

Najpierw pomyślała, że Caleb potrzebował trochę czasu, by sobie przypomnieć – kiedy jednak stała tam i przypatrywała się mu, na jego twarzy ani przez chwilę nie pojawił się cień rozpoznania, a ona z każdą chwilą coraz bardziej czuła się jak idiotka.

– Przepraszam, ale czy my się znamy? – spytał w końcu.

Sera podeszła i stanęła obok Caleba. Zawsze była taka troskliwa. Wyglądała na szczęśliwszą, delikatniejszą. Caitlin nigdy wcześniej jej takiej nie widziała. I owszem. Przecież była kobietą w kwiecie wieku, u boku swego męża i ich żyjącego dziecka. Nie była tą zgorzkniałą Serą z przyszłości.

– Caleb? – powiedziała powoli Caitlin, nadal żywiąc nadzieję, nawet, kiedy łamało się jej serce. – To ja, Caitlin.

Caleb spojrział na nią spod przymrużonych powiek, aż w końcu pokręcił głową.

– Tak mi przykro – powiedział – lecz obawiam się, że nie znam ciebie.

Caitlin zauważyła dłoń Sery na ramieniu Caleba próbującą niecierpliwie odciągnąć go w stronę ich łodzi. Najwyraźniej, Sera również jej nie pamiętała, a mimo to wyglądała na bardzo skrepowaną. Zaborczą, zazdrosną. Jakby coś

wyczuwała. Caitlin zdała sobie sprawę, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Caleb – powiedziała Sera. – Musimy już iść.

Po tych kilku słowach Caleb, jego żona i dziecko wsiedli do swojej łodzi. Po kilku silnych pchnięciach wiosłem, wypłynęli na głęboką wodę. Z każdą chwilą oddalali się coraz bardziej. Raz, tylko raz Caleb odwrócił się i spojrzał na nią.

Po czym odwrócił się.

Blake podszedł do Caitlin i stanął przy niej. Była zażenowana, bardziej niż kiedykolwiek, i nie wiedziała, co powiedzieć.

– Kto to był? – zapytał Blake.

Nie wiedziała, jak zareagować. Była zła, że również Blake go nie pamiętał.

Czy pamięć mogła być aż tak wybiórcza?

I jak miała odpowiedzieć? Kim on był?

Teraz, siedząc w łodzi płynącej ku wstającemu słońcu, zmierzając ku wyspie Polly, wracała do tego wszystkiego pamięcią i odtwarzała w myślach wciąż na nowo. Chwile spędzone z Blakiem; ich wspólny taniec; przejażdżkę gondolą; ich pocałunek; Caleba... Wszystko to zdawało mieszać się ze sobą i trudno jej było oddzielić pojedyncze fakty. Dlaczego to wszystko musiało przydarzyć się na raz?

Czuła się rozdarta, niespokojna. Czy cała ta podróż okazała się bezcelowa?

Teraz, kiedy już go znalazła, kiedy zobaczyła, że był z Serą, że mieli dziecko, jaki to wszystko miało sens? Czuła się beznadziejnie, całkowicie pogrążona w natłoku myśli. I taka głupia. Oczywiście. Przypomniała sobie, że Caleb był

przecież kiedyś szczęśliwie żonaty i miał dziecko, kiedyś w przeszłości. Nie podejrzewała jedynie, że akurat było to w tych czasach. Tu i teraz. Dokładnie w chwili, kiedy była gotowa ponownie do niego wrócić.

Musiała się z tym pogodzić. Był żonaty i miał dziecko, a to była świętość.

Był już *zajęty*. Myśl o tym zabolęła ją bardziej, niż cokolwiek innego, ale *musiała* to po prostu zaakceptować. Był związany węzłem małżeńskim i cokolwiek miało się stać w przyszłości, nie mogła się do tego wtrącać. Musiała pozwolić mu odejść.

A jeśli tak, to jaki sens miał jej powrót do przeszłości? Czy w istocie miała odnaleźć tu ojca, jak twierdził ksiądz? Czy Caleb był jedynie przynętą, która miała zwieść ją z tej ścieżki?

Czy też, zamiast tego, jej przeznaczeniem był Blake? Czy to był ten wyłączny powód, dla którego tu przybyła? Czy w ten sposób los przymykał na nią oko?

Z jednej strony, jeśli Caleb był zajęty, uświadomiła sobie, że nie było nic złego w jej związku z Blakiem. Jednakże, nadal kochała Caleba, nadal go

pragnęła. I sama myśl o tym, że mogła być z Blakiem w jakiś sposób, mimo wszystko, wydawała się jej zdradą. *Zdradą wobec kogo?* pomyślała.

Dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, że sprawy mogą przyjąć tak zły obrót? Zdawała sobie sprawę, że być może nie odnajdzie Caleba. Ale nie myślała, że może stać się coś gorszego: że zdoła go odszukać, ale on będzie z kimś innym. I nawet nie będzie jej pamiętał. Nie potrafiła wyobrazić sobie niczego gorszego. Powinna to przewidzieć. Ale gdyby nawet, to czy postąpiłaby inaczej?

Świt wstawał nad horyzontem w pełnej krasie, barwiąc niebo odcieniami czerwieni, pomarańczy i różu, rozświetlając lagunę i wodne szlaki. Nie spała całą noc. Uświadomiła sobie, że oto świat od nowa zaczynał dzień.

Zobaczyła wyspę na horyzoncie i wiedziała, że wkrótce tam będzie.

Jednakże jakąś częścią swego serca pragnęła, by tak się nie stało. Chciała, by jej łódź płynęła po prostu dalej, znikając z oblicza ziemi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Caitlin biegła. Słońce stało wysoko na niebie, a ona biegła przez pole usłane różami, tysiącem kwiatów niesamowicie wysokich, sięgających jej do pasa.

Wszystkie w innym kolorze, czerwone, różowe, białe i żółte, ocierały się o nią delikatnie w czasie biegu. O dziwo, nie miały kolców. Ich dotyk łagodnie muskał

jej nogi, a zapach wypełniał powietrze.

Na horyzoncie stał jej ojciec, wyższy niż kiedykolwiek, bliżej, niż zazwyczaj.

Była niemal w stanie rozróżnić jego rysy twarzy. Biegając, czuła, że wkrótce do niego dotrze.

Kiedy jednak spuściła wzrok, kwieciste pole znikło, a zastąpił je niewielki, złoty most. Jej ojciec również zniknął, a na horyzoncie pojawiło się miasto z niskimi budynkami, których dachy pokrywała w całości czerwona dachówka.

Niewielki, złoty most piał się po łuku i opadał po drugiej stronie.

Pobiegła na jego skraj i ujrzała pod sobą krystalicznie czystą, lśniącą błękitem wodę.

Przeszła most, zamierzając wejść do miasta, kiedy na powrót pojawił się jej ojciec u wejścia do miejskiej bramy. Stał po drugiej stronie i kiedy Caitlin rzuciła się w jego stronę, nagle wyrosły przed nią potężne, dwuskrzydłowe, wolnostojące drzwi po środku ulicy, blokując jej drogę.

Wiedziała, że nie zdoła ich obejść. Były wysokie, trzy razy takie jak ona, a kiedy zatrzymała się przed nimi, zauważyła, że były wykute z litego złota.

Pokryte były misternie rzeźbionymi obrazami, figurami, których nie potrafiła zrozumieć. Wiedziała, że jej ojciec był za nimi, zaledwie po drugiej stronie.

Wiedziała, że gdyby tylko udało się jej otworzyć te wrota, dotarłaby do niego, że czekał, by wziąć ją w objęcia.

Przeszukała wzrokiem całe drzwi, lecz nigdzie nie było klamki. Zamiast tego, podniosła dłoń i przesunęła palcami po rzeźbionych, złotych konturach. Czuła gładkie kształty i zarysy, była zdumiona ich precyzją. Jakby miała przed sobą jakieś dzieło sztuki.

– Caitlin – dobiegł ją czyjś głos. Wiedziała, że należał do jej ojca. Był

głęboki, łagodny i uspokajający. Pragnęła usłyszeć go ponownie.

– Czekam na ciebie – powiedział. – Otwórz drzwi.

– Nie mogę! – krzyknęła zrozpaczona.

– Caitlin!

Caitlin otworzyła oczy i zobaczyła stojącą nad nią i potrząsającą ją Polly.

Obudziła się zdezorientowana. Czy to był głos ojca? Czy należał do Polly?

Usiadła wyprostowana i rozejrzała się po całym pokoju w poszukiwaniu ojca. Ale był to tylko kolejny sen. Był taki żywy, jak prawdziwe spotkanie.

Przetarła oczy i zmrużyła je przed ostrym, słonecznym światłem wpadającym do jej pokoju. Był dzień. Spróbowała przypomnieć coś sobie.

Kiedy zasnęła? Czy spała przez cały dzień?

Róża podeszła do niej i polizała ją po twarzy.

– Która godzina? – spytała Caitlin półprzytomnie.

– Późne popołudnie – powiedziała Polly. – Spałaś cały dzień. Nie chciałam cię budzić. Pozwoliłam ci spać tak długo jak mogłam. Teraz jednak większość dnia mamy za sobą, więc pomyślałam, że można cię obudzić. Wyspałaś się, prawda? Nie mogę się doczekać, żeby z tobą porozmawiać. Jak było w nocy? Co się stało? Dlaczego nie wróciłaś ze mną? Czy Blake cię odwiózł? Jak było?

Jak zwykle, Polly zasypała ją mnóstwem pytań, ledwie dając jej chwilę do namysłu. Nie miała pojęcia, na które pytanie odpowiedzieć najpierw.

– Nie wróciłam z nim – powiedziała. – Wróciłam sama. Wynajęłam łódź, by przywiozła mnie do domu.

Oczy Polly rozszerzyły się ze złości.

– Co się stało? Spochmurniała na twarzy. – Jeśli cię tam zostawił, zabiję go–

– Nie, nie – powiedziała Caitlin. – To nie tak. Chciał mnie przywieźć. To ja poprosiłam, żeby tego nie robił.

– Dlaczego? – wyraz twarzy Polly znów się zmienił. – Ach, rozumiem –

powiedziała. – Nie poszło najlepiej? Nie lubisz go? Dlaczego, co takiego powiedział? Co się stało?

– Nie, nic z tych rzeczy – powiedziała Caitlin.

Wstała i wyciągnęła nogi. Musiała zaczerpnąć tchu, przemyśleć wszystko.

Chciała dać Polly odpowiedzi, ale sama ledwie je знаła.

– Myślę, że po prostu... potrzebowałam czasu – odparła. – Żeby to wszystko przemyśleć. No wiesz. W zasadzie to wpadłam wczoraj na kogoś innego... Kogo kiedyś znałam.

Polly zawahała się.

– Tego całego... Caleba, o którym mówiłaś?

Caitlin odwróciła wzrok. Jej serce zabiło mocniej na sam dźwięk jego imienia.

– Tak – odpowiedziała w końcu.

– Więc? Co się stało?

Caitlin zamyśliła się. Co tak *naprawdę* się stało? Nadal ledwie mogła w to wszystko uwierzyć. Że Caleb jej nie pamiętał. Miała uczucie, jakby ktoś przebił

jej serce sztyletem. I jeszcze widok jego tak szczęśliwego u boku Sery... Więcej nie mogłaby znieść.

– Nie poszło... tak, jak... się tego spodziewałam – powiedziała Caitlin.

– No, a co z Blakiem? Co z nim nie tak? Wyglądaliście tak dobrze razem ze sobą w tańcu.

Caitlin próbowała się skupić. Blake był niezwykły. Co do tego nie miała wątpliwości. A jej uczucia względem niego – były takie realne. Dlaczego to wszystko musiało mieć miejsce w tej samej chwili? Czowała się rozdarta, miotana przeciwnościami. Umysł podpowiadał jej, że Caleb był już zajęty i nie byłoby mądrze dalej o nim rozmyślać. Jednocześnie, związek z Blakiem, teraz, w tej chwili, tak szybko... czuła, że było na to za wcześnie.

– Wszystko z nim w porządku – powiedziała Caitlin. – Tylko... Nie wiem.

Chyba... jeszcze tego nie przemyślałam.

Polly skinęła głową. – Masz rację – powiedziała. – Mężczyźni są beznadziejni. Westchnęła. – W każdym razie przepraszam za te wszystkie pytania. Byłam po prostu bardzo ciekawa. Tęskniłam za tobą. W jakiś sposób sprawiasz, że ludzie cię lubią. Przy okazji, już prawie pora obiadowa. I ktoś naprawdę ważny chce się z tobą zobaczyć.

Caitlin zaczęła łamać sobie głowę. Kto to może być?

– Aiden – powiedziała Polly. – Poprosił mnie, żebym cię wezwała.

*

Caitlin szła zewnętrznym korytarzem klasztoru, mijając kolumny jedna za drugą, pod nisko zawieszonym, zwieńczonym łukiem sklepieniem wzdłuż wewnętrznego dziedzińca. Wszędzie wokół widziała członków klanu pogrążonych w ćwiczeniach, słyszała brzęk ich mieczy, kiedy tak walczyli ze sobą bez przerwy. Przyszła jej na myśl Pollepel. Zdała sobie sprawę, że nic tak naprawdę nie zmienia się z upływem lat.

Szła dalej, zmierzając ku głównemu kościołowi San Michele, gdzie według Polly miała znaleźć Aideną.

Aiden. Była podekscytowana ponownym spotkaniem, kolejną więzią z jej przeszłością, a jednak również podenerwowana. Czy będzie ją pamiętał?

Wydawało się jej, że niektórzy, Caleb i Polly na przykład, nie pamiętali jej, podczas gdy inni, jak Blake, owszem – lub przynajmniej w jakimś stopniu. A co z Aidenem? Wydawał się wiedzieć więcej niż większość, zarówno w przeszłości, jak i przyszłości. Miała przeczucie, iż jeśli ktokolwiek miałby ją pamiętać, to z pewnością Aiden.

Jak zwykle, spotkanie z Aidenem nadchodziło w odpowiedniej chwili. Tyle pytań cisnęło się jej na usta, tyle niedokończonych spraw. Miała wrażenie, że stanęła na rozdrożu. Nie mogła zapomnieć o porannym śnie, o ojcu, o tych wielkich, złotych wrotach. Zastanawiała się, co mogły znaczyć. Czowała, silniej, niż kiedykolwiek, palącą potrzebę wypełnienia misji, konieczność jej podjęcia.

Nie wiedziała jednak, czego dotyczyła, ani gdzie miałyby się udać. Czy miała całkowicie zrezygnować z Caleba? Czy powinna szukać ojca? A jeśli tak, to gdzie? I co z Blakiem?

Czy jej podróż w przeszłość była błędem?

Lub, czy miała jakiś cel?

Czowała, że ze wszystkich osób to Aiden najprawdopodobniej znał odpowiedzi na te pytania.

Otworzyła drzwi do wiekowego kościoła i weszła do środka.

Wewnątrz świeciło pustką. Nie było nikogo poza jedną osobą, klęczącą w odległym końcu przy ołtarzu. Nie musiała podchodzić bliżej, żeby wiedzieć, kto to. Aiden.

Ruszyła środkiem przejścia, wzdłuż głównej nawy, a jej kroki odbiły się echem.

Zatrzymała się kilka stóp za nim. Klęczał odwrócony do niej plecami, z uniesionymi rękoma, najwyraźniej pogrążony w modlitwie. Tkwił bez ruchu, tak spokojnie, że zaczęła zastanawiać się, czy w ogóle jeszcze żył. Przed nim na ołtarzu widniał ogromny krzyż.

W końcu, po chwili trwającej niemal wieczność, kiedy już miała wymówić jego imię, przemówił.

– Caitlin – powiedział.

Stwierdził, nie zapytał. Jak zwykle zdołał uczynić z najprostszej rzeczy coś tajemniczego.

– Cieszę się, że znów cię widzę – dodał.

I jak zwykle wydawało się, że wszystko, co powiedział, można było zinterpretować na wiele sposobów. Czy to oznaczało, że ją pamiętał?

Nie była pewna, jak zareagować.

W końcu podniósł się z klęczek, odwrócił się i spojrzał na nią. Jego oczy błyszczały intensywnym, jasnym błękitem i wydawały się świdrować ją na wylot. Nadal miał długie, srebrne włosy i pasującą do nich brodę, i wyglądał

dokładnie tak jak na Pollepel. To było niesamowite. Wydawało się, że nie postarzał się ani o jotę.

– Dziękuję za przyjęcie mnie do klanu – powiedziała Caitlin. I dodała: –

Ponownie.

Aiden uśmiechnął się nieznacznie. – Nie to, co Pollepel, prawda?

Jej serce załomotało. A więc. Naprawdę pamiętał. Czy to oznaczało, że niczego nie zapomniał?

– Jak sądzisz? – powiedział, w odpowiedzi na jej myśl.

A potem:

– Chodź za mną.

*

Szli powoli ramię przy ramieniu obrzeżami wyspy, tuż nad brzegiem wody.

Caitlin uderzył spokój i piękno tego miejsca. Wyspę pokrywała bujna, zielona trawa, usiana drzewkami cyprysa włoskiego, a w oddali widać było niewielkie cmentarzysko. Zewsząd widoczna była woda.

Szli powoli w ciszy. Caitlin zaczęła zastanawiać się, czy Aiden w ogóle przemówi ponownie.

W końcu nie mogła już tego dłużej znieść. Miała tyle palących pytań, które musiała zadać.

– Jak dużo pamiętasz?

– Z pamięcią nie ma to właściwie nic wspólnego – powiedział. – To raczej, jak... dostrzeganie tego, co mogłoby się wydarzyć.

Caitlin zaniepokoił jego dobór słów.

– Mogłoby się wydarzyć? – spytała.

– Kiedy podróżujesz w przeszłość, z oczywistych względów ma to wpływ na twoją przyszłość. Wszystko łączy się ze sobą. Twoja przyszłość jest wszak podsumowaniem twojej przeszłości. Cokolwiek robisz w tej chwili, twoje czyny zeszłej nocy, ta rozmowa, którą właśnie prowadzimy – wszystkie twoje działania poczynione w tym miejscu i czasie – wpłyną na zmianę przyszłości, którą mogłabyś mieć. Wszystko spaja łańcuch wydarzeń. Zmień jedno ogniwo, a cały łańcuch zmieni się wraz z nim. Zmieniasz swoją przyszłość nawet w tej chwili, będąc tutaj. I będziesz to robić z każdym wyborem, którego dokonasz.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Konsekwencje są nieograniczone. Nie wpływasz jedynie na czasy obecne.

Oddziałujesz na wszystko, co nas czeka.

W głowie Caitlin zaroilo się od implikacji. Bała się cokolwiek powiedzieć, cokolwiek zrobić; czuła się obarczona odpowiedzialnością. Czy popełniła błąd, wracając tu? Z drugiej strony jednak, jaki miała wybór? Miała pozwolić Calebowi umrzeć?

– Jestem taka zdezorientowana – powiedziała. – Nie wiem już, po co tu przybyłam. Najpierw myślałam, że dla Caleba. I tak *było*. Chciałam go ocalić.

Chciałam z nim być. Teraz jednak... on jest z kimś innym.

Aiden westchnął. – Czas to podstępny przeciwnik, nieprawda? Chcesz, aby wszystko potoczyło się tak, jak było. Ale nigdy tak się

nie dzieje.

– To powiedz mi – odparła. – Dlaczego tu jestem?

– Tego akurat musisz dowiedzieć się sama.

– Ale czy jest jakiś powód? Sens tego wszystkiego? – naciskała.

– *Zawsze* jest jakiś powód. Masz zbyt wąską perspektywę widzenia. Nadal nie potrafisz zrozumieć, że Caleb jest tylko jednym z kawałków wielkiej i skomplikowanej układanki. To on był siłą napędową, która cię tu sprowadziła.

Owszem. Ale być może sprowadził cię tu z innego powodu.

Wierzysz, że to ty sprowadziłaś go do przeszłości. Lecz być może, przez cały ten czas, to on prowadził ciebie.

W głowie Caitlin zakotłowało się od myśli.

– Ty *jednak* masz misję, prawda?

Caitlin spojrzała na niego i nagle przypomniała sobie swój sen.

– Rano miałam sen o ojcu – powiedziała. – Ten sam, co zawsze, lecz tym razem zobaczyłam złote drzwi. Były takie wysokie, takie piękne. Spróbowałam je otworzyć, ale nie mogłam. Wiedziałam, że gdyby tylko udało mi się je otworzyć, dotarłabym do ojca.

– A jak wyglądały te drzwi? – spytał.

– Były ze złota i całe pokryte rzeźbieniami.

– Scenami z Biblii? – zapytał.

– Tak – odparła podekscytowana. – Skąd wiedziałeś? Znasz te drzwi? Co oznaczają?

– Ich znaczenie odkryć musisz sama – odparł. – Drzwi, które opisałaś, istnieją w jedynym miejscu na świecie. We Florencji.

Florencja. Caitlin przypomniały się słowa księdza: *znajdziesz ojca we Florencji.*

– Twój ojciec przesłał ci wiadomość. Chce, byś tam go odszukała.

Caitlin zamyśliła się głęboko. Czy zawiodła, nie udawszy się tam natychmiast? I czy przede wszystkim powinna unikać Wenecji?

– Caitlin, wywodzisz się z wyjątkowego rodu. Nie pomyśl się zbyt, jeśli powiem, że los całej rasy wampirzej i ludzkiej spoczywa w twoich rękach. A mimo to, nie zdecydowałaś się jeszcze w pełni zaakceptować swojej misji. W

zamian, gonisz za kochankami z przeszłości. Nadal idziesz tam, gdzie ci serce dyktuje. Wiedziałaś od początku, że punktem wyjścia twojej misji jest Florencja.

Nadeszła pora, byś podjęła swoje obowiązki. Musisz poprowadzić nas do Tarczy. I znaleźć swego prawdziwego ojca.

– Ale nie wiem, jak to zrobić – odparła błagalnym tonem.

– Owszem, wiesz. Znaczenie objawiło się tobie we śnie.

Spojrzała na niego. Florencja. Te drzwi. I w tej chwili zrozumiała, gdzie musiała się udać.

Niebo pociemniało nagle i zerwał się silny wiatr. Rozwiał jej włosy, a oczy Aideny rozbliły intensywnie, jak nigdy przedtem.

– Nie unikniesz swego przeznaczenia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Caitlin stała na rufie gondoli, sama, wiosłując przez szeroki wenecki kanał.

Polly obawiała się puścić ją samą, jednak po wielu prośbach zgodziła się pożyczyć jej swoją łódź. Caitlin miała przeczucie, że sobie z nią poradzi, a naprawdę potrzebowała побыć trochę w samotności. Potrzebowała czasu i miejsca, by pomyśleć. A co najważniejsze, w miejscu, do którego zmierzała, nie chciała mieć nikogo przy swoim boku. Musiała udać się tam sama. Wzięła ze sobą jedynie Różę. Siedziała teraz u jej stóp, zachwycona i szczęśliwa jak zwykle, kiedy mogła być u jej boku.

Po spotkaniu z Aidenem, Caitlin zrozumiała, że miał rację. Musiała wypełnić misję. Musiała przynajmniej spróbować. Podjąć się jej, podążać za wskazówkami, zobaczyć, dokąd ją zaprowadzą.

Jednocześnie uświadomiła sobie, że nie mogła wyruszyć bez rozstrzygnięcia sprawy z Calebem. Musiała całkowicie się upewnić, że jej naprawdę nie pamiętał, że naprawdę jej nie kochał, że był rzeczywiście szczęśliwy z Serą. Po tym wszystkim, przez co przeszła, przez co przeszli oboje, po prostu *musiała* wiedzieć. Ostatniej nocy wydarzenia potoczyły się tak szybko. Być może zapomniał tylko pod wpływem chwili. Teraz, kiedy nadszedł nowy dzień, być może wszystko wyglądało inaczej. Być może wszystko wróciło do niego falą, wtedy w nocy.

Gdyby spojrzała mu w oczy teraz, w dziennym świetle, a on powiedziałby jej znów, że jej nie pamięta lub że już jej nie kocha, wystarczyłoby to jej.

Uspokoiłaby się i mogła ruszyć dalej. Pozostawiłaby Wenecję za sobą i samotnie kontynuowała swoją wyprawę. Jednak do tego momentu nadal była w stanie zawieszenia, nie potrafiła zrobić kroku w przód.

Słońce zachodziło i zrobiło się chłodniej. Wodny prąd wzmógł się razem z wiejącym wiatrem. Wiosłowała coraz mocniej, kierując się w stronę widniejącej na horyzoncie wyspy, zgodnie ze wskazówkami Aideny. Kiedy powiedziała mu, że nie ruszy się, póki wcześniej nie zobaczy Caleba, Aiden w końcu, aczkolwiek niechętnie, powiedział jej, gdzie może go znaleźć. Na niewielkiej wysepce Murano, na obrzeżach Wenecji. Ale ostrzegł ją również, by nie szukała go, że sprowadzi to jedynie kłopoty.

Ale co jeszcze miała do stracenia, jeśli straciła już jego? Musiała zaryzykować. Musiała podążyć za głosem serca. Wiedziała, że nie było to zbyt bezpieczne. Ale przecież miłość również taka nie była.

W końcu minęła zakręt i przed nią pojawiła się wyspa Murano. Była piękna, niepodobna do niczego, co w życiu widziała. Wyglądała, jak miniaturowa wersja Wenecji, za wyjątkiem tego, że wszystkie budynki pomalowane były różnorodnymi jaskrawymi kolorami. Rozświetlone późnym, popołudniowym słonecznym blaskiem wyglądały niczym tęcza. Wyspa sprawiała wrażenie przytulnej i wesołej.

Wiosłując, przepłynęła kanałem między dwoma niewielkimi budynkami.

Czuła spokój i ukojenie. Zdziwiła się, że klan Caleba wybrał akurat to miejsce.

Prędzej przyszedłoby jej do głowy coś gotyckiego. Zapuszczając się coraz głębiej w wyspę, wzrokiem szukała kościoła, który opisał jej Aiden: kościoła Santa Maria e San Donato. To tam ponoć zamieszkiwał klan Caleba.

Wiosłowała bez końca, aż ramiona ją rozbolewały. Spytała jakiegoś tubylca, który wskazał jej poprawny kierunek. Przepłynęła kolejny niewielki kanał i przed nią rozpostarł się kościół. I nagle wszystko nabrało sensu: oto stał przed nią masywny kościół pośrodku maleńkiej wysepki. Wyglądał na wiekowy, był

wielki, półkolisty i napawał szacunkiem. Zewsząd otaczały go kolumny. W jakiś sposób przypominał klasztor w Nowym Jorku. Zrozumiała, dlaczego pobratymcy Caleba mogli czuć się tutaj dobrze.

Przywiązała łódź i wysiadła. Róża wyskoczyła za nią, szczęśliwa, że nareszcie jest na suchym lądzie.

Caitlin przeszła przez rozległy, kamienny plac, opustoszały o tej późnopołudniowej porze, wspięła się po schodkach i weszła przez kościelne drzwi.

Panował tu mrok. I cisza. Był to kolejny potężny, antyczny kościół, ze sklepieniami i witrażami po każdej stronie. Zauważyła setki prostych, drewnianych ławek i ani żywej duszy. W zasadzie, jak daleko okiem sięgnąć, kościół był pusty. Żadnego księdza, nikogo.

Ruszyła powoli wzdłuż centralnej nawy, chłonąc wszystko wzrokiem. W

końcu dotarła do ołtarza i podniosła wzrok, aby przyjrzeć się mu uważnie.

Zauważyła wielki posąg anioła na piedestale, a za nim na ścianie kilka wielkich, zwierzęcych kości. Nigdy jeszcze nie widziała tak wielkich piszczeli. Wyglądały na prehistoryczne.

– Kości smoka – odezwał się czyjś głos.

Obróciła się na pięcie.

Oto, zmierzając w jej kierunku, szedł ktoś, kogo rozpoznała. Najpierw nie potrafiła sobie go przypomnieć. Kiedy podszedł bliżej, uświadomiła to sobie z szokiem: Samuel. Brat Caleba.

Wyglądał jak zwykle. Miał długie włosy i brodę. Był poważny, bezpośredni, zaprawiony w boju. Był ponurym mężczyzną. Przypomniała to sobie. Ale

zawsze wydawał się przyjazny.

Podszedł do niej i podniósł wzrok na mur.

Według legendy te kości należą do smoka – powiedział. – Ubitego przez bohatera setki lat temu. Oczywiście, to nie legenda. Jeden z nas go ukatrupił.

Chociaż, rzecz jasna, nie przypisujemy sobie tej zasługi.

Zlustrowała wzrokiem kości namalowane wysoko na murze i popadła w zadumę. Potem odwróciła się i spojrzała na Samuela. Zastanawiała się, czy ją pamiętał.

– Przepraszam za to wtargnięcie – powiedziała. – Szukam kogoś.

– Mojego brata – powiedział beznamiętnie. Nie było to pytanie. Wlepiała wzrok w jego oczy i zastanawiała się, ile mógł wiedzieć.

– Pamiętasz? – spytała.

Skinął głową prawie niezauważalnie. Zastanawiała się, czy było to potwierdzenie.

– Jest ze swoim synem – powiedział Samuel.

Słowo *syn* zabrzmiało jak nagana. Caitlin zastanawiała się, czy Samuel nie dawał jej czegoś do zrozumienia: wycofaj się. Zostaw Caleba, Serę i ich dziecko w spokoju.

– Chciałabym się z nim zobaczyć – powiedziała. – *Muszę* się z nim zobaczyć.

Spoglądał na nią z namysłem.

– Nasz klan zamieszkuje to miejsce od stuleci – powiedział, ignorując jej słowa. – Szkło Murano – ludzie zawsze twierdzili, że wydaje się nieludzkie.

Zastanawiali się, skąd ta jego perfekcyjność. Najlepsze szkło w całym świecie.

Oczywiście jest wytworem naszych rąk. Nie możemy używać luster, a więc szkło tej jakości stało się ich najlepszym zamiennikiem.

– Nie żyjemy z cudzej krzywdy. Rozwijamy się dzięki przemysłowi, podobnie jak ludzki rodzaj. Obecnie żyjemy w pokoju.

– Kiedy jednak zjawia się ktoś nowy, ktoś z innego klanu i składa niezapowiedzianą wizytę, stara spotkać się z kimś, z kim nie powinien, może jedynie spowodować kłopoty.

– Nie chcę sprawiać żadnych kłopotów – powiedziała. – Chcę jedynie porozmawiać z Calebem. *Proszę*.

– Wiesz, co sprawia, że wampir staje się bezbronny? – spytał Samuel.

Zamyśliła się.

– Nie ludzie. Rzadko jakaś broń. Nawet nie inny wampir. Jesteśmy w stanie poradzić sobie niemal ze wszystkim. -Ucichł. A potem dodał:

- To miłość.

Caitlin zamyśliła się.

– Miłość jest słabym punktem każdego wampira. Może nas zmieniać. Może prowadzić do naszej zagłady – rzekł. – Masz dobre intencje – dodał. – Ale nie oznacza to, że przyniesie to dobre efekty.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł tą samą drogą.

Kiedy obserwowała, jak odchodził, na jej usta cisnęły się setki słów, które chciała powiedzieć, ale była zbyt oszołomiona jego uwagami. Nie miała pojęcia, jak zareagować.

Wówczas, nagle, wychodząc z kościoła, zatrzymał się u drzwi. Zawahał się, po czym zawołał.

- Znajdziesz Caleba na nabrzeżu. Razem z jego synem.

*

Szła rozległym, kamiennym placem w kierunku mola, kiedy słońce zaczęło zachodzić, a jego piękne pomarańczowe i czerwone promienie, wyzierające zza chmur, skąpały w fantastycznym świetle całe otoczenie.

Szła wraz z Różą, kiedy nagle, w oddali, zauważyła nabrzeże. Była wdzięczna losowi, że Murano, w przeciwieństwie do Wenecji, było praktycznie opustoszałe. Zdołała dostrzec zaledwie kilku mieszkańców.

Nie zauważyła jednak Caleba i poczuła zawód. Czyżby Samuel ją zwodził?

Dlaczego tak bardzo obawiał się jej obecności? Czy zobaczył coś, czego ona nie potrafiła dostrzec? Odnosiła coraz wyraźniejsze, negatywne wrażenie. Obaj przestrzegali ją przed tym spotkaniem.

Szukała wszędzie, jednak nie było po Calebie najmniejszego śladu.

Wtem, kiedy spuściła wzrok, zauważyła chłopca siedzącego nad wodą.

Wyglądał na około dziesięć lat, a kiedy przyjrzała się mu bliżej, zdała sobie sprawę, że był to jego syn, Jade.

Siedział sam, wpatrując się w wodę z dyndającymi nad jej powierzchnią nogami. Był taki słodki. Siedział niczym idealna replika Caleba. Serce łamało się jej na ten widok. Sprawił, że zaczęła zastanawiać się, jak mogłoby wyglądać jej wspólne życie z Calebem. Pomyślała też o dziecku, które mogliby mieć razem. Zaczęła opłakiwać swoje utracone dziecko. Zastanawiała się też, czy aby nie podjęła złej decyzji, cofając się w czasie.

Kiedy podeszła bliżej, Jade odwrócił się nagle. Był szybki i bystry, jak jego ojciec.

Spojrzała na jego roziskrzone, błękitne oczy i naszła ją myśl, czy był człowiekiem, wampirem, a może czymś pośrodku. Przypomniała sobie z trudem, jak Caleb powiedział jej kiedyś, że Sera była człowiekiem, kiedy ją poślubił.

Wiedziała też, że wampiry nie mogły płodzić potomstwa. A więc, przypuszczalnie dziecko było mieszańcem. Tak jak ona kiedyś.

I rzeczywiście, kiedy wpatrywali się w siebie, nawet z takiej odległości, wyczuwała silną więź z chłopcem. Zrobiło jej się ciepło w sercu. Czuła niemal, że chłopiec mógłby być jej własnym synem.

Jade podskoczył, otworzywszy szeroko oczy na widok Róży. Podbiegł do niej i uściskał ją. Róża była równie zachwycona jego widokiem. Podniosła łapy, objęła chłopca i polizała po całej twarzy.

– Jak się wabi? – spytał, głaszcząc jej futro. Nadal mówił piskliwym, chłopięcym głosem.

– Róża.

– Mogę ją zatrzymać? – spytał.

Wbrew sobie Caitlin wybuchnęła śmiechem. Zapomniała, jak nieprzewidywalne potrafiły być dzieci.

– Hmm... Nie jestem pewna. Ale możesz ją pogłaskać. Najwyraźniej naprawdę cię lubi.

– Naprawdę? – zapytał, otwierając oczy jeszcze szerzej. Zaczął bawić się z Różą, walczyć na niby, odpychając jej łeb raz w tą, raz w tamtą stronę, a ona udawała, że gryzie go po rękach, po czym puszczała wolno. Caitlin nie mogła wyjść z podziwu. Wyglądali jak dwaj starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się od wieków.

– Różo, delikatniej – zbesztła ją Caitlin, zaniepokojona ich brutalną zabawą.

Róża wycofała się natychmiast i podbiegła do Caitlin.

– To tylko zabawa – powiedział Jade. I dodał: – A kim ty jesteś, tak przy okazji?

Trudno było jej się skoncentrować, kiedy tak patrzył na nią swoimi oczyma.

Był taki podobny do Caleba, jak żywy. Caitlin zdołała wyczuć, że był bardzo silny.

– Wydaje mi się, że cię skądś znam – dodał.

– Jestem Caitlin – powiedziała i podała dłoń.

Jade chwycił ją i potrząsnął, starając się ze wszystkich sił wyglądać na dorosłego. Caitlin uśmiechnęła się. Jednak musiała powstrzymać się od wybuchnięcia śmiechem.

– Jestem Jade – powiedział.

– Co ty tutaj robisz sam, Jade?

– Czekam na tatę – powiedział i nagle odwrócił się w stronę wody.

Caitlin również spojrzała, ale nigdzie nie widziała Caleba.

– Zazwyczaj wraca o tej porze. Zanim się ściemni. Mama powiedziała, że mogę tu przyjść i poczekać na niego.

Usiadł z powrotem nad wodą, dyndając nogami, plecami odwrócony do Caitlin i rozejrzał się wokół.

– Możesz poczekać ze mną, jeśli chcesz – powiedział z wahaniem.

Caitlin poczuła wdzięczność za tę propozycję. Nie wiedziała tak naprawdę, co powiedzieć. Nie tego się spodziewała. Gdyby poczekała tu z nim, czy Caleb nie byłby zły, widząc ją siedzącą obok swojego syna? Czy nie zrobiłaby na nim złego wrażenia? I co by się stało, gdyby pojawiła się Sera?

Z drugiej zaś strony, nie wiedziała, co innego miałyby uczynić.

Róża nie wahała się. Podbiegła i usiadła przy Jadzie. Caitlin postanowiła pójść w jej ślady.

Siedzieli w trójkę na brzegu mola, spoglądając na wodę o zachodzie słońca.

Jade pogłaskał Różę po głowie.

– To ty jesteś tą panią, którą widzieliśmy zeszłej nocy, prawda? – zapytał

nagle.

– Tak – powiedziała Caitlin.

– Moja mama wściekła się, kiedy odpłynęliśmy. Ciągle pytała tatę, kim jesteś. Powiedział, że nie wie. Mama myślała, że kłamał – powiedział Jade.

Caitlin powstrzymała uśmiech. Dzieciaki były takie szczerze. Kusiło ją, żeby zapytać o coś jeszcze, ale opamiętała się. Byłaby nie w porządku.

Siedzieli w ciszy, rozglądając się. Caitlin była zaskoczona normalnością ciszy panującej między nimi. Jakby był kimś z jej własnej rodziny.

– Codziennie czekasz tu na tatę? – spytała.

Jade wzruszył ramionami

.– Zazwyczaj – odparł. – Tata powiedział, że jak urosnę, za rok, to będę mógł

z nim popłynąć. Na naszej wyspie jest nudno. Chcę trenować. Chcę nauczyć się walczyć – powiedział z nutą stanowczości w głosie.

Caitlin spojrzała na niego zdumiona tą nagłą siłą jego tonu.

– Dlaczego miałbyś chcieć to robić? – spytała.

– Ponieważ któregoś dnia zostanę potężnym wojownikiem – powiedział. I nie była to brawura. Oświadczył to z taką prostotą, jakby stwierdzał fakt. I Caitlin mu uwierzyła. Wyczuwała to, emanujące z każdej cząstki jego ciała. Był

dumnym, młodym dzieckiem, urodzonym wojownikiem. Roztaczał wokół siebie aurę pradawnego ducha, szlachetnej istoty.

– A co twój tata o tym myśli?

Jade wzruszył ramionami

– Chce, żebym poszedł do szkoły. Nienawidzę szkoły.

Oczy Jade'a spoczęły na szyi Caitlin i nagle rozszerzyły się.

– Jej! – wykrzyknął. – Jaki naszyjnik. Jest piękny. Dasz mi go?

Caitlin sięgnęła dłonią; zapomniała zupełnie, jak zwykle, że miała go na sobie. Była zdumiona, w jaki sposób podziałał na chłopca; czuła się niewdzięcznie, odmawiając, ale nie mogła go oddać.

Chociaż z drugiej strony, dlaczego nie? I to Jade'owi, ze wszystkich ludzi?

Odmówiłaby każdemu, kto by ją o to poprosił – ale w spojrzeniu chłopca zauważyła coś wyjątkowego. Z jakiegoś dziwnego powodu nagle wydało jej się słuszną rzeczą, aby podarować mu naszyjnik. Być może, w jakimś niewielkim stopniu, połączyłoby to ją z Calebem, spięło łańcuch w całość.

Ostrożnie zdjęła go i wręczyła chłopcu.

Kiedy sięgał po naszyjnik, jego oczy rozwarły się jeszcze szerzej.

– Naprawdę? – powiedział, najwyraźniej zdumiony, że się zgodziła.
– Tata zabiłby mnie, gdyby dowiedział się, że cię o to poprosiłem.
Mówi, że nie powinienem o nic nikogo prosić.

Caitlin uśmiechnęła się.

– Nic mu nie powiem.

Jade założył naszyjnik i od razu wyglądał w nim, jakby nosił go
zawsze. Był

zachwycony.

Odwrócił się w stronę wody i siedzieli dalej w ciszy, spoglądając w
dal.

Oboje obserwowali ciemniejące niebo.

W końcu, po chwili trwającej niemal wieczność, odwrócił się i
utkwiał w niej wzrok.

– Będziesz moją mamą? – spytał.

Caitlin była w szoku. Zaskoczył ją tak bardzo, że nie wiedziała, jak
zareagować. Zaniemówiła. Dlaczego miałby zadawać jej takie
pytanie? Czy dostrzegł coś w przyszłości? Lub przeszłości?

Kiedy otworzyła usta, by przemówić, nagle znad wody rozległ się
hałas.

– Tatusi! – wykrzyknął chłopiec, skacząc na nogi, niemal
wyskakując ze skóry z podekscytowania.

Caleb przybił swą gondolą do brzegu. Uwiązał ją i wyskoczył na
molo.

Caitlin również szybko skoczyła na nogi, zaskoczona jego nagłym
pojawieniem się.

Jade objął kurczowo nogę Caleba.

– Tatusiu, spotkałeś już Różę? – spytał.

Caleb spuścił wzrok na Różę, która polizała go po dłoni.

Położył drugą dłoń na głowie Jade'a i spojrzał na Caitlin.

Zawahał się.

– Jade, możesz dać nam chwilę? – poprosił, wciąż spoglądając na
Caitlin. –

Leć do domu do mamy. Zaraz przyjdę.

Jade pobiegł przez plac, niemal skacząc z podekscytowania.

– Chodź, Rózo! – wrzasnął.

Róża ruszyła za nim pędem. Caitlin była w szoku. Jeszcze nigdy Róża nie opuściła jej dla nikogo. Zasmuciła się, ale też i ucieszyła, że Róża znalazła kogoś, kogo równie mocno pokochała.

Caitlin stała naprzeciw Caleba, który wpatrywał się w nią z przejęciem.

Serce jej waliło. Zastanawiała się, co powie, nie mając pojęcia, co sama mogłaby mu powiedzieć.

Czy, w końcu, przypomniał ją sobie?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kyle schodził pospiesznie schodami w dół do weneckiego więzienia i kiedy dotarł do najniższego poziomu zauważył, że wyglądał on identycznie, jak w jego pamięci. Niski, sklepiony strop przypominający piwnice winne łączył z obu stron dziesiątki cel zamkniętych grubymi, żelaznymi kratami. Było tu głośno.

Setki rąk więźniów wrzeszczących na Kyle'a wystawały zza krat, kiedy przechodził obok.

Nie marnował czasu. Rozdzierał żelazne pręty gołymi rękoma. Żelazo ustępowało pod jego naporem, wyginając się ze skrzypieniem wystarczająco, by więźniowie mogli przecisnąć się na zewnątrz. Robił tak przy każdej celi, którą mijał, otwierając jedną po drugiej, aż po chwili korytarz zapełnił się hałaśliwymi więźniami, tak podekscytowanymi jak i zdumionymi. Spoglądali wszyscy na Kyle'a, najwidoczniej zastanawiając się, kim był oraz czym zasłużyli sobie na to szczęście. Byli rozentuzjasmowani, krzyczeli i wiwatowali w geście zwycięstwa.

Kyle uniósł dłoń, a oni zamilkli.

– Uwolniłem was wszystkich tej nocy – zaczął głośnym, władcym głosem –

abyście wypełnili misję. Ulice Wenecji należą do was. Będziecie gwałcić, plądrować, rabować i niszczyć, i spowodujecie tyle zamieszania, ile tylko potraficie. Uczyniłem wam wielką przysługę. Oczekuję, że i wy uczynicie jedną dla mnie. Czy ktokolwiek tutaj uważa inaczej?

Nastąpiła krótka, pełna oszołomienia cisza.

– Dlaczego myślisz, że możesz mówić nam, co mamy robić? – krzyknął

nagle jeden, szczególnie paskudnie wyglądający więzień, wielki, łysy z ogromną blizną na nosie, zbliżywszy się groźnie do Kyle'a.

Kyle skoczył na niego i jednym ciosem skrócił mężczyznę o głowę. Krew trysnęła wokół, a jego ciało upadło na ziemię.

Tłum więźniów wlepił w niego oczy z szokiem.

Nikt inny nie ośmielił się mu sprzeciwić.

– Więc ruszajcie! – wrzasnął Kyle.

Rozproszyli się z krzykiem, niczym myszy, odwrócili i popędzili w górę po schodach. Sądząc po ich rozradowanych wrzaskach, Kyle był pewien, że narobią bałaganu, na którym mu tak zależało.

Jednakże, jego zadanie nie było jeszcze skończone. Ruszył wzdłuż korytarza, potem w dół po kolejnych, niewielkich schodach.

Znalazł się w podziemiach więzienia, mroczniejszych, słabiej oświetlonych i z mniejszą ilością cel. Oraz tonących w głuchoj ciszy. Kilka pochodni jarzyło się

słabo. Podeszedł blisko do jednej z cel, zdjął pochodnię z muru, przytknął do żelaza i przyjrzał się uważnie: Tak jak przypuszczał, kraty nie zostały wykute z żelaza. Zrobiono je ze srebra.

Podniósł wysoko pochodnię i w jej świetle pojawiła się nagle twarz

–

groteskowe oblicze wampira z Lagunowego klanu, jednego z najmroczniejszych i najpaskudniejszych, jakie istniały. Miał ogromne kły wystające z ust, małe usta i oczy w całości nabiegłe czerwienią. Właściwie warczał, oddychając. Był

ohydny stworzeniem.

Wszędzie wokół Kyle'a odezwały się kroki powoli podchodzących do krat pozostałych stworów. Wszystkie warczały na niego.

Sięgnął do sakwy u pasa, wydobyl proszek i cofnął się, rzucając nim w kraty.

Zaczekał chwilę, po czym podeszedł, chwycił je rękoma i wyrwał ze ściany.

Wampiry wychodziły z celi powoli, jeden za drugim, jedne z najgorszych stworzeń, jakie Kyle kiedykolwiek spotkał w swoim życiu, gotowe dać upust długo tłumionym emocjom, siać spustoszenie gdzie popadnie.

– Za mną – powiedział Kyle.

Czuł, jak podążyły za nim. Nie potrzebowały wskazówek.
Rozrywanie na strzępy miały we krwi.

Kyle uśmiechnął się, kiedy wzniosły się w powietrze, ku nocnemu niebu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Caitlin spojrzała Calebowi w oczy. Kiedy tak stał, wyczuwała, jakby ją rozpoznawał; starał się bardzo przypomnieć cokolwiek.

– Dziwne – powiedział. – Śniłem o tobie wczorajszej nocy. Ledwie cię znam, a jednak, nie potrafiłem otrząsnąć się z myśli o tobie.

Serce Caitlin zabiło mocniej z nadzieją.

– Pamiętasz mnie choć trochę? – spytała.

– Jakoś... czuję, że tak – powiedział. – Lecz... po prostu nie mogę. Skąd się znamy?

Zawahała się, zastanawiając nad odpowiedzią. Czy wszystkie jej obecne słowa, wszystkie czyny, zgodnie z ostrzeżeniem Aideny, mogły wpłynąć na przyszłość? A co by było, gdyby powiedziała coś niewłaściwego?

Postanowiła po prostu powiedzieć mu prawdę. Nadeszła jej chwila. Teraz lub nigdy.

– Znamy się w przyszłości – powiedziała z mocno bijącym sercem.

Czy pomyśli, że oszalała?

Już wypowiadając, pożałowała swych słów. Zmartwiła się, że mówiąc to, stworzyła dziurę w czasie, powiedziała coś, o czym nie miał prawa się dowiedzieć, wpłynęła na rozwój wydarzeń w przyszłości.

Zmarszczył brew, wpatrując się w nią cały czas.

– Byliśmy kiedyś ze sobą – dodała. Nie potrafiła się powstrzymać. Było już za późno. – Lub, raczej, kiedyś *będziemy*. Wróciłam do przeszłości, by cię ocalić. Nie wiedziałam... nie wiedziałam, że będziesz już z kimś innym. Nie wiedziałam, że miałeś dziecko. Cóż, przynajmniej nie w tym stuleciu... Wybacz

– powiedziała, jękając się, czując się strasznie głupio. – Ja... nie chciałam się wtrącać. Nie miałam pojęcia. Miałam nadzieję, że będziesz pamiętał...

Myślałam... Miałam... nadzieję, że wszystko będzie inaczej. Zdaje sobie sprawę... Wiem, że to wszystko musi brzmieć idiotycznie.

Trzęsąc się cała, nagle poczuła się do głębi poruszona. Nie mogła już dłużej powstrzymać łez i odwróciła się szybko, by odejść.

Kiedy jednak to zrobiła, poczuła silną dłoń na ramieniu.

Caleb przytrzymał ją w miejscu. Wyczuła krew pulsującą mu szybko w dłoni.

Odwróciła się powoli. Kiedy spojrzała mu w oczy, po jej policzkach pociekły łzy.

– Przykro mi – powiedział. – Nigdy nie miałem zamiaru cię zranić.

Rzeczywiście czuję jakąś więź między nami. Naprawdę. Lecz nie wiem, czym jest. I... - powiedział i zawahał się – Jest mi bardzo przykro, ale nie potrafię przypomnieć sobie ciebie.

Caitlin skinęła powoli głową ze zrozumieniem. W tej jednej chwili uświadomiła sobie, że nie było już dla nich nadziei. Poczuła się głupio, że wróciła, że stała tu i wtrącała się w jego życie w ten sposób. Czowała się okropnie.

Jakaż była samolubna. Powinna po prostu przyjąć wydarzenia poprzedniej nocy jako rozstrzygnięcie tej sprawy. Dlaczego nie mogła po prostu ruszyć dalej?

Teraz zaś, w końcu pozbyła się wątpliwości. Mimo tego całego bólu, najwyraźniej nie znał jej wcale. Musiała zostawić go za sobą.

– Przepraszam – powiedziała, ścierając łzę, kiedy zwolnił uchwyt na jej ręce.

Odwróciła się, by odejść. Po czym, zanim ruszyła, stanęła z nim twarzą w twarz ostatni raz.

– Chcę tylko, żebyś wiedział, że cię kocham. I zawsze będę.

To powiedziawszy, pobiegła i skoczyła w powietrze. Jej skrzydła rozwinęły się, unosząc ją w stronę zachodzącego słońca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Stał i obserwował, jak Caitlin odchodzi i czuł się przytłoczony, dezorientowany. Najróżniejsze uczucia kłębiły się w nim, w miarę jak starał się pojąć wszystko, przypomnieć cokolwiek. Był pewien, że znał tę tajemniczą dziewczynę. Nie miał tylko pojęcia skąd.

Obserwując, jak odchodzi poczuł smutek, którego nie potrafił wytłumaczyć.

Nigdy wcześniej nie doświadczył niczego podobnego.

Jakaś częścią swojej świadomości chciał pobiec za nią, zawołać, by się zatrzymała. Lecz, gdyby posłuchała, nie wiedziałby, co jej powiedzieć. Przecież jej nie znał. I nie rozumiał swoich uczuć.

Być może tylko pograżał się w szaleństwie, pozwalał jakimś irracjonalnym emocjom, dziwnym przeczuciom przejąć nad sobą kontrolę i ulec im. Napomniął

sam siebie. Musiał pozostać silny. Musiał zachować się racjonalnie. Wszak nic z tego nie miało sensu. Nawet jej nie *znał*.

Kiedy jednak tak stał i ją obserwował, nie mógł wyzbyć się przeczucia, że pozwalał odejść jakiejś drogiej sobie osobie. Nagle jego uczucia zwyciężyły i był gotów ruszyć za nią.

Już miał popędzić, wznieść się w powietrze, kiedy nagle jeden z jego pobratymców z klanu zawołał go po imieniu, biegnąc w jego stronę.

– Słyszałeś? – zapytał z oczami szeroko otwartymi z rozgorączkowania. –

Co się dzieje w Wenecji? Więźniowie wydostali się na zewnątrz i rozdierają miasto na strzępy. Jeśli czegoś nie zrobimy, wszyscy ludzie zginą.

Caleb zmarszczył brwi w wyrazie zaniepokojenia.

– Ale jak to możliwe? Kto za tym stoi?

– Nie wiemy. Ale nie ma czasu do stracenia.

Mężczyzna pobiegł dalej, kierując się w stronę wody.

Caleb odwrócił się i zobaczył, jak z kościoła i sąsiadującego z nim klasztoru wysypywali się członkowie jego klanu i biegli w kierunku wody. Po drodze wzbijali się w powietrze wysoko pod niebo, rozprostowując skrzydła. Cały jego klan został wezwany.

Samuel, jego brat, podbiegł po chwili do niego. – Słyszałeś? – spytał natarczywie.

Caleb skinął głową, a Samuel wręczył mu jego laskę z kości słoniowej, samemu dzierżąc złotą rękawicę.

– Staniesz do boju u mego boku? – zapytał.

– Zawsze – odparł Caleb.

Kiedy szykowali się już do odlotu, podbiegła do nich Sera, w pełni gotowa do walki, mając na sobie gruby, obcisły i czarny strój,

odporny na niemal każdą broń oraz krótką włócznię w dłoni.
Wyglądała groźnie, jak zwykle przez bitwą.

Caleb zdenerwował się, widząc ją przy sobie.

– Ktoś musi zostać z Jadem – zrugął ją. – Nie powinien zostawać sam.

– Nie pozwolę ci walczyć beze mnie – powiedziała Sera. – Jade’owi nic nie grozi. Bitwa toczy się w Wenecji, nie tutaj. Nie mamy czego się obawiać. I nakazałam mu nie opuszczać kościoła.

– Nie podoba mi się to – powiedział Caleb.

– Mój bracie – wtrącił się Samuel – nie mamy czasu do stracenia.

Caleb spojrział na Serę po raz ostatni, jednak wiedział, że ona już postanowiła. Była najbardziej upartą osobą ze wszystkich, które znał.

– W porządku – powiedział. – Lećmy.

Z tymi słowy ich trójka odwróciła się i runęła w stronę wody. W kilka chwil byli już w powietrzu, odlatując w nadchodzącą noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kyle obserwował ze złośliwą satysfakcją, jak jego plan idealnie się spełniał.

Wszędzie w całej Wenecji panował niesamowity chaos. Żałośni ludzie uciekali, co tchu, podczas gdy setki uwolnionych więźniów terroryzowało ich bez litości.

Wreszcie ludzie przestali obnosić się ze swoją radością, porzucili głupie zabawy, muzykę, zdarli maski i zaczęli uciekać ile sił w nogach.

Daleko nie dotarli. Skazańcy demolowali wszystko na swej drodze, plądrowali, gwałcili i zabijali, podczas gdy uwolnione wampiry łaknęły krwi.

Zabijały ludzi na miejscu, pozbawiając ich głów lub rzucając się na nich i zatapiając kły w ich szyjach. Piły bez opamiętania, aż wkrótce place Wenecji zaczęły przypominać pola bitewne. Wszędzie leżały ciała, rozbite witryny, przewracane stoły...

A to dopiero był początek. Od wielu lat Kyle nie czuł takiego zadowolenia.

Czekał, przeczesując wzrokiem niebo. Usadowiwszy się na nabrzeżu, obserwował. Aż w końcu zauważył to, czego szukał.

Niebo pociemniało od nadlatujących licznie wampirów. Wiedział, że to klan Caleba. Kierowali się wprost do Wenecji. Tak łatwo dali się wmanewrować. Pospieszyli, by zdusić zamieszki, tak jak to przewidział, pozostawiając własną wyspę bez ochrony.

Kyle wyraźnie wyczuwał obecność Caitlin na tej wyspie. Teraz, wreszcie mógł

polecieć tam i ją zabić.

Kiedy zasłonili niebo niczym stado nietoperzy, a potem obniżyli lot i lądowali na brzegach Wenecji, Kyle dostrzegł swoją szansę. Uniósł się w powietrze, jedyny wampir lecący w odwrotnym kierunku, przez nikogo niezauważony skierował się w stronę wyspy Caleba.

Na myśl o tym, że znajdzie ją tam całkiem samą, pojmie ją lub nawet powoli zabije, pociekła mu ślinka.

Nareszcie, nadeszła chwila zapłaty.

*

Jade stał u brzegu wody i obserwował niebo. U jego boku siedziała lojalnie Róża, nie opuściwszy go ani na krok.

Jade wiedział, że nie powinien opuszczać kościoła, tak, jak przyrzekł to swojej mamie. Miał wyrzuty sumienia, że złamał dane słowo, ale po prostu *musiał* zobaczyć, co się działo, musiał zobaczyć bitwę. Takie potyczki nie zdarzały się często, a on wyskakiwał niemal ze skóry z podekscytowania.

Podbiegł do brzegu chwilę po tym, kiedy wszyscy odfrunęli. Patrzył, jak jego tata uniósł się pod niebo. Był taki z niego dumny i ze swego wuja Samuela, że jego serce niemal wyskoczyło z piersi.

Z drugiej strony czuł się zawiedziony. Zrobiłby wszystko, aby być tam teraz z innymi, frunąc u ich boku, dzierżąc własną broń i pomagając w bitwie. Miał

już przecież prawie dziesięć lat. Dlaczego nie traktowali go jeszcze jak dorosłego? Chciał dostać tylko jedną szansę. Wiedział, że gdyby był wśród nich, mógłby również się wykazać. Nie mógł doczekać się tego dnia.

Wiedział, że nie może wrócić do środka. Był zbyt podekscytowany. Miał

zamiar stać tam nawet przez całą noc, jeśli trzeba, i czekać, aż każdy z nich powróci na wyspę. Nigdzie indziej nie mógłby teraz przebywać.

W międzyczasie, ponieważ był jedyną osobą pozostałą na wyspie, wyobrażał

sobie, że jest jej wyłącznym obrońcą, samotnym żołnierzem pozostawionym na warcie, by strzec ich drogiego majątku. Tak, rozumiał, że to był jego święty obowiązek i kiedy tata, wuj i mama wrócą, będą z niego dumni. *Wszyscy powiedzą, s pójrzcie na Jade'a: stał na warcie nieustraszenie. Jest takim samym wielkim wojownikiem jak i my.*

Kiedy obserwował niebo, szukając najmniejszego choćby ruchu, nagle zobaczył w oddali samotną postać zmierzającą w jego kierunku. Serce Jade'a zabiło mocniej. Rozpoznał wampira nawet z takiej odległości, oraz to, że nie należał do jego klanu. Któż to mógł być? zaczął się zastanawiać. I dlaczego leciał w tę stronę?

Być może, Jade uświadomił to sobie z walącym sercem, nadchodziła właśnie chwila pierwszego sprawdzianu jego żołnierskich umiejętności. Spiał się i podniósł wysoko swoją włócznię. Sięgnął do pasa i uspokajając sam siebie, przesunął dłonią po ulubionej procy i niewielkiej sakiewce z kamieniami.

Spędził wiele dni na szukaniu najgładszych i najbardziej zaokrąglonych okazów przy brzegu. Wszystkie pasowały idealnie do procy, którą sam zbudował.

Spędził niezliczone popołudnia, ćwicząc, ciskając kamieniami w konary i różne cele w wodzie. Ostatnimi czasy zaczął nawet strzelać do ptaków i udało mu się kilka z nich zabić. Nikt nie traktował go poważnie, ale wiedział, że z tą bronią wykonaną według swojego pomysłu stał się siłą, z którą należało się liczyć.

Postać zbliżyła się do niego bardzo szybko, nurkując w powietrzu i lądując na brzegu zaledwie kilka kroków od niego.

Serce waliło mu mocno i zaschło mu w ustach, kiedy zobaczył, jak wielki był ten wampir: był naprawdę ogromny. Ubrany cały na czarno w jakiś rodzaj bitewnej zbroi, zwinął skrzydła, pokazując swoją muskulaturę. Był większy nawet od taty. Co gorsza, wyglądał też strasznie: połowę twarzy pokrywały blizny, jakby ktoś obdarł ją ze skóry.

Róża spięła się również i zaczęła warczeć.

Jade znowu sięgnął dłonią do pasa, do procy. Ale ręce mu się trzęsły i nie był

już taki pewny, czy to mu w czymś pomoże. Stojący przed nim mężczyzna wyglądał niczym wcielone zło.

Jade przełknął.

Mężczyzna podszedł kilka kroków do niego. Jade chciał się cofnąć, lecz zmusił się do pozostania na miejscu. Zamiast tego ze wszystkich sił starał się postępować jak dorosły, nie ustępując na krok, wypinając pierś i podnosząc brodę do góry. Przybrał najsroższą minę. Nigdy nie pozwoliłby sobie na jakąkolwiek oznakę tchórzostwa. Bez względu na to, z kim przychodziło mu się zmierzyć.

– Zatrzymaj się i wytłumacz swoje zamiary! – wykrzyknął, starając się użyć swego najgroźniejszego tonu. Niestety, głos jeszcze mu się nie zmienił – nadal był zbyt cienki, a do tego załamywał się nieco.

Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem i podszedł o kolejne dwa kroki.

– Ostrzegam cię – wrzasnął Jade – Jestem synem Caleba! A to nasza wyspa!

Rób, co ci każe!

Mężczyzna zatrzymał się. Tym razem wyglądał rzeczywiście na zaskoczonego.

– Caleba, mówisz? – zapytał. Jego głos był mroczny i niski, brzmiąc niemal jak pomruk.

Jade pocieszył się tym nieco. Wyglądało na to, że imię jego ojca sprawiło na tym mężczyźnie wrażenie.

– Dokładnie – powiedział rozzuchwalony Jade . – I nikt nie ląduje tu bez pozwolenia. Zatem opuść to miejsce natychmiast!

Jade sięgnął do procy kolejny raz, ale jego dłonie trzęsły się i trudno było mu wyczuć dokładnie jej położenie.

Mężczyzna skwitował to uśmiechem.

– Bardzo ciekawe – powiedział.

Rozejrzał się dokoła wyspy, jakby węszył w powietrzu, jakby próbował coś wyczuć. Po chwili spojrzał, jakby zawiedziony.

– Twój ojciec miał gościa. Kobietę o imieniu Caitlin. Gdzie ona jest? –

zapytał.

– Odleciała, zanim wszyscy inni to zrobili – powiedział Jade. – Ale dała mi ten naszyjnik. Jest teraz mój. Powiedziała, że mogę go zatrzymać. I jeśli w tej chwili nie odleczysz, mój ojciec pojawi się tu

w oka mgnieniu – powiedział, używając najstraszniejszej groźby, jaka przysłała mu do głowy.

Mężczyzna spojrział na niego gniewnie z wyraźnym rozczarowaniem.

– Dokąd poleciała? – zażądał.

– Nie mam pojęcia – odparł Jade. – A nawet gdybym miał, nie powiedziałbym ci.

Mężczyzna uśmiechnął się ponownie. Tym razem jednak jego uśmiech był

bardziej złowieszczy.

– Jesteś bezczelnym, małym chłopczykiem – powiedział. – Dokładnie, jak twój ojciec. Zapłacisz za to, że stanąłeś mi na drodze. Twój ojciec przysporzył

mi wielu zmartwień przez te wszystkie wieki. Przyjdzie czas, że sam go zabiję, swoimi własnymi rękoma. W międzyczasie jednak, wystarczy mi, że zabiję ciebie. Niech to będzie dla niego nauczka.

To powiedziawszy, mężczyzna zaczął zbliżać się do Jade'a.

Oczy chłopca rozwarły się szeroko i serce zaczęło dudnić w piersiach.

Naprawdę nadeszła ta chwila: pora bitwy. Miał to, czego tak pragnął.

Teraz jednak, kiedy była tak blisko, jego ręce trzęsły się tak bardzo, że ledwo był w stanie nad nimi zapanować. Z trudem zmusił się, by jasno myśleć, przypomnieć sobie. O procy. I kamieniach. Znieruchomiał, nie będąc w stanie poruszyć się ani o krok.

Chciał coś zrobić, jednak, kiedy mężczyzna podszedł bliżej, w jakiejś mierze był zbyt przerażony, aby zaatakować.

Róża natomiast, jakby wyczuła jego niezdolność podjęcia jakiegokolwiek działania, nagle zaczęła warczeć i rzuciła się wprost na mężczyznę.

Skoczyła w powietrze, wprost w kierunku jego gardła. Stało się to tak szybko, że całkowicie go zaskoczyło. Róża zacisnęła mu szczęki mocno na gardle, sprawiwszy, że zatoczył się do tyłu o kilka kroków, zszokowany.

Chwycił Różę i spróbował odciągnąć od siebie, ale nie dał rady. Zatopiła zęby zbyt głęboko. Połała się krew, a ona wciąż trzymała go za gardło i nie ustępowała.

W końcu mężczyzna chwycił ją mocniej i zrzucił z siebie. Grzmotnął nią o kamienne podłoże z taką siłą, że zaskowyczała, pobawiona tchu. Potem, popatrzawszy na nią gniewnie, podniósł nogę. Jade wiedział, że mężczyzna zamierzał zmiażdżyć jej głowę.

Ruszył z miejsca. Jednym, szybkim ruchem sięgnął do pasa, wydobył procę, nałożył kamień i, podobnie jak milion razy wcześniej, odciągnął dłoń, wymierzył dokładnie w oko mężczyzny i cisnął ze wszystkich sił.

Ku jego zdziwieniu, zadziałało. Kamień poleciał z prędkością błyskawicy i uderzył mężczyznę znajdującego się już naprawdę blisko w jedno oko, wyłupując je z czaszki.

Mężczyzna chwycił się za pusty oczodół i zaczął wrzeszczeć. Krzyczał

preraźliwie, a krew lała mu się z głowy. Jade ocalił życie Róży.

Teraz jednak mężczyzna zwrócił się w jego stronę i, spojrzawszy na niego, zawarczał dźwiękiem z samych piekieł. Jade sięgnął po kolejny kamień, jednak tym razem nie był wystarczająco szybki. Mężczyzna skoczył na niego błyskawicznie, szybciej niż Jade mógł się spodziewać.

Ostatnią rzeczą, którą Jade zobaczył była groteskowa twarz mężczyzny wykrzywiona szalem i wściekłością, zbliżająca się wprost do niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Caleb wraz z całym swoim klanem walczył na ulicach Wenecji, pogrążony w zajadłej walce. Z Samuelem po jednej stronie i Serą po drugiej, zadawał ciosy laską z kości słoniowej na lewo i prawo, zabijając skazańców gdzie popadnie. W

pewnej chwili zostali zaatakowani przez przewyższających ich liczebnie skazańców, tuzin oszalałych mężczyzn, ale że byli to zwykli ludzie, Caleb i reszta zwyciężyli.

Jednak kiedy tuzin wampirów natarł na nich nagle, Caleb był zaskoczony.

Rozpoznał ich – pochodzili z klanu Lagunowego. Zatwardziali kryminaliści, którzy według tego, co wiedział, gnili w podziemiach więzienia. Ich obecność natychmiast zaniepokoiła go i zwróciła uwagę, że przecież ktoś ich musiał

wypuścić, że ktoś stał za tym całym chaosem. Że to wszystko było zamierzonym działaniem.

Nie miał jednak zbyt dużo czasu, aby teraz się nad tym zastanawiać, gdyż wkrótce walka rozgorzała na nowo.

Pobratymcy Caleba zostali rozdzieleni. Jeden wampir skoczył ku jego twarzy, lecz ten przebił mu gardło. Inny chwycił go za ramię, lecz Caleb zdążył

odwrócić się i zdzielić go głową. Jeszcze inny zaatakował go od tyłu, ale Caleb uderzył swoją laską w tył, przeszywając ostrym końcem gardziel napastnika na wylot.

Kolejne dwa wampiry zaatakowały go od przodu. Caleb wyciągnął laskę z szyi martwego przeciwnika i zamachnął się nią w dół. Trzasnął ich obydwu po głowach i powalił na ziemię.

Złapał oddech i rozejrzał się. Zauważył, że brat radził sobie równie dobrze; Sera jednak, trzymając w ręce swój krótki miecz, została zaatakowana od tyłu.

Dopadł ich i zmiotł z niej atakującego wampira, powalając go na ziemię.

Wampir sięgnął swymi długimi pazurami w górę, próbując wydlubać Calebowi oczy. Caleb jednak chwycił je i przekreślił, łamiąc wampirowi nadgarstek. Następnie przeturlał się na bok, chwycił swoją włócznię i wbił ją w serce wampira. Ten umarł z przeraźliwym krzykiem.

Po kilkunastu minutach zacieklej walki, w końcu szala zwycięstwa przechyliła się na ich stronę. Tych kilku skazańców, którzy pozostali przy życiu, rozbiegło się po ulicach Wenecji. Reszta leżała martwa na placu. Podobnie jak wszystkie wampiry.

Caleb zlustrował swoich klanowych pobratymców i zauważył, że za wyjątkiem kilku posiniaczonych i poobijanych, wszyscy pozostali przy życiu.

Poczuł dłoń na ramieniu i odwrócił się.

Samuel wskazał na niebo.

– Dym – powiedział. – Z naszej wyspy.

Caleb i Sera wymienili zaniepokojone spojrzenia. Wzięli rozbieg i skoczyli w powietrze, a wraz z nimi pozostali członkowie klanu.

Caleb czuł, jak serce wali mu w piersiach. Był bardziej zaniepokojony, niż w którejkolwiek stoczonej przez siebie bitwie. Płonęła jego wyspa. A jego syn był

na niej całkiem sam.

*

Wylądował na wyspie, wraz ze wszystkimi członkami klanu. Zaczął szybko ją penetrować poszukując Jade'a.

– Jade! – krzyknął.

Biegał tu i tam, podczas gdy Sera pobiegła do kościoła, a Samuel do klasztoru. Sprawdzili wszystkie miejsca, zaglądając dosłownie wszędzie i zataczając coraz szersze kręgi.

Wszędzie buchał ogień, rozświetlając noc. Caleb był świadom, że ktoś ich zaatakował. Zdał sobie sprawę, że to, co miało miejsce w Wenecji, było misternie zaplanowaną przynętą; że prawdziwym celem była jego wyspa. Że ich podstępnie oszukano.

Przeczesał całe nabrzeże, zaglądając wszędzie – i w końcu, zatrzymał się.

A jego serce stanęło wraz z nim.

Oto przed sobą zobaczył leżącą na ziemi Różę.

Martwą.

Wiedział, że Róża nigdy, za żadne skarby, nie opuściłaby Jade'a. Chyba, że coś stało się i jemu.

Zaczął ponownie szukać i wtem, w mroku zauważył kontury ciała. Małego chłopca, leżącego na kamieniu.

Poczuł, jak cały świat wali się wokół niego. Poczuł, że sam w środku umiera.

Nie był w stanie się ruszyć, nie mógł oddychać, ani myśleć. Poczuł w sobie całkowitą pustkę, krzyczał sam do siebie, że to nie może być Jade.

Jednak, kiedy podszedł bliżej, wiedział, że to nie mógł być nikt inny.

Uklęknął przy ciele i powoli je odwrócił.

Odchylił się i zawył przeraźliwie głosem zwierzęcia, które nigdy już nie odżyje. Jego zawodzenie wypełniło noc, zatrzymało cały klan w miejscu i wzniosło się do samego nieba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Caitlin szybowała po niebie mieniącym się milionami barw zachodzącego słońca.

Pożegnawszy Caleba z rozdartym sercem, wzniosła się w powietrze i ani na chwilę nie przystała. Łkała godzinami, teraz jednak łyży

obeschły, zakrzepły na jej policzkach. Powoli formowało się w niej nowe, żelazne postanowienie. Jak zwykle w całym swoim życiu, znów była sama. Nigdy nie było jej dane poznać wygod i bezpieczeństwa związanego z posiadaniem ojca, brata, czy też chłopaka.

Chciała pożegnać się z Polly, Aidenem i pozostałymi. Ale nie potrafiła się na to zdobyć. Czuła, że musi pozostawić Wenecję możliwie najdalej za sobą. Nie mogła znieść myśli o przebywaniu gdziekolwiek w pobliżu Caleba, skoro on nawet nie potrafił sobie jej przypomnieć. Za bardzo ją to bolało.

Wiedziała, że musi dotrzeć do Florencji – wiedziała o tym od pierwszej chwili, kiedy się tu zjawiała – i mimo, że nie skierowała się ku jakiemuś konkretnemu miejscu, to właśnie w tę stronę zmierzała. Na południe. Setki mil od Wenecji.

Po wielu godzinach, kiedy przestała płakać, zadała sobie pytanie, gdzie tak dokładnie leciała – i właśnie wtedy uświadomiła sobie, że rzeczywiście była to Florencja. Czuła, że postępowała właściwie. Podążyła za sercem i doprowadziło to do miłosnego zawodu. Teraz musiała wypełnić misję.

Żałowała, że nie uczyniła tego wcześniej. Była samolubna. Najwyraźniej była kimś ważnym i mogła przysłużyć się jakiejś wielkiej sprawie. A im więcej o tym myślała, tym bardziej pomyślała, by odszukać ojca budził w niej nową determinację. Odnalezienie ojca było czymś, czego zawsze chciała, a jeśli podróż do Florencji miała dać jej odpowiedź, nie powinna się nawet wahać.

Jedyną osobą w Wenecji, którą naprawdę było jej żal zostawiać tak bez pożegnania, był Blake. Teraz, kiedy Caleb był najwyraźniej zajęty, coraz częściej rozmyślała o nocnym spotkaniu z Blakiem. O wspólnym tańcu.

Przejażdżce gondolą. Połączyło ich coś prawdziwego. A ona to odrzuciła.

Prawdopodobnie nigdy jej tego nie wybaczy. Żałowała, iż nie miała okazji wszystkiego mu wyjaśnić, pożegnać się we właściwy sposób. Jednak w obecnym stanie ducha nie mogła zaufać sobie i z nim porozmawiać.

Partnerzy byli dla niej zbyt trudni, zbyt zagmatwani. Zawładnęli jej uczuciami, sprawiali, że z trudem przychodziło jej jasno myśleć. Zawsze jakoś ją

rozpraszali. A przecież miała misję do spełnienia i musiała się skupić. Bycie samą ułatwiało to tylko.

Czuła również smutek z powodu pozostawienia Róży, jednak jeszcze przed wyruszeniem w drogę wyczuła, jak silna więź połączyła ją z Jadem. Była w dobrych rękach. Ta dwójka była najwyraźniej sobie przeznaczona. Przynajmniej, w jakimś niewielkim stopniu, połączyło ją to również z Calebem.

Pokonała pasmo górskie i kiedy zniżyła lot, zauważyła w oddali przed sobą zdumiewający widok: ogromną, rozległą Florencję.

Zanurkowała jeszcze niżej i zaczęła krążyć nad miastem. Było wspaniałe, niepodobne do żadnych, które już widziała. Położoną w dolinie, pośród niewielkiego pasma górskiego, Florencję otaczały rzeki, nad którymi pięły się małe, piękne, łukiem zwieńczone mosty. W powietrzu błyszczały ostatnie promienie zachodzącego słońca, wystarczająco jasne, by Caitlin uraczyła się wspaniałym widokiem z lotu ptaka.

Wszędzie widniały czerwone, kryte gontem dachy, które opadały łagodnie, sprawiając wrażenie, że miasto lśniło na czerwono i pomarańczowo. Budynki były niskie. Większość z nich miała zaledwie kilka kondygnacji, a linia horyzontu usiana była niezliczoną ilością kościelnych iglic. Niektóre świątynie miały kopuły, inne zaś kwadratowe wieże. Najokazalszy z kościołów górował

nad całą okolicą. Jego masywna, pomarańczowa kopuła wydawała się wyrastać wprost ze środka miasta.

Kiedy podleciała bliżej, zauważyła ogromne rezydencje i pałace górujące nad wszystkimi budynkami wokół nich. Między nimi, co kilka ulic, znajdowały się otwarte place. Zdążyła się już zorientować, że to miasto nawet w połowie nie było tak zatłoczone jak Wenecja. Na szczęście było tu znacznie więcej miejsc, w których można było swobodnie odetchnąć.

Okrzyżowała miasto po raz trzeci, chłonąc każdy szczegół. Architektura była piękna, taka czysta i antyczna. Na wszystkich placach stały posągi, a ludzie przechadzali się niespiesznie, spokojnie, inni jeździli konno. Rzeki opływające miasto lśniły na czerwono od niebiańskiej łuny, a ludzie przechodzili beztrząsco po licznych mostkach.

Caitlin nie miała pojęcia, gdzie rozpocząć poszukiwania. Nigdy nie była we Florencji, a miasto było naprawdę rozległe. Szybując, miała

nadzieję, że odezwie się w niej jakieś przeczucie, jakaś intuicja, być może przesłanie od ojca.

Ale nic nie nadeszło.

Postanowiła wejść do miasta z zewnątrz, doświadczyć pierwszego wrażenia.

Sądziła też, że postąpi mądrzej nie lądując ot tak w mieście, żeby jej nie wykryto.

Zmierzchało, kiedy przeleciała nad rzeką i wylądowała po drugiej stronie w lesie.

Poszła zakurzoną leśną ścieżką w kierunku brzegu rzeki. Natychmiast odczuła potrzebę znalezienia schronienia i pożywienia. Była głodna. Ale nie chciała jeść. Łaknęła krwi. Pobyt w samym środku lasu wzbudził w niej apetyt.

Wyczuła w pobliżu jelenia.

Usłyszała szelest gałęzi. Odwróciła się i zobaczyła rodzinę jeleni. Stały najwyżej trzydzieści stóp dalej i wpatrywały się w nią.

Ruszyła z miejsca, wybrawszy jednego i puściła się za nim w pogoń.

Uskakiwał raz w lewo, raz w prawo, a Caitlin wciąż była na jego tropie.

Przypomniała sobie chwile spędzone z Calebem w Salem, kiedy uczył ją polować.

Był świetnym nauczycielem: chwilę później była już w powietrzu, skacząc na niewielkiego jelonka i zatapiając kły w jego szyi. Trafiła idealnie. Jelonek padł na ziemię z Caitlin na sobie. Przez kilka sekund wierzgał jeszcze, ale w miarę jak Caitlin wysysała krew z jego ciała, przestał.

Czuła, jak wraz z krwią powoli wracają życiodajne siły.

Wtem usłyszała za sobą trzask – głośny i wyraźny.

Natychmiast rozpoznała w nim szczęk strzelby.

Znieruchomiała, po czym odwróciła się powoli.

Nad sobą ujrziała wytwornie ubranego myśliwego, który mierzył do niej ze swej broni.

– Ani drgnij – powiedział groźnie.

Caitlin usłyszała kolejny szelest i zobaczyła, że myśliwemu towarzyszyła grupa około trzydziestu ludzi. Celowali do niej z kusz.

Została otoczona ze wszystkich stron.

Nie wiedziała, co robić. Mogła zabić ich z łatwością, lecz nie chciała robić im krzywdy. Nie chciała spędzić reszty swego czasu w tym miejscu na uciekaniu, przegnana z miasta, zanim znajdzie to, czego tak potrzebuje.

Powoli odwróciła się, unosząc rękę.

– Wstawaj – powiedział. – Na nogi.

Wstała powoli z wysoko uniesionymi rękoma, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Myśliwi stojący za mężczyzną zdawali się ledwie powstrzymywać od oddania strzału. Strzały i kule nie zabiłyby jej, ale z pewnością przysporzyły bólu.

– Nie chcę was skrzywdzić – powiedziała.

– Wiemy, czym jesteś – burknął. – Wampirem. Twój rodzaj sprowadza jedynie zło. Dopiero co wczoraj zabiłem jednego z was. Najwidoczniej, nie dość.

Mężczyzna zwolnił mechanizm strzelby, uniósł ją i wycelował dokładnie w głowę Caitlin.

Uświadomiła sobie, że miał zamiar strzelić.

Nagle zaszleściło w lesie i cała grupa odwróciła się, by to sprawdzić. Z

nieba spadł wampir, lądując za całą grupą.

Caitlin zauważyła zaszokowana, że był to Blake.

Wystarczył jej ten moment odwrócenia uwagi. Zanim zdolali odwrócić się w jej stronę, ruszyła z miejsca. Chwyciła strzelbę łowcy i wyrwała mu ją z rąk w momencie, kiedy broń wypaliła. Zdołała jednak poderwać ją wystarczająco wysoko, by kula minęła jej głowę o cal.

Wyszarpnęła mu broń z rąk, zamachnęła się nią i wyrznęła go kolbą w szczękę, powalając na ziemię.

Blake również ruszył do boju, nokautując trójkę mężczyzn jednym uderzeniem.

Pozostali łucznicy odwrócili się i wystrzelili w Caitlin, jednak ona była od nich szybsza. Zdażyła unieść się już w powietrze i spaść na nich z całą siłą i prędkością, kopiąc wszystkich w twarz. Wywijała kolbą na oślep, powalając kilku kolejnych. Łatwiej byłoby ich zabić, ale nie chciała tego robić.

Blake również pogрузyl się w bitewnym szale, zadając ciosy, kopiąc, uderzając łokciem i pozbawiając wszystkich przytomności.

Z całej grupy tylko jednemu człowiekowi udało się oddać strzał.

Bełt przebił

ramię Blake'a i ten wydał z siebie krzyk.

Caitlin odwróciła się na pięcie, zlokalizowała myśliwego i kopnęła go z taką siłą, obiema stopami na raz w klatkę piersiową, że poleciał w tył z ogromną prędkością w kierunku drzewa. Miał pecha, gdyż trafił na jakąś wystającą, ostrą gałąź, która przebiła mu gardło.

Zawisnął martwy na drzewie.

Wszyscy pozostali leżeli ścięci z nóg, pozbawieni przytomności, na ziemi.

Caitlin zwróciła się w stronę Blake'a, podbiegła do niego, czując się odpowiedzialną za jego ranę. Stał, obejmując strzałę nadal tkwiącą w ramieniu.

– Przełam ją – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Caitlin zawahała się, po czym złamała strzałę. Krzyknął, kiedy to zrobiła.

– A teraz wyciągnij – powiedział.

– Spojrzała na niego niepewnie, ale on skinął głową i zacisnął szczęki.

Jednym, mocnym ruchem pociągnęła strzałę ze wszystkich sił. Blake wrzasnął, kiedy drzewce przeszło przez jego ciało. Krew poląła się i Caitlin zatamowała ją dłońmi.

Blake sięgnął po swoją koszulę, oddarł skrawek materiału zębami i podał

Caitlin. Wzięła go i owinęła ciasno wokół rany.

Krwawienie wkrótce ustało.

Blake schylił się, chwycił grot strzały i podniósł, by mu się przyjrzeć w księżycowej poświacie.

– Tak myślałem – powiedział. – Srebrny. To nie byli zwykli łowcy. Polowali na *wampiry*. Szukali szczególnie takich, jak my.

Caitlin spojrzała na grot strzały i stwierdziła, że mówił prawdę. Spojrzała na jego ranę z zaskokiem.

– W porządku? – spytała.

Skinał głową, lecz niezbyt przekonująco.

– Wynośmy się stąd – dodał.

*

Stała przy Blake'u na kamiennym tarasie, opierając się o bogato zdobiony, marmurowy wykusz muru. Będąc wysoko na wzgórzu, spoglądała na las, rzekę i miejską zabudowę Florencji. W jej głowie wciąż huczało od natłoku myśli, wciąż starała się pojąć, jak tu dotarła, jaki obrót przybrały ostatnie wydarzenia.

Nigdy nie spodziewała się, że ludzie otoczą ją tak szybko, i jeszcze do tego z bronią, która mogła ranić wampiry. Nie słyszała nigdy o łowcach wampirów i głupio postąpiła, aż tak zmniejszając czujność. Zbyt wiele uwagi skupiła na Florencji. Była nią zafascynowana – i zbyt głodna, zbyt skupiona na zaspokojeniu głodu. Popełniła błąd.

Bogu dzięki pojawił się Blake. Zaskoczył ją swoją obecnością w tamtym miejscu. Sądziła, że o niej zapomniał, a jeżeli w ogóle o niej myślał, to tylko ze złością. Przecież zostawiła go tak nagle, kiedy on był dla niej taki miły.

Spotkawszy ją ponownie, zaprowadził Caitlin przez las na wzniesienie, do tej niewiarygodnej rezydencji. Była, jak to wyjaśnił, pałacem. Ulokowana dumnie, wysoko na wzgórzu, posiadała szerokie, marmurowe schody i zdobioną marmurową balustradę ciągnącą się wzdłuż nich w górę, aż po ogromny kamienny taras. Wszystko to prowadziło do wspaniałego, marmurowego domu z ogromnymi, dębowymi drzwiami i cudownymi, strzelistymi oknami po każdej stronie. Blake wprowadził ją do środka i wyjaśnił, że był to jeden z jego wielu domów. Był wspaniały, godny samego króla. Z pewnością był lepszą opcją niż spędzenie nocy w lesie.

Kiedy już się pozbierała i pomogła opatrzyć jego ranę, wyszła na taras odetchnąć świeżym powietrzem i przemyśleć wszystko. Blake wyszedł za nią i stał teraz u jej boku.

Nie zamienili słowa, wciąż będąc pod wpływem szoku spowodowanego walką. Blake wyglądał, jakby cierpiał od rany zadanej strzałą i Caitlin czuła się z

tego powodu źle. Była do głębi wzruszona, że przybył tu za nią i ją ocalił. Kto wie, co mogłoby się stać, gdyby nie on.

Stali w ciepłym, wieczornym powietrzu, oboje gdzieś zapatrzeni, oboje pogrążeni w myślach.

Cisza zrobiła się niezręczna i Caitlin zaczęła się denerwować. Czują, jak serce zaczyna mocniej bić. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Chciała mu podziękować, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

– Przybyłeś tutaj tylko dla mnie? – spytała cicho w letnim mroku.

Odczekał kilka chwil, po czym skinął głową.

– Dlaczego? – spytała.

– Nie potrafiłem o tobie zapomnieć – odparł.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz.

– Naszego tańca, Naszej przejażdżki łodzią. Sądziłem, że to, co nas połączyło, było prawdziwe.

Spojrzał na nią.

– Było?

Od wzajemniła spojrzenie, patrząc w jego płonące intensywnie oczy i ujrawszy głębię jego uczuć.

– Tak – odpowiedziała.

Rysy jego twarzy zdały się złagodnieć.

– To dlaczego mnie opuściłaś? – spytał.

Caitlin westchnęła, próbując wymyślić jakąś odpowiedź.

W końcu odpowiedziała jedynie – Przykro mi.

– Zawsze uciekasz, kiedy jesteś kimś zainteresowana? – spytał z niewielkim uśmiechem na ustach.

Od wzajemniła jego uśmiech

– Teraz, kiedy o tym pomyślę, to wydaje się, że tak.

– To zły nawyk – powiedział, a jego uśmiech tylko się pogłębił.

Odwrócił się i spojrzał na miasto, ona zaś zaczęła przyglądać się jemu. Nadal był tajemniczy. Był małomówny i miał taki łagodny głos. Wyczuwała emanującą od niego, płonącą wręcz moc, która ją przerażała. Sprawiał wrażenie człowieka żyjącego w ciągłym napięciu. Wydawał się beznadziejnym romantykiem, kimś wiecznie uwikłanym w miłosne romanse.

– A ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś tamtej nocy – ciągnął dalej Blake

– ten z dzieckiem. Skąd go znasz?

Caitlin była w rozterce. Nie miała pojęcia, jak to wyjaśnić.

– To skomplikowane – powiedziała w końcu.

– Żywisz do niego jakieś uczucia? – spytał.

Zawahała się.

– Tak – powiedziała zgodnie z prawdą.

I zauważyła grymas rozczarowania na twarzy Blake’a.

– Ale – dodała – to już przeszłość.

Spojrzał na nią zdeorientowany.

– Chciałam powiedzieć... że już nie jesteśmy razem.

Kiedy wymówiła te słowa na głos, poczuła ból – ale nawet wówczas wiedziała, że były prawdziwe.

Blake spojrzał na nią ponownie.

– Podążyłem za tobą do Florencji z nadzieją, że to powiesz – powiedział. –

Od chwili, w której cię spotkałem, nie mogłem przestać o tobie myśleć. Zeszłej nocy odwiedziłem twoją wyspę. Aiden powiedział mi, że odleciałaś do Florencji. Nie wiem, dlaczego akurat tutaj jesteś, ale wyczuwam, że czegoś szukasz. Chcę ci pomóc. Chcę być z tobą.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z nią, po czym podszedł o krok.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, na jego gładką, nieskazitelną skórę i poczuła się poruszona jego obecnością. Nie była w stanie mu się oprzeć.

Spojrzał na nią, podniósł rękę i pogłaskał jej twarz grzbietem dłoni. Zamknęła oczy. Przypomniała sobie tę noc na Pollepel, to samo uczucie, które nią zawiądnęło. Teraz wróciło, ale znacznie silniejsze.

I kiedy nachylił się, a jego usta dotknęły jej warg, poczuła, jak jej serce ponownie wzbiera tym uczuciem. Wkrótce całowała go, napierając na jego usta równie mocno.

Uświadomiła sobie, że jej serce topnieje. Wiedziała, że coś budzi się w niej z powrotem do życia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Caitlin obudziło światło poranka wlewające się przez wielkie, strzeliste okno. Sięgnęła do nocnego stolika, wkropiła po dwie krople do każdego oka, zamknęła je i odczekała, aż minie piekący ból.

Otworzyła oczy i rozejrzała się. Zauważyła, że leży w wielkim łożu godnym samego króla, w ogromnej sypialni z pnącym się wysoko stropem, płaskorzeźbami zdobiącymi ściany i marmurową posadzką, na której spoczywał

ogromny chodnik z owczej wełny. Leżała na najprzedniejszych jedwabiach, przykryta wspaniałymi płótnami i kocami, jej głowa zaś spoczywała na niesamowicie miękkiej poduszce. Nigdy jeszcze nie była w tak luksusowym wnętrzu.

A kiedy się obejrzała, zauważyła, że nie jest sama.

Obok niej leżał Blake. I oboje byli rozebrani.

Wróciła myślami do poprzedniego wieczoru. Po ich pocałunku weszli do środka i spędzili całą noc ze sobą. Całą magiczną noc. Blake wypełniał jej umysł. W jakiejś części oczywiście i Caleb był tam obecny.

Ta część jednak powoli zaczęła zanikać, zmniejszać się coraz bardziej. Leżąc przy Blake'u, czując jego siłę, Caitlin wiedziała, że była dokładnie tam, gdzie powinna być w tej chwili.

Leżała i przyglądała się jego twarzy. Spał jeszcze błogim snem. Zastanawiała się, jak daleko sięgała ich znajomość, ile czasu wstecz.

W końcu wygrzebała się z łoża i przeszła przez pokój w kierunku wielkiego okna. Chłód marmurowej posadzki przyjemnie łaskotał jej białe stopy. Podniosła wzrok: okno miało około piętnaście stóp wysokości i koronkowe zasłony powiewające na wietrze.

Wychyliła się i spojrzała na świt wstający nad Florencją. Rzeka błyszczała, żarząc się delikatnie. Ptaki ćwierkały na drzewach.

Powiała silna bryza, chłodząc całe jej ciało w ten ciepły, letni poranek i rozwiewając zasłony. Skłębily się wokół niej, a ona czuła, jak wiatr pieści jej twarz.

Spojrzała w dal, na Florencję, i po raz pierwszy od długiego czasu z niecierpliwością pomyślała o nadchodzącym dniu. Nie mogła się doczekać, by zwiedzić to miasto, wznowić poszukiwania ojca, Tarczy, zwłaszcza mając Blake'a u swego boku.

Nareszcie nie była sama.

*

Caitlin i Blake trzymali się za ręce, kiedy wyszli z pałacu i zaczęli schodzić po niekończących się marmurowych stopniach. Czuła się, jak nowo narodzona.

Wykapała się w wannie i przebrała w nowy strój, który Blake jej podarował. W

zasadzie to dał jej kilka. Wybrała prosty, czarny, niezbyt obcisły, taki, który był

elegancki, ale również wydawał się pasować do obecnych czasów. Składał się z długich, czarnych spodni i lekkiej koszuli z długimi rękawami, całej czarnej, utkanej z jedwabnego materiału. Do pary były sandały z odkrytymi palcami. Tak bardzo pragnęła zobaczyć w lustrze, jak wygląda.

Przez krótką chwilę zastanawiała się, skąd Blake miał te wszystkie rzeczy, ale nie chciała zniszczyć nastroju swoimi pytaniami. Jakby nie było, pomyślała, żył już od wielu lat i miał oczywiście prawo wchodzić w różne związki. Jej to nie przeszkadzało i była wdzięczna za ubrania.

W miarę, jak szli coraz dalej w stronę rzeki, ulica rozszerzała się i zaludniała. Co chwilę dołączał do nich jakiś człowiek z koniem. Wmieszali się w tłum, wciąż trzymając za ręce. Spojrzała na niego i z zadowoleniem stwierdziła, że jego rana niemal zupełnie się zabiłiła.

Przeszli mostem nad rzeką Arno.

– Ponte Vecchio – powiedział Blake.

Caitlin obejrzała się na niego. Wyglądał na szczęśliwego i zadowolonego; był w swoim żywiole.

– Jest znany jako „złoty most”. Widzisz tych kupców? Te wszystkie stoliki?

To tam sprzedają złoto. Najlepsze w całej Europie. Most to nie tylko wejście do Florencji, ale też miejsce, do którego przybywa się po kosztowności.

Kiedy przechodzili przez most, z którego roztaczał się niewiarygodny widok na rzekę i miasto, Caitlin przyjrzała się bliżej: niewielkie stoliki stały wzdłuż całego mostu, a dokoła nich krzatali się kupcy i klienci, wszyscy skupieni na przeglądaniu różnorodnych kosztowności.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do niewielkiego stoiska.

Spuściła wzrok i ze zdumieniem spojrzała na złote bransolety, naszyjniki, pierścienie, medaliony... Wszystkie lśniły w słońcu.

Dotknęła palcem jakiejś bransolety.

– Przymierz – powiedział z uśmiechem.

Potrząsnęła głową i ją odłożyła. – Tylko się przyglądałam. Nie mam pieniędzy.

Podniósł ją do góry.

– Proszę – powiedział błagalnym tonem. – Pieniądze nie stanowią problemu dla naszego gatunku. Mam ich wystarczająco, by przeżyć tysiąc żywotów, i

jeszcze kolejny tysiąc.

Caitlin zawahała się.

Blake sięgnął ku niej dłonią i umieścił bransoletkę na jej nadgarstku. Była cienka i elegancka. Złoto błyszczało i było ozdobione małymi kawałkami morskiego szkła. Dzięki temu przypomniła się jej chwila na Pollepel, kiedy ofiarował jej kawałek morskiego szkła.

Czyżby pamiętał?

Ale nie pasowała na jej dłoń.

Spróbował otworzyć zameczek, ale nie chciał puścić.

– Potrzebny jest klucz – powiedział kupiec.

Podniosła wzrok i zauważyła niewielki klucz w jego dłoni. Blake wziął go, umieścił w zamku i otworzył ku jej zdumieniu.

– Otwiera się tylko za pomocą klucza – powiedział kupiec. – I tylko ktoś najbliższy twemu sercu go posiada. Tylko ta osoba może go otworzyć.

Blake wsunął bransoletkę na jej nadgarstek, zamknął zatrzask i zapiął zamek.

Spróbowała ją zdjąć, ale nie mogła.

Obejrzała ją i podniosła do światła. Była piękna. Morskie szkło mieniło się wszystkimi kolorami. Odniosła wrażenie, jakby miała na sobie cząstkę Blake'a.

– Jesteś pewien? – spytała.

Zanim zdążyła skończyć pytanie, Blake zapłacił już uśmiechniętemu kupcowi.

Wziął ją za rękę i poszli dalej.

*

Caitlin była zdumiona, kiedy zagłębili się w mieście. Było to jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie kiedykolwiek widziała. Ulice były

znacznie szersze od weneckich i nawet w połowie nie tak zatłoczone. Z obu stron ciągnęły się piękne fasady przeróżnych budynków, miejskich rezydencji, witryn sklepowych... Ubrani elegancko ludzie uchylali kapelusze, spacerując po ulicach sporadycznie uczęszczanych przez wierzchowce. Wszędzie widniały posągi i fontanny. Ulice były brukowane i co kilka przecznic otwierały się na zachęcające do odwiedzenia place. Florencja była prawdziwym miastem światła.

– A więc – zapytał Blake, idąc w ciszy – dokąd teraz?

– Muszę znaleźć ojca – powiedziała Caitlin. – Oraz antyczną tarczę. Tę, do której ojciec mnie doprowadzi.

– Twój ojciec był jednym z nas?

Caitlin skinęła głową. – Powiedziano mi, że wywodził się z wyjątkowego klanu. Nigdy go nie spotkałam.

Blake również skinął

– To całkiem powszechna sprawa wśród wampirów. Często zdarza się, że rodzice opuszczają swe dzieci. Tak jest bezpieczniej. Jeśli rodzic zostanie złapany lub zabity, dziecko jest bezpieczne. Poza tym, nie ma potrzeby być razem: więź między wampirzym rodzicem i jego dzieckiem jest o wiele silniejsza. Wampir nie musi przebywać fizycznie przy swym dziecku, by czuć jego bliskość. Możemy komunikować się w myślach na przestrzeni tysięcy mil. I w snach.

Nagle coś w niej drgnęło, sprawiło, że się zamyśliła. Jej sen. Te złote drzwi.

– W sumie, właśnie to mnie tu sprowadziło – powiedziała. – Śniłam o moim ojcu. I pięknych, złotych drzwiach. Jakby... Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wyglądało tak, jakby wskazywał mi Florencję. Ciągle czułam, że odpowiedź

znajduje się za tymi drzwiami. Były takie niezwykle, takie wysokie i piękne. I miały takie rzeźbienia na całej powierzchni.

Blake podszedł i spojrział na nią. – Mówisz o drzwiach Baptysterium – rzekł

z niezwykłą powagą. – Tylko tych, żadnych innych.

Oczy Caitlin otworzyły się szeroko.

– Naprawdę istnieją?

– Oczywiście – odparł. – Są jednym z tych miejsc, z których słynie Florencja.

Jej serce zabiło mocniej z wrażenia. Nareszcie coś konkretnego. Prawdziwa, solidna wskazówka.

Blake chwycił jej dłoń.

– Chodź za mną.

*

Idąc Via Dei Calzaiuoli, doszli do placu Piazza del Duomo, a jego widok zaparł Caitlin dech w piersiach. Naprzeciw stał jeden z największych i bogato zdobionych kościołów, jakie w swym życiu widziała. Zbudowany był z jasnego kamienia i każdy cal pokrywały rzeźbienia, płaskorzeźby, desenie przeplatane z kolorowymi – pomarańczowymi i zielonymi wykończeniami. Był taki bogaty, taki wymyślny.

Jego tylna część wznosiła się potężną, pomarańczową kopułą ku niebu – tą samą, którą widziała, kiedy pierwszy raz przeleciała nad miastem, tą samą, która dominowała na horyzoncie miejskiej architektury. Była bardzo piękna i najwyraźniej stanowiła najważniejszą budowlę w mieście.

– Rany! – wyszeptała.

– To Duomo – powiedział Blake. – Główny kościół Florencji od stuleci.

Całkiem przytłaczający, nieprawdaż?

Było tak istotnie. Jednak nie zauważyła żadnych złotych drzwi.

– Ale drzwi... - powiedziała – to nie te.

– Nie – odparł. – Drzwi, o których mówisz znajdują się *naprzeciw* Duomo.

W Baptysterium.

Złapał ją za ramiona i obrócił, wskazując:

– Patrz.

Nagle je zauważyła. Dokładnie naprzeciw Duomo znajdował się niewielki w porównaniu z nim, ośmioboczny budynek. Sam w sobie był jednak całkiem spory. Miał ze sto stóp średnicy i tyle samo wysokości. Był na równi z Duomo bogato zdobiony, zbudowany z podobnego kamienia i w podobnej tonacji barw.

Jednak to, co sprawiało, że był wyjątkowy, że zatrzymywał się na nich wzrok, to jego wspaniałe, wysokie drzwi. Całe z lśniącego złota. Pokryte misternymi rzeźbami, całe w obrazach.

Dokładnie takie, jakie widziała we śnie.

Jej serce zabiło mocno. Dziwnie było zobaczyć coś, o czym tylko śniła. W

tej jednej chwili poczuła, bardziej niż kiedykolwiek, że jej sen był wiadomością, że ponownie była bliska znalezienia ojca.

Otumaniona z wrażenia, podeszła do drzwi, powoli wyprostowała dłoń i ich dotknęła.

Było tak, jak pamiętała. Nie mogła uwierzyć, jak gładką miały powierzchnię.

Nie mogła wyjść z podziwu dla tych wszystkich figur, misternych szczegółów.

Blake podeszedł do niej.

– To najstarszy budynek we Florencji. Zbudowany w tysiąc setnym roku.

Wzniesienie samych drzwi zajęło im dwadzieścia jeden lat. Wszystko wykonane pracą ludzkich rąk. Wyglądają, jak złote. Ale tak naprawdę są z brązu.

Podniosła wzrok i zdumiała się na widok ich wysokości. Przyjrzała się uważnie obrazom, niewielkim sylwetkom ludzi, zwierząt i aniołów.

– Te obrazy – spytała. – Czym są?

– To sceny z Biblii – odpowiedział. – Głównie Starego Testamentu. Zobacz: to Mojżesz otrzymujący od Boga tablice.

Caitlin przyjrzała się uważniej. Zobaczyła anioły, demony, ludzi ze skrzydłami... I od razu pomyślała o wampirzym rodzaju.

– Tak – powiedział Blake, czytając w jej myślach. – Nasz rodzaj też tu jest.

Naprawdę myślisz, że człowiek mógłby coś takiego wyrzeźbić? Te drzwi są dziełem jednego z nas.

Caitlin przyglądała się im z zachwytem.

– Mój sen... mówił, że mój ojciec będzie za tymi drzwiami.

Blake otworzył jedno skrzydło. Caitlin odciągnęła drugie powoli. Były z solidnego, ciężkiego brązu.

– Przekonajmy się – powiedział.

*

Wewnątrz Baptysterium było ciemno. Światło dochodziło jedynie z przesłoniętych witrażami okien. Caitlin podniosła wzrok na strop i dopiero tutaj zauważyła efekt ośmiobocznego planu budynku. Płycizny stropu, pokryte jaskrawo barwionymi freskami na złotym tle, schodziły się centralnie do niewielkiego kręgu.

Ich kroki odbijały się echem od pięknej marmurowej posadzki. Rozejrzała się i zauważyła tłum zwiedzających.

Pomimo całego piękna tego miejsca, Caitlin nie dostrzegała żadnego przesłania, niczego o jakimś szczególnym znaczeniu. Była to z grubsza pusta konstrukcja, z niewielkim ołtarzem po jednej stronie. Oczywiście jej ojca nigdzie nie było widać.

Rozglądała się dokoła, szukając jakiegokolwiek wskazówki, czy wiadomości.

W końcu, sfrustrowana, poddała się.

– Niczego nie widzę – powiedziała.

– Ani ja – odparł Blake.

Pograżyła się w myślach.

– Co dokładnie zaszło w twoim śnie? – zapytał.

Pomyślała o nim ponownie, spróbowała przypomnieć sobie najdrobniejsze szczegóły, zastanawiając się jednocześnie, czy czegoś nie pominęła.

Nagle coś do niej dotarło.

– A co, jeśli odpowiedź nie leży za drzwiami? – zapytała z podnieceniem. –

Co, jeśli to te drzwi są odpowiedzią?

Popatrzył na nią zaintrygowany.

Chwyciła jego rękę i wyprowadziła na zewnątrz.

Stanęli z powrotem przed drzwiami i Caitlin zaczęła uważnie wpatrywać się w wyrzeźbione sylwetki. Zataczała powoli krąg, idąc i po kolei sprawdzając każdą płytę z osobna. Na każdej były inne rzeźbienia. Czuła energię płynącą w żyłach. Wiadomość ukryta była w jednym z tych wizerunków. Była tego pewna.

Idąc, przesuwała po nich palcami i próbowała wyczuć ten, o który mogło chodzić. Zamknęła oczy i okrążyła drzwi kilka razy.

W końcu stanęła, coś czując. Otworzyła oczy i wyteżyła wzrok.

I oto miała go przed sobą. Wyrzeźbiony zarys starego kościoła o wyróżniających się kształtach, wysokiego, zakrytego trzema trójkątami, przed którym klęczała skrzydlata postać. Ludziom mogła przypominać anioła, ale ona wiedziała, że był to jeden z jej pobratymców. Tak, to było to. Była pewna.

– To miejsce – spytała Blake’a, pozbawiona tchu. – Co to jest?

Podszedł bliżej i przypatrzył się mu.

– To kościół Santa Croce. Niedaleko stąd.

Poczuła to, mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Jej ojciec tu był. I to tam musiała się udać.

Odwróciła się i chwyciła go za dłoń.

– Chodźmy.

*

Kiedy szła razem z Blakiem ulicami Florencji, w jej sercu kłębiły się najprzeróżniejsze uczucia. Czuła, że znów była bliska odnalezienia ojca i ta myśl sprawiała, że jej serce biło mocniej. Równocześnie rodziło się w jej głowie wiele pytań. Czy mieszkał przez ten cały czas we Florencji? Na co czekał? Jaki był?

Czy po tym, jak wręczy jej Tarczę, wszystko się skończy? Albo czy będą mogli spędzić trochę czasu ze sobą, jak ojciec z córką?

Przede wszystkim zaś, czy będzie ją kochał? Czy będzie z niej dumny? We śnie czuła, że był dumny. Ale teraz to już nie był sen. Czy teraz będzie tak samo?

Czuła się również podenerwowana z powodu Blake’a. Będąc z nim, trzymając jego dłoń i spacerując ulicami Florencji czuła taki spokój, taką swobodę. Była zrozpaczona z powodu Caleba, ale teraz czuła się świetnie, mając mężczyznę u boku.

Lecz to wszystko wydarzyło się tak szybko i tak trudno było jej myśleć logicznie w jego towarzystwie. Nadal nie zdołała poukładać sobie wszystkiego w głowie. Czy kochała Blake’a za to, kim był? Czy też kochała go tylko w tej chwili, z powodu tego, co przytrafiło się z Calebem? Chciała wszystko wyprostować, być pewną, że kocha go dla niego samego; jednak przy jej obecnym stanie ducha tak ciężko było stwierdzić coś konkretnego.

Cokolwiek było między nimi, nie chciała, by się skończyło. Przynajmniej w tej chwili wydawało się jej to słuszne. Chciała mieć go u swego boku.

Kiedy jednak szli coraz dalej wspaniałymi ulicami Florencji, każdy mijany dom bardziej romantyczny od poprzedniego, nie mogła powstrzymać się od myśli, że to wszystko wkrótce się skończy. Chciała zatrzymać tę chwilę, sprawić, by trwała wiecznie – lecz wiedziała, że jak wszystko w jej życiu, nie było to możliwe. Obawiała się, co przyniesie najbliższa przyszłość. Co się stanie, jeśli jej ojciec rzeczywiście tam będzie? I co z Blakiem? Czy zostanie tutaj? Czy planował pobyt tu przez jakiś czas? Czy też polecieć do Wenecji?

Bała się go o to zapytać. Nie chciała znać odpowiedzi.

Jednak gdzieś w zakamarkach umysłu podejrzewała, że już ją zna: nic nie mogło trwać wiecznie. Połączyła ich piękna, zadziwiająca podróż, lecz ostatecznie, obawiała się, że znajdzie to, czego szukała, a on będzie musiał

wracać do domu. Nie chciała akurat teraz myśleć o tym, kiedy, ani jak mieliby się rozstać. Pragnęła jedynie, by to trwało. Tak bardzo chciała, żeby się nigdy nie skończyło.

I ta myśl zepsuła jej radość płynącą z tej chwili. Żałowała, że nie mogła pozbyć się wszystkich tych zmartwień i jedynie cieszyć się chwilą, czerpać przyjemność z pięknej pogody, lekkiego wiatru i spaceru po idyllicznych ulicach Florencji. I tak było. Ale nie na tyle, ile by sobie życzyła. Nie mogła pozbyć się uczucia, że znalazła się akurat w oku cyklonu.

Martwiła się również, gdyż po raz pierwszy od długiego czasu, czuła się jak w domu. Na tyle, na ile zdążyła zniechęcić się do Wenecji, na tyle pokochała Florencję. Czuła się tu tak dobrze. Wśród tych dachów z czerwonej płytki, obfitości dzieł sztuki, zdumiewającej architektury, fontann, rzek, mostów... Po raz pierwszy, od kiedy cofnęła się w czasie, naprawdę czuła spokój, niczym w domu. Chciała tu zamieszkać. Osiąść w jednym miejscu, sąsiedztwie i czasie.

Potrzebowała jednej rodziny, jednego męża, których mogłaby nazwać swoimi.

Czy to wszystko miało zostać jej odebrane?

Kiedy minęli kolejną boczną uliczkę, przed nimi pojawił się ogromny plac z tabliczką – Santa Croce. Był jednym z większych placów we Florencji.

Rozciągał się na setki stóp i usłany był sklepikami i kafejkami. Nad wszystkim górował ogromny kościół. Prawie tak duży jak Duomo i

podobnie kolorowy.

Wznosił się w charakterystyczny sposób. Natychmiast rozpoznała w nim wizerunek z drzwi. Tak, to było to miejsce.

– Kościół Santa Croce – powiedział Blake, spoglądając na niego. – Bardzo wyjątkowe miejsce. Pochowano tu wiele znanych i podziwianych osób, łącznie z Michałem Aniołem i Galileuszem. Mieści się tu również klasztor.

Caitlin była pewna swego, jak nigdy wcześniej. Jakichkolwiek tajemnic szukała, czekały na nią za tymi drzwiami.

Obeszli kościół dokoła, zwracając uwagę na wszystkie wejścia. Kiedy dotarli na tyły, Caitlin zauważyła, że budowla ciągnęła się jeszcze przez setki stóp i była połączona z klasztorem.

– Kiedyś zamieszkiwały tu wampiry, przez tysiące lat – powiedział Blake. –

To bardzo szczególne miejsce.

– A teraz? – spytała Caitlin z dudniącym sercem. Zastanawiała się, czy jej ojciec właśnie tu mieszka.

– Nie wydaje mi się – odparł Blake. – Sądzę, że został porzucony wieki temu.

Caitlin znalazła wielkie, sklepione łukiem drzwi prowadzące do klasztoru.

Uniosła dłoń, chwyciła metalowy pierścień i zapukała. Dźwięk poniósł się po całym dziedzińcu.

Spróbowała otworzyć drzwi, ale nie chciały puścić.

Obejrzała się na Blake'a, a on skinął głową. Popatrzyła w obie strony, po czym odchyliła się i kopnęła. Drzwi otworzyły się do środka z hukiem. Szybko weszli do środka i Caitlin zamknęła je za sobą.

W środku panował mrok rozświetlany jedynie promieniami słońca wpadającymi przez niewielkie okno. Minęła chwila, zanim jej oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wówczas spostrzegła, jak było pięknie. Jak większość klasztorów, w których była, tak i ten zbudowany był ze zwykłego kamienia, miał niski strop w kształcie łuku, dziedziniec i niczym nieosłonięte okna wzdłuż jednej strony. Wzdłuż dziedzińca biegł wąski korytarz.

Kiedy nim podążyli, Caitlin zobaczyła wewnątrz klasztoru, prostokątny dziedziniec pokryty starannie przyciętą trawą. Po

czterech stronach wznosiły się strzeliste mury, tak typowe dla wszystkich klasztorów. Było tu spokojnie, bardzo pogodnie i pustawo. Poczwała, jakby to miejsce było tylko dla nich.

– Nikogo tu nie ma – powiedziała z rozczarowaniem. – Nie wyczuwam obecności mojego ojca. Nikogo nie wyczuwam.

Skręcili w kolejny korytarz. Idąc, Caitlin zauważyła, że sprawiał niemal takie samo wrażenie jak klasztor w Nowym Jorku oraz ten na Isola di San Michele. Wszystkie one tchnęły średniowieczną aurą, prostotą i pustką.

– Przykro mi – powiedział w końcu Blake. – Nie ma go tu.

Caitlin westchnęła, przyglądając się murom, szukając jakiegokolwiek znaku.

Czegokolwiek. Ale na próżno.

– Słyszałem pogłoski panujące o tym miejscu – powiedział Blake. – Kiedyś mieszkał tu bardzo potężny klan. Wieki temu. Być może twój ojciec należał do niego.

– Może – powiedziała Caitlin, rozglądając się wokół za jakąś wskazówką.

W końcu uświadomiła sobie, że niczego więcej tu nie znajdzie.

– Sprawdźmy w kościele – powiedziała.

*

Kiedy weszła do kościoła Santa Croce, poczuła falę energii. Zamknęła oczy i wyczuła wibrację w dłoniach i stopach, niemal namacalną moc panującą w powietrzu. Była przekonana, że cokolwiek dane jej było znaleźć, znajdowało się w tym miejscu.

– Co się stało? – spytał Blake.

Stała bez ruchu. Powoli otworzyła oczy.

– To tu – powiedziała. – Tu znajduje się to, co mój ojciec chce, żebym znalazła.

Blake rozejrzał się po wnętrzu z zadumą. Caitlin również.

Kościół Santa Croce był niezwykłym dziełem architektury. Był największy z tych, w których była. Główne pomieszczenie ciągnęło się na setki stóp, podobnie jak jego strop w górę. Potężna sala wyposażona była w gigantyczne kolumny, a na ścianach widniały przepięknie namalowane freski. Posadzka była z marmuru, a w

oknach tkwiły witraże wpuszczające do środka pięknie załamujące się światło.

Idąc wzdłuż jednej strony, ze zdziwieniem przyglądała się ścianom. W

niewielkich wnękach umieszczono sarkofagi. Misternie rzeźbione, wyglądały bardzo podobnie do tych, które widziała w klasztorze w Nowym Jorku.

Wyglądały jak idealne miejsce spoczynku całego klanu wampirów. Wyobraziła sobie mieszkańców tego miejsca żyjących tu w odległej przeszłości. I rzeczywiście, kiedy przyjrzała im się z bliska odniosła wrażenie, że za chwilę z każdego z nich powstaną wampiry.

Gdy szła dalej, uderzyło ją coś innego. Podłoga. W niewielkiej odległości zauważyła jakieś obiekty wystające z posadzki. Kiedy tam podeszła, zauważyła, że była to grupa grobowców osadzona w podłodze, marmurowych sylwetek ludzi leżących na wznak, wyrastających z samej podłogi. Jakby posadzka była żywym cementaryszkiem, a ciała gotowały się do powstania. Pomyślała o sarkofagach w Nowym Jorku. Była pewna, że i te były świętym miejscem dla wampirów.

Wyczuła energię wydobywającą się z jednego z nich i, nachyliwszy się nad nim nisko, przeczytała napis. Jej serce stanęło z wrażenia.

– O co chodzi? – spytał Blake i podszedł bliżej.

– Ten sarkofag – powiedziała Caitlin. – Ta inskrypcja. Elizabeth Payne.

Blake spojrział na grobowiec, potem z powrotem na Caitlin.

– Kto to? – zapytał.

– Moja matka – odparła, wciąż wlepiając wzrok. – Powiadają, że wampiry mogą mieć wiele miejsc pochówku. To już drugi jej grobowiec, na który się natknęłam. Rozejrzała się dokładnie po pomieszczeniu. – Nie wiem, co to oznacza, ale wiem, że jestem we właściwym miejscu.

Caitlin przecesała miejsce wzrokiem, postrzegając wszystko na nowo.

Zlustrowała freski, posągi, ołtarz i sarkofagi, szukając czegoś, sama nie wiedząc czego. Ale była przekonana, że zorientuje się, kiedy to zobaczy.

I wtem, nagle to zobaczyła.

Nie mogła uwierzyć. W samym środku pomieszczenia, obok wielkiej, marmurowej kolumny, wznosiły się wapienne, okrągłe stopnie. Pięły się wysoko na jakieś piętnaście stóp ku wielkiej, kamiennej ambonie. Wyglądała idealnie tak samo jak ambona w King's Chapel w Bostonie. Ta, w której znalazła miecz. Ta jednak była większa i cała wykuta z kamienia.

Kiedy spojrzała na nią, wiedziała, że odpowiedź, której szukała, znajdowała się właśnie tam.

Czuła, jak coś ją do niej przyciąga, jak magnes. Zdała sobie sprawę, że nagle zaczęła wspinać się, wchodzić po stopniach. Na oczach Blake'a wchodziła coraz wyżej i wyżej, aż w końcu dotarła na szczyt.

Na górze znajdował się niewielki, okrągły podest, z którego rozpościerał się imponujący widok na kościół. Zastanawiała się, ilu księży stało tu przez te wszystkie wieki.

Przyjrzała się niewielkim kamiennym ściankom i występom. Szukała jakiejś wskazówki, czegokolwiek. Przypomniawszy sobie ambonę z Bostonu, wyciągnęła dłoń i zbadła ścianki dotykiem. Szukała jakiejś skrytki.

Nagle, jej palce przesunęły się po jakiejś nierówności, czymś nie na miejscu.

Jakimś maleńkim pęknięciu w marmurze. Wcisnęła do niego palec i przesunęła wzdłuż otworu, szukając ukrytego mechanizmu.

Znalazła go. Maleńką dźwignię. Popchnęła ją z całej siły.

Zrobiwszy to, usłyszała syk wydobywającego się powietrza, zamkniętego szczelnie i wypuszczonego po raz pierwszy od wieków. Popchnęła ściankę –

rzeczywiście znajdowała się tam skrytka.

Zajrzała do środka i otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Była całkowicie zszokowana tym, co tam zobaczyła.

Zanim jednak zdążyła jakoś zareagować, poczuła, jak coś zaciska się wokół

niej.

Podniosła wzrok zdezorientowana, próbując zrozumieć, co się stało i zobaczyła srebrną sieć opadającą na nią jakby z nieba, pokrywającą ją i oplątującą się wokół niej. Zobaczyła z tuzin wampirów napinających sieć wokół

niej i poczuła, jak się przewraca.

Spojrzała w górę i ostatnim, co zobaczyła, był Kyle. Stał nad nią ze swoją w połowie oszpeconą twarzą i brakującym okiem. Spojrzał na nią i wyszczerzył

zęby w złowrogim uśmiechu. Podniósł stopę, celując w jej twarz. Widziała, jak się zbliża. Coraz bliżej i bliżej.

I wówczas jej świat ogarnął mrok.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Caleb stał na rufie żałobnej gondoli wyprostowany, z wysuniętym dumnie podbródkiem, płynąc z najwyższą powagą, na jaką było go stać. Przed nim, w łodzi, zawinięte w czarny całun, leżało ciało jego chłopca. Była to łódź

przeznaczona wyłącznie dla tej dwójki, tradycyjna gondola pogrzebowa, cała czarna i dłuższa niż zazwyczaj.

Sera nie chciała do nich dołączyć. Nic nie dawało jej ukojenia i jeszcze obwiniała Caleba. Mimo, że to on prosił ją, by została z Jadem, zachowywała się irracjonalnie i to *jemu* zarzucała całą winę. Nie chciała wziąć udziału w pogrzebie, ani nawet pokazać się u jego boku. Zaczęła nalegać, by wzięli rozwód.

W Calebie wszystko się gotowało. Za dużo było tego wszystkiego.
Z

pewnością jednak największy ból czuł z powodu straty Jade'a. I tak między nim a Serą nie układało się ostatnio za dobrze i przeczuwał, że dzień ich rozwodu zbliża się w szybkim tempie. Ale Jade – Jade to zupełnie co innego.

Starł się ze wszystkich sił powstrzymać łzy, ale nadaremnie.
Kochał

chłopca bardziej niż mógłby to kiedykolwiek wyrazić, widział w nim wszystkie swoje nadzieje i marzenia. Prawdziwy wampir nie mógł płodzić dzieci, a chłopiec był owocem jego związku z Serą jeszcze zanim ją przemienił. Ich związek był niedozwolony, dopiero później został usankcjonowany. W ten sposób Caleb stał się jednym z nielicznych wampirów, które naprawdę posiadały dziecko.

Wiedział jednak, że na drugie takie dziecko już nie mógł liczyć. Płynąc dalej, spuścił wzrok i spojrzał na ciało. Wiedział, że wraz z nim pochowa swoje wszystkie nadzieje i marzenia.

Co więcej, Caleb darzył tego chłopca prawdziwą miłością. Jade miał duszę wojownika, serce większe niż jakikolwiek dorosły. Caleb

czepał dumę z tego, że był jego ojcem, ale też przyjacielem, bratnią duszą na tej ziemi. Był

zdruzgotany, że już nigdy go nie zobaczy. Będzie tęsknił za wspólnym wstawaniem, towarzystwem syna, ich wspólnymi rozmowami. Jakby ktoś odrąbał mu kawałek ciała.

Obok Jade'a, również zawinięta w całun, leżała Róża. Nawet w tak krótkim czasie, jaki spędzili, tych dwoje zżyło się bardzo ze sobą. Caleb wiedział, że chłopiec chciałby zostać pochowany razem z nią.

Wiosłował dalej, a tuż za nim płynął cały jego klan, setki żałobnych, czarnych gondoli. Najbliżej był Samuel. Wszyscy płynęli uroczyście Wielkim Kanałem, kierując się ku Wyspie Umarłych.

Kiedy do niej dotarli, wodne zastawki otworzyły się im na powitanie.

Rzadko zdarzało się, żeby dwa klany spotykały się z jakiejś okazji, ale w tej jednej się zjednoczyli.

Oczekiwały już tam na nich dziesiątki innych żałobnych gondoli. Klan Aideny pragnął towarzyszyć im, pożegnać zmarłych. Na czele, w łodzi, stał

Aiden. Kiedy Caleb przepłynął środkiem, klan Aideny dołączył do niego i jego pobratymców.

Kiedy w końcu dotarli na kwaterę przeznaczoną dla Jade'a, wszyscy, jak jeden, odprowadzili chłopca i Różę na ich miejsce wiecznego spoczynku. W

oddali odezwały się kościelne dzwony, a wśród zgromadzonych odgłosy zawodzenia i smutku.

Rytualnemu pogrzebowi przewodził Aiden, Caleb natomiast osobiście zasypał grób ziemią.

– ... na zmartwychwstanie w nowy dzień – kończył recytować Aiden –

Najwyższą łaską Boga obdarowani.

Caleb stał ze łzami w oczach, czując się dziwnie, jakby opuścił swoje ciało.

Jeden za drugim żałobnicy podchodzili do niego i starali się złożyć kondolencje. Ale nikomu nie udało się oddać słowami tego, co czuł Caleb.

Stojąc nad grobem, Caleb poczuł, jak jego smutek powoli przeradza się w złość i dalej w cichą wściekłość. Zabito mu syna. Nie zmarł

przez przypadek.

Został zamordowany rozmyślnie, z zimną krwią. I stało się to za sprawą złego klanu, tego, który miał na celu zgładzić Caleba, ale zamiast niego znalazł jego chłopca. Caleb chciał zemsty. *Pożądał* jej.

I nie był sam. Również cały jego klan domagał się odwetu. A także klan Aideny. Był to atak wymierzony w nich wszystkich i całkowicie niedopuszczalny. Obydwa klany zjednoczyły się.

Caleb w końcu odchrząknął i przemówił donośnym głosem.

– Moi bliscy – zaczął. – To, co dzisiaj miało miejsce nie było atakiem wymierzonym we mnie, czy mojego syna, ale w nas wszystkich. Napaść ta, pogwałcenie naszych ziem, była koordynowana przez złowrogi klan i musimy odpowiedzieć na nią z równą siłą. Polecę dziś wymierzyć sprawiedliwość za to okropne i niezasłużone morderstwo. By wziąć odwet za nas wszystkich. Jeśli będzie trzeba, polecę sam. Ale przyda się każdy, kto do mnie dołączy i pomści okrutną i bezlitosną śmierć mojego chłopca.

– Czy któryś z was jest ze mną?

Podniósł się ogromny ryk na zgodę, a serce Caleba wezbrało wdzięcznością za otrzymane wsparcie.

– Zatem lećcie teraz ze mną! – krzyknął.

To powiedziawszy, zrobił trzy kroki i wzbił się w powietrze, sam.

Zaledwie chwilę później usłyszał za sobą trzepot tysięcy skrzydeł.

Wyruszyli całą armią, gotowi na wojnę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Kiedy Caitlin spróbowała otworzyć oczy, jej głowę przeszył ból. Powoli ją uniosła i rozejrzała się wokół, próbując się pozbierać. Zamrugła powiekami kilkakrotnie i uświadomiła sobie, że leży skulona na podłodze kamiennej celi.

Było tam małe, zakratowane okno, o wiele za wysoko. Czuła, że kraty były zrobione ze srebra i w żaden sposób nie dałoby się ich wyłamać. Przez okno, pod kątem, wpadł jaskrawy promień słońca, który rozświetlił jej twarz.

Zmrużyła oczy z bólu. Przetoczyła się w bok, schodząc mu z drogi.

W ciemnym kącie nabrała powietrza i spróbowała usiąść, wziąć się w garść.

Strasznie bolała ją głowa. Próbowwała sobie coś przypomnieć.

Pamiętała, że była w kościele. W Santa Croce. Pamiętała, że była tam z Blakiem, że wchodziła na ambonę. Przypomniała sobie, jak znalazła skrytkę, jak ją otworzyła...

A wtedy ktoś zarzucił na nią sieć i przyparł do ziemi. A później Kyle'a. Jak patrzył na nią, jego groteskową twarz. Jak ją kopał.

Wyprostowała się i rozejrzała, czując pulsujące boleśnie stłuczenie na policzku. Była w jakimś więzieniu, prawdopodobnie umieszczona tu przez Kyle'a. Zaczęła zastanawiać się, ile czasu już tu spędziła. W gardle jej zaschło i czuła się słabo. Wsłuchiwała się w ciszę i z oddali dobiegł do niej jakby cichy odgłos wiwatów, po których nastąpiły potworne wibracje, które zatrzęsły całą ziemią. Zastanawiała się, gdzie u diaska była.

Zastanawiała się też, dlaczego jeszcze żyła. Dlaczego Kyle jej nie zabił?

Przecież nie grzeszył litością. Jedynym powodem, dla którego mógł zachować ją przy życiu, była jego chęć torturowania jej. Caitlin przełknęła ślinę.

Zaczęła głowić się, w jaki sposób wpakowała się w ten cały bałagan.

Wszystko przebiegało tak wspaniale, jej sielankowe chwile we Florencji, dotarcie w pobliże ojca, te wszystkie zgadzające się wskazówki. Była taka pewna, że już prawie jest na miejscu, tuż przy samej mecie.

Wszystko poszło na opak, tak szybko. Ale dlaczego? Nie wyczuła obecności Kyle'a, ani żadnego z jego pomagierów. Zdołał podkraść się do niej tak szybko.

Jak ją znalazł? Czy przez cały czas był na jej tropie?

Zastanawiała się, jak to w ogóle było możliwe. Jedyną osobą, która wiedziała, że tu jest był Blake.

Blake.

Nagle jej serce stanęło. Czy to Blake sprowadził ją do Kyle'a? Czy oszukiwał ją przez ten cały czas?

Czuła, jak jej serce łamie się na samą tę myśl. Zabolało ją to bardziej niż mogłaby sobie wyobrazić.

To *musiał* być on. Została zdradzona. Nie widziała żadnego innego wyjaśnienia. Kyle nie znalazłby jej w żaden inny sposób. A Blake? Nie pamiętała, żeby został pojmany w kościele. Co prawda, i tak

dużo nie widziała, powalona na ziemię w mgnieniu oka. Ale nie pamiętała, żeby krzyczał, czy wrzeszczał.

I jeśli Blake został pojmany, to czy nie byłby tu teraz z nią w więzieniu?

– Blake? – zawołała.

Odchrząknęła, wstała na nogi i wrzasnęła: – Blake!

Jej krzyk odbił się echem od kolejnych pustych cel i powrócił, jakby chcąc z niej zadrwić.

Żadnej odpowiedzi. To o wszystkim przesądzało. Musiał być tym, który ją zdradził.

Czuła się jak idiotka, że go tak pokochała. Czuła się oszukana, tak bardzo zdradzona. Taka głupia.

Nagle usłyszała skrzypienie żelaznych drzwi, a potem odgłos czyichś kroków.

Stała wyprostowana w kącie i czekała, gotowa walczyć o życie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Miała jednak przeczucie, że byłoby to daremne. Kyle nie był typem faceta, który pozostawiłby cokolwiek bez planu. Jak go знаła, miał zapewne kilka planów awaryjnych, by zatrzymać ją tu w zamknięciu, torturować, czy zabić.

Wiedziała, że jej szanse na ucieczkę były niemal zerowe.

Nagle Kyle wyłonił się z mroku. Pojawił się po drugiej stronie srebrnych krat, zmierzył wzrokiem i wyszczerzył zęby. Wyglądało to bardziej na grymas niezadowolenia.

Z pewnością był w oplakany stan. Miał w połowie oszpeconą twarz, a teraz jeszcze brakowało mu oka. Wyglądał szkaradnie, groteskowo.

– Jak ci się podoba twoja nowa kwatery? – zapytał.

Caitlin nie odpowiedziała. Jedyne wlepiała w niego wzrok. Wreszcie splunęła na podłogę u jego stóp.

Zaśmiał się – złym, przyprawiającym o gęsią skórę rehotem.

– Masz rację – powiedział. – Blake zaprowadził nas wprost do ciebie. Jak owieczkę na rzeź. Jak mogłaś być aż tak naiwna? Cóż, w końcu mam nad tobą przewagę. Byłaś mi zadrą od kiedy tylko sięgam pamięcią. To dzięki tobie moja twarz jest taka szpetna. To kara za to, że pozwoliłem ci odejść... Ale nie tym razem.

Caitlin wyczuwała emanujące z niego zło, niemal namacalną nikczemność.

Miała złe przeczucie, że mogą to być ostatnie chwile jej życia i przygotowała się psychicznie na spotkanie własnego losu.

– Zanim cię zabiję – ciągnął Kyle – chcę, abyś wiedziała, że jestem bardzo uprzejmą osobą. Zamierzam dać ci wybór. Możesz umrzeć szybko, łatwo i bezboleśnie – lub powoli i brutalnie. Nadal masz szansę na to pierwsze, jeśli zastosujesz się do tego, co mam ci do powiedzenia. Jeśli nie, niech cię to nie zmyli: twój los będzie bolesny ponad wszelką miarę.

– Nie boję się powolnej śmierci – odparła z pogardą. – Wolałabym już umrzeć w tysiącu piekieł, niż dać ci cokolwiek chcesz.

Kyle uśmiechnął się szerzej.

– Takie kobiety lubię – powiedział, oblizując wargi. – Szkoda, że ty i ja nigdy nie mieliśmy szansy być ze sobą. Bylibyśmy wspianiałą parą.

Na samą tę myśl zrobiło jej się niedobrze.

– Prędzej umrę – odparła.

Zaśmiał się głośno.

– Nie martw się. Jeszcze zdążysz. Już wkrótce. Zanim jednak do tego dojdzie, mam dla ciebie propozycję: daj mi to, co znalazłaś w ambonie.

Szukaliśmy i niczego nie znaleźliśmy. Powiedz, co z tym zrobiłaś, gdzie zdołałaś to ukryć, zanim cię złapaliśmy. Zniszczyłaś to? Połknęłaś? Co to było? Powiedz mi, a cię oszczędzę. W zasadzie, jeśli spodoba mi się twoja odpowiedź, to może nawet puszcze cię wolną.

Caitlin zamyśliła się, spróbowała sobie przypomnieć, lecz jej pamięć nadal skrywała mgła. O czym on mówił? Co takiego miałyby tam znaleźć?

Powoli zaczęło jej coś świtać. Co znalazła w skrytce. Kyle nie widział tego, więc oczywiście pomyślał, że to była jakaś rzecz. Co za głupiec!

Ale nie wiedział i nie zamierzała mu nigdy powiedzieć, że nie było tam żadnego przedmiotu. Że to była wiadomość. Wryta w kamieniu. Tylko dla niej: *Róża i Cierni spotkają się w Watykanie.*

Nigdy nie zrozumiałby, co oznaczają te słowa. A ona nigdy by mu tego nie zdradziła.

Była zadowolona. Niech myśli, że była tam jakaś rzecz, której brakowało.

– Tak – skłamała. – Znalazłam pewną rzecz i zniszczyłam ją własnymi rękoma. Dokładnie tak, jakbym zniszczyła ciebie, gdybyś był prawdziwym mężczyzną, otworzył te kraty i dał mi okazję – rzuciła wyzywająco.

Najpierw spojrział na nią gniewnie, ale potem uśmiechnął się coraz szerzej i szerzej.

– Nie rozczarowujesz – powiedział. – Cóż, przynajmniej próbowałem.

Przejdźmy zatem do tej lepszej części. Będzie zabawnie patrzeć, jak umierasz

wolną i bolesną śmiercią. W gruncie rzeczy mam zamiar upewnić się, że będę siedział w pierwszym rzędzie.

Caitlin usłyszała nagle kolejny okrzyk, tym razem głośniejszy i poczuła, jak całe pomieszczenie zatrzęsło się razem z nim. Znow zaczęła się zastanawiać, co to takiego i gdzie ją sprowadzili.

– Nadal nie masz pojęcia, gdzie jesteś, prawda? – zapytał. – Nie, widzę, że nie. Jesteś sto stóp pod powierzchnią ziemi, w podziemiach Rzymskiego Koloseum. Nad nami znajduje się arena i akurat w tej chwili jest zajęta. Przez wielką radę wampirów. Tysiące takich jak my zebrało się, by obserwować zawody. Obejrzyć brutalną walkę między wampirami i ludźmi, ludźmi walczącymi przeciw ludziom i wampirów walczących ze sobą nawzajem.

Nigdzie na całym świecie, mimo szczyrych chęci, nie ujrzałybyś takiego okrucieństwa, jakie zapewniają te walki. Są jednym z naszych ulubionych sportów widowiskowych.

Podszedł tak blisko celi, że poczuła jego śmierdzący oddech.

– Wiesz, kto teraz wystąpi w przedstawieniu? – spytał.

Roześmiał się głośno.

– Nie myślałaś chyba, że umrzesz tutaj?

Odwrócił się, by odejść, ale w ostatniej chwili zatrzymał się i zmierzył ją wzrokiem.

– Przy okazji – powiedział – mam prezent dla ciebie.

Rzucił coś między kratami, co wylądowało na ziemi jej celi.

Caitlin spojrzała na to. Wyglądało, jak niewielki, srebrny naszyjnik. Jak jej naszyjnik.

– Chłopak wołał ciebie, kiedy umierał. Wyglądało na to, że bardzo cię polubił. Jaka szkoda, że nie było tam ciebie, by go ochronić – powiedział Kyle z prychnięciem, po czym odwrócił się i głośno stąpając, odszedł.

Caitlin wstrzymała oddech, kiedy się nachyliła i podniosła naszyjnik.

Przyjrzała się mu bliżej z nadzieją, że nigdy do niej nie należał.

Ale to był jej naszyjnik. Ten, który dała Jade'owi.

Kyle nie mógł w żaden sposób wejść w jego posiadanie, chyba że mówił

prawdę. Chyba że naprawdę zabił Jade'a.

Poczuła żal niepodobny do żadnego, jaki kiedykolwiek czuła. Skuliła się na środku podłogi i wybuchnęła płaczem, łkając. Jej zawodzenie poniosło się coraz wyżej, aż zmieszało się z wiwatami dochodzącymi z oddali.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Stała w srebrnych kajdanach przed wejściem do Koloseum. Zaciągnęły ją tu dwa wampiry, które przyszły wcześniej do jej celi, założyły łańcuchy na jej ręce i nogi, wyprowadziły w górę po schodach, potem w dół po rampie aż do tego miejsca. Teraz, kiedy już dotarła na wyższe kondygnacje, zeszła po rampie i naprawdę była w tym miejscu, rozejrzała się, a to, co zobaczyła wzbudziło jej podziw. I przerażenie.

Kiedyś była na meczu baseballu. Przypomniała sobie to uczucie, kiedy szła tunelem, pierwszy raz wspięła się na otwartą trybunę, kiedy cały stadion otworzył się przed nią i tysiące oczu spoczęło tylko na niej. Teraz czuła to samo.

Tylko bardziej intensywnie. Był największą i najbardziej przerażającą budowlą, jaką kiedykolwiek widziała.

Przed sobą zobaczyła rozległe rzymskie koloseum, ogromną arenę zbudowaną w całości z kamienia. Budulec rozpadał się i niszczał. Najwyraźniej swoje najlepsze dni miał już za sobą. Jednak ten wampirzy klan zdołał jakoś przywrócić go do życia. Nie wydawali się przejęci tym, że siedzieli na rozpadających się trybunach. Udało

się im również pokryć popadające w ruinę podłoże jakimś nowym, przeistaczając starożytny relikw w funkcjonujące ponownie Koloseum.

Na trybunach zasiadały dziesiątki tysięcy złowrogich wampirów. Spoglądały w dół i wiwatowały. Caitlin zaskoczyła głębokość Koloseum, które tonęło setki stóp poniżej poziomu ziemi, tworząc labirynt tuneli, pułapek i komór. Taras, którym przykryto te wszystkie konstrukcje, pokrywał piach i kurz unoszący się w obłokach, przysłaniając słoneczne światło. Jej dwóch strażników szturchnęło ją i zaczęło wlec do przodu ku wejściu, na główny plac.

Podniósł się ogromny ryk, kiedy pojawiła się na otwartej przestrzeni. Słońce paliło niemiłosiernie. Zmrużyła oczy przed oślepiającym światłem, próbując wziąć się w garść.

Strażnicy zdjęli z niej kajdany i ponownie mocno ją popchnęli. Wpadła na arenę i wylądowała, turlając się po ziemi.

Tłum wydał kolejny ryk.

Caitlin wstała na nogi i rozejrzała się powoli, przystosowując się do jasnego światła. Była sama. Tysiące złowrogich wampirów spoglądały na nią z trybun, potrząsając pięściami. Przeczesała wzrokiem trybuny i dostrzegła Kyle'a wysoko w górze, na specjalnym miejscu. Obok niego stała Wielka Rada, stare, niedołężne wampiry w czarnych szatach i kapturach.

Stojący w środku wampir wystąpił do przodu, wznosił dłonie, a tłumy ucichły.

– Drogie wampiry – powiedział i teatralnie zawiesił głos. – Niechaj rozpoczną się igrzyska!

Kolejny potężny ryk wstrząsnął całym Koloseum.

Caitlin usłyszała szcęk, potem kolejny. Spuściła wzrok i zobaczyła, że strażnicy rzucili jej pod nogi jakąś broń. Podniosła tarczę, miecz i włócznię, którą zatknęła za pas. Miała na sobie płócienną tunikę, prostą i szorstką w dotyku.

Nie mogła uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę. Te chore stworzenia rzeczywiście zgotowały jej powolną śmierć. W jakiś sposób zdołały wskrzesić okrutne, gladiatorskie walki, z których ludzie czerpali przyjemność wieki temu. Była słaba, dezorientowana i zrozpaczona. Zastanawiała się, jak w ogóle ma to przetrwać.

Zanim jeszcze dobrze zdołała chwycić broń, w jej kierunku rzucił się tuzin ogromnych, muskularnych wojowników, ubranych w pełne stroje bojowe i dzierżących groźną broń.

Kiedy się zbliżyli, Caitlin wyczuła, że byli ludźmi. Mimo to i tak wyglądali na potężnych wojowników, ich blizny mówiły za siebie. Wyglądało też na to, że walczyli wiele razy. I przeżyli.

Natarli wprost na nią, wyrzaskując bitewne okrzyki, najwyraźniej domagając się krwi.

Caitlin skupiła uwagę, skoncentrowała się. Spróbowała przypomnieć sobie wszystko to, czego nauczył ją Aiden, wszystkich technik, które poznała na Pollepel. Spróbowała oddychać powoli, odnaleźć spokój w środku nawałnicy.

Czekała, jak dobrze zdyscyplinowany wojownik. Kiedy dotarli w jej pobliże, nagle skoczyła w powietrze, znacznie powyżej ich możliwości, wykonała salto nad ich głowami i wylądowała zwinnie za nimi. Odwróciła się z zamachem i trzem z atakujących odcięła głowy.

Inni biegli dalej. Wpadli w tuman kurzu i poprzewracali jeden drugiego.

Tłum zawył z zaskoczenia i zachwytu.

Pozostali wojownicy odwrócili się i zmierzili ją wzburzonym wzrokiem.

Zaatakowali powtórnie.

Tym razem została na ziemi i podjęła walkę. Parowała ich ciosy jeden po drugim.

Byli silni i kiedy jeden z ich mieczy opadł na jej tarczę, poczuła, jak to uderzenie wstrząsnęło całym jej ciałem.

Lecz nadal dzielnie odpierała ataki. Przecież była od nich wszystkich szybsza i zwinniejsza. I była wampirem.

Po pierwszym starciu potyczka była z góry przesądzona. Jej rywale byli ludźmi i jak ludzie umierali. Byli prawdopodobnie pierwszą próbą, w której Wielka Rada zapewniła jej rozgrzewkę i sprawdzała, jak poradzi sobie z falą wojowników. Zaliczyła kilka nacięć i siniaków, ale nic na tyle poważnego, by powalić ją na ziemię.

Po kilku minutach z wojowników został jedynie stos ciał.

Stała w zwycięskiej pozie, a tłum ucichł. Potem skoczył na nogi i zawył.

Nawet z takiej odległości Caitlin dostrzegła, że Kyle oraz Rada nie byli z tego zadowoleni.

– Wpuścić lwy! – wrzasnął przewodniczący Rady.

Odezwały się ryki aprobaty, a Caitlin z nadzieją pomyślała, że może nie chodziło o to, co usłyszała.

Ku jej zgrozie, tak właśnie było. Nagle otworzyło się boczne pomieszczenie i na scenę wbiegło dziesięć lwów. Natychmiast ruszyły na nią. Były to potężne samce, szybsze ponad wszelkie jej wyobrażenie, z długimi pazurami i obnażonymi kłami. Z każdym krokiem nabierały coraz większego rozpędu.

Caitlin sięgnęła do pasa, wyjęła krótką włócznię i cisnęła w lwa biegnącego na przedzie.

Oddała celny rzut prosto między oczy. Lew padł.

Ale inne nie przestały nacierać. Skoczyła wysoko w powietrze, kiedy jeden gotów był na nią skoczyć. Jednak ona poleciała wyżej. W locie dobyła krótkiego miecza i zatopiła go w jego grzywie, tuż za karkiem. Kolejny lew padł na ziemię.

Wylądowała na grzbiecie innego lwa, sięgnęła w dół i poderżnęła mu gardło.

I oboje padli na ziemię.

Kolejny lew skoczył na nią od tyłu i przewrócił ją, zdrapując skórę boleśnie z pleców.

Będąc na ziemi, odwróciła się szybko i odcięła mu łeb swoim mieczem.

Inne lwy również na nią skoczyły, ale była dla nich za szybka. Zaliczyła wiele zadrapań i małych ran spowodowanych przez ich kły, ale używając miecza zdołała, po długiej i zacieklej walce, powalić resztę na ziemię.

I znów tłumy odezwały się rykiem podziwu.

Spojrzała w górę i zauważyła, że Kyle oraz sędzia byli wściekli, jak mało kiedy. Wyglądało na to, że nie spodziewali się, iż Caitlin zajdzie aż tak daleko.

Przewodniczący Rady zwrócił się do Kyle'a, a ten skinął głową z powagą.

Następnie sędzia wyciągnął przed siebie kciuk i skierował go w dół.

W tej samej chwili otworzyły się ogromne, metalowe drzwi i na scenę wkroczył pojedynczy wojownik.

Miał na sobie czarną zbroję i czarny hełm, w dłoniach zaś trzymał miecz i tarczę.

Caitlin wyczuła, pomimo dzielącej ich odległości, że wojownik nie był

człowiekiem. Był wampirem i to mocarnym. Przeraził ją bardziej niż cała reszta.

Co więcej, wyczuła też, że nie był to jakiś zwyczajny wampir. Był kimś, kogo dobrze znała. Nawet stąd to wyczuwała.

I wtem ją oświeciło: to Blake.

Blake.

Podniósł przyłbicę i spojrzał na nią. Na jego widok twarz Caitlin wykrzywił

żał.

A więc, zdała sobie sprawę, że to prawda. Oszukał ją jednak.

Blake potrząsnął głową.

– Caitlin! – wrzasnął. – Nie zdradziłem cię. Mnie również pojмали.

Przyrzekam. Nie sprowadziłem ich do ciebie.

– To dlaczego stajesz tutaj gotowy walczyć ze mną? – zawołała Caitlin.

– Zmusili mnie do tego – odkrzyknął. – Ale nie będę z tobą walczyć. Już im to powiedziałem.

Podszedł na środek sceny, spojrzał na Kyle'a i sędziów, po czym odrzucił

tarczę, hełm i miecz.

– NIE będę z nią walczył! – wrzasnął do nich.

Tłumy zawyły z niezadowolenia.

Taki obrót spraw zaszokował Caitlin. Czy to był tylko kolejny podstęp? Czy czekał tylko, by jeszcze raz ją zwieść? A może myliła się co do niego przez cały ten czas? Może cały ten czas pozostał jej wierny? Teraz nie była tego taka pewna.

Sędzia wstał.

– Jeśli nie będziesz z nią walczył, poniesiesz niewyobrażalną śmierć! –

krzyknął. – Wybieraj!

– Zabijcie mnie, jak wam się podoba – odkrzyknął. – Nigdy nie będę z nią walczył!

Tłumy ponownie zawyły, a sędzia skinął na strażników.

Nagle poczuła, jak kilku strażników zakuwa ją od tyłu w srebrne kajdany, przeciw którym była zupełnie bezradna, i odciąga ją z głównej sceny. Zaryła stopami w ziemi, próbując się opierać, ale bez większego efektu. Odprowadzili ją do prowizorycznej celi, stojącej dalej na uboczu.

Patrzyła na Blake'a, który stał wyzywająco w miejscu. W tej chwili zdała sobie sprawę, że to nie był żaden podstęp. Nigdy jej nie zdradził. Co więcej, był

gotowy poświęcić dla niej życie.

Co gorsza, to ona wciągnęła go w ten bałagan: gdyby nie wyruszył z nią wypełnić jej misji, byłby teraz bezpieczny w swoim domu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak źle. I nie była tak wściekła na samą siebie za wyciąganie pochopnych wniosków. Za to, że zawsze zakładała najgorsze. Dlaczego nie potrafiła uwierzyć mu na słowo?

Stojąc zakuta w kajdany w swoim zamknięciu, pozbawiona wszelkiej nadziei, nagle zauważyła, jak otworzyły się jedne z bocznych drzwi Koloseum i wypadły z nich dwa tuziny najbardziej zajadłych wampirów, jakie kiedykolwiek widziała. Pędząc na koniach, ruszyli wprost na Blake'a.

Blake obrócił się i skoczył po swój miecz i tarczę.

Stanął im na drodze, przygotowany stoczyć ostatnią bitwę.

Wpadli na niego w pełnym galopie, zadając ciosy z każdej strony. Walczył

dzielnie i powalił kilku z koni. Wkrótce większość była już na własnych nogach i natarli na niego ze wszystkich stron. Walczył, jak przystało na uzdolnionego wojownika, zabijając dwóch jednym uderzeniem miecza.

Jednak ich przewaga liczebna dawała się mu we znaki. Caitlin obserwowała z bolącym sercem, jak słabł, odnosząc coraz więcej ran. Tej bitwy nie mógł

wygrać.

Nagle dotarła do niej niesprawiedliwość tego wszystkiego. Poczwała jak wzbiera w niej gniew, jak ogarnia ją fala gorąca, wznosi się od stóp w górę po całym ciele. Poczwała, jak przepelnia ją nieprzeciętna moc. Siłą woli zebrała w sobie siły, jakich nigdy wcześniej nie miała, sięgnęła do tyłu i jednym potężnym ruchem rozerwała kajdany.

Przeskoczyła mur, chwyciła broń i popędziła do Blake'a.

Thum zawył z zachwyty, skacząc na nogi.

Caitlin zaatakowała grupę wampirów, zataczając wokół nich krąg. Jeden z grupy, nadal dosiadający konia, miał już wbić miecz w Blake'a od tyłu, ale Caitlin wycelowała i cisnęła w niego włócznią; ostrze przebiło jego kark i wampir padł na ziemię martwy.

Thum zawył.

Chwyciła miecz powalonego wampira, wskoczyła na jego konia i zaszarżowała na pozostałych, wymachując mieczem po drodze.

A każdą chwilą narastał w niej szal, aż poczuła w sobie pierwotną siłę, której nigdy jeszcze nie doświadczyła. Atakowała, wymachując mieczem, zadając ciosy, dźgając, niczym siejąca spustoszenie nawałnica.

W kilka chwil udało jej się zabić kilka wampirów otaczających Blake'a.

Zsiadła z konia i przyłącza się do niego.

Stali tyłem zwróceni do siebie, walcząc z niewielką grupą pozostałych wampirów.

Rozzuchwalony tym Blake zdołał zabić walczącego z nim wampira. Caitlin zabiła kolejnego i skupiła się na pozostałej dwójce.

Zaatakowała jednego, zadając mu cios w serce, ale tym samym wystawiła się nierozważnie na atak. Drugi wampir runął na jej odsłonięte plecy z mieczem wymierzonym w jej nerkę. Caitlin zauważyła to, ale nie miała już czasu na reakcję. Wiedziała, że już za późno, i że z pewnością umrze.

Zebrała się w sobie, przygotowując na okropny ból – lecz ku jej zdziwieniu, ból nie nadszedł. Zamiast tego usłyszała przeraźliwy krzyk. Obejrzała się i zobaczyła Blake'a. Stał na drodze ostrzu i przejął na siebie cios. Wampir dźgnął go zamiast niej, prosto w serce.

Caitlin podskoczyła i odrąbała wampirowi głowę. W tej samej chwili, jej bransoletka, ta, którą kupił jej Blake, spadła z jej nadgarstka prosto na ziemię.

Również wówczas na ziemię padł wampir, ostatni z walczących – martwy.

Blake osunął się na kolana. Umierał.

Kiedy upadł na ziemię, Caitlin złapała go i ułożyła delikatnie. Podniosła dłoń i spróbowała wyciągnąć miecz z jego serca, ale stęknął z bólu, więc pozostawiła go na miejscu.

Złożyła jego głowę w swoich dłoniach i uklękła nad nim, płacząc.

– Chcę, żebyś wiedziała – powiedział z wysiłkiem, brocząc z ust krwią – że nigdy cię nie zdradziłem.

– Wiem – odparła przez łzy Caitlin. – Blake, tak mi przykro.

Skinął głową, po czym uśmiechnął się do niej słabo, z krwią na ustach.

– Kocham cię – powiedział. – Zawsze będę cię kochać.

Złożył dłoń w jej ręce, wrzucając coś do nich, a potem zamknął oczy i umarł.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że był to kawałek morskiego szkła. Ten z Pollepel.

Odchyliła się i zawyla. I był to przeraźliwy jęk żalu. Nigdy wcześniej nie czuła się tak rozdarta. Dałaby wszystko, żeby ten miecz uderzył w nią zamiast w niego.

Thum, zszokowany na początku, wybuchnął nagle rykiem entuzjazmu i aprobaty.

– CAITLIN! CAITLIN! – zaczęli skandować. Ich okrzyki i tupanie zatrzęsło całą budowlą. Najwyraźniej nie takiej reakcji spodziewali się Kyle i sędziowie.

Wstali i opuścili swój balkon w pośpiechu, przerywając tym samym igrzyska tego dnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Caitlin biegła. Była na polu usłanym kwiatami sięgającymi jej do pasa, iskrzącymi się we wszystkich możliwych kolorach. Był jasny dzień, słońce stało w zenicie, a w oddali czekał jej ojciec.

Kiedy biegła, kwiaty przeistoczyły się w miecze, wszystkie wbite w ziemię, a ich końce sterczały i drgały na wietrze. Pobiegnęła między

nimi, wytyczając szlak, kierując się ku ojcu.

Tym razem nic nie stało im na drodze. Biegła, wciąż biegła, a on był coraz bliżej. Biegła z całych sił i wkrótce była w jego ramionach.

Nie mogła w to uwierzyć. Naprawdę była w jego ramionach.

Przytulił ją, a ona poczuła jego siłę przepływającą przez jej ciało. Był to uścisk ojca, który ją kochał, którego zawsze chciała mieć. Chciała wyciągnąć szyję i spojrzeć na jego twarz, ale była zbyt szczęśliwa, będąc w jego objęciach.

– Jestem z ciebie bardzo dumny – powiedział ponad jej ramieniem. Jesteś prawdziwą córką swego ojca.

Uśmiechnęła się, czując się całkowicie pogrążoną w jego ciepło.

– Kiedy cię zobaczę? – zapytała.

– Jutro – odparł stanowczo.

Odsunął ją od siebie i bacznie jej się przyjrzał. Żar płonący w jego oczach przeszył jej ciało. Były niczym dwa gorejące słońca, wpatrujące się w nią z taką intensywnością, że niemal musiała odwrócić wzrok.

– Jutro. Jutro będziemy razem, na zawsze.

Usiadła wyprostowana, ciężko oddychając.

Rozejrzała się wokół i uświadomiła sobie, że to był tylko sen. Była z powrotem w swojej celi.

To wszystko było takie rzeczywiste. Czowała, jakby jej ojciec był razem z nią, tu, w tym pomieszczeniu. Nadal czuła jego ciepło, rozcierając ramiona i barki.

Co oznaczał ten sen? Tak bardzo różnił się od pozostałych. Nigdy wcześniej nie miała podobnego snu.

Jutro go spotka. Czy to oznaczało, że nadszedł jej ostatni dzień na ziemi? Że przejdzie na drugą stronę, zobaczy się z nim w niebie?

Wróciła myślami do poprzedniego dnia, do zażartej walki. Wstała, powoli rozprostowała kości, i poczuła ból w całym ciele. Była pokryta zadrapaniami i siniakami, ranami, które u wampira szybko powinny się zagoić. Jej rany jednak były głębokie: cięcia zadane mieczem, nakłucia pozostawione przez puklerz, rany od ugryzień lwa. Była w oplakany stan. Samo przejście przez celę

sprawiało jej ogromny ból. Nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby przetrwać kolejny dzień walki.

Ponad wszystko jednak, za każdym razem, kiedy pomyślała o Blake'u, bolało ją serce. Przypomniała sobie jego straszliwe ostatnie chwile, kiedy poniósł śmierć z rąk wampirów. Jego umieranie na jej rękach. Jego ostatnie słowa. Czowała, jakby sama umarła.

Tak bardzo myliła się co do niego. Powinna wcześniej ruszyć mu z pomocą, by go ochronić. Teraz obwiniła za to siebie. I żałowała, że cios zadany mieczem nie dosięgnął jej.

Podniosła wzrok, kiedy nagle pojawiło się kilku wampirzych strażników z przygotowanymi dla niej srebrnymi kajdanami. Otworzyli srebrne drzwi jej celi.

Wiedziała, że w ciągu kilku chwil stanie tam z powrotem, by wziąć udział w drugiej rundzie.

Pomyślała o ojcu, o tym, że wkrótce będą razem. Przynajmniej to było jej pociechą. Być może, wkrótce wszystko to miało się skończyć.

*

Przystanęli w tunelu wyjściowym. Strażnicy rozkuli ją, po czym weszła swobodnym krokiem na arenę Koloseum. Tym razem nie potrzebowała zachęty.

Ochoczo powitała dzień, kolejną walkę, by w końcu spotkać swe przeznaczenie.

Była zmęczona, bardzo zmęczona. Straciła wszystkich, których kochała. Sama.

Caleba. Blake'a. Swego ojca. Różę. Jade'a... Jej krzywda wydawała się nie mieć końca.

Była znużona próbami zatrzymania wszystkich przy sobie. Jeśli dziś miał

być ostatni dzień jej życia – a czuła, że tak właśnie było – była gotowa. Chciała odejść z klasą. Zamierzała sprawić tym wszystkim okropnym wampirom widowisko, jakiego się domagali i walczyć z zacięłością, na jaką nigdy wcześniej nie było ją stać.

Kiedy wyszła na środek Koloseum, tysiące wampirów wstało z siedzeń i zaczęło skandować jej imię: CAITLIN! CAITLIN!

Podniosła wzrok i dostrzegła sędziego na swoim wywyższeniu, obok niego zaś Kyle'a. Obaj patrzyli na nią z gniewną miną.

– A teraz – wrzasnął sędzia – słonie!

Podniósł się ogromny ryk. Po drugiej stronie Koloseum otworzyły się nagle wielkie wrota.

Caitlin nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. W jej stronę pędziło, w jednym rzędzie, stado słońi. Naliczyła sześć sztuk. Ziemia trzęsła się z każdym ich krokiem.

Zwierzęta uniosły głowy i zaryczały. Sam ten dźwięk niemal pozbawił ją słuchu.

Podeksytowany tłum zaczął zagrzewać je do walki.

Na każdym słońiu jechał bestialski wampir. Nie były to jednak zwykłe wampiry – były większe niż inne, miały na sobie czarną zbroję zakrywającą ich od stóp do głów i groteskowe maski na twarzach. W dłoniach trzymali długie miecze, dziryty, kusze i wszelkiego rodzaju broń.

Caitlin spuściła wzrok, popatrzyła na swój żaloszny miecz i tarczę i uświadomiła sobie, że jej szanse okropnie zmalały. Nie miała nawet co liczyć na uczciwą walkę.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Próbowwała pozostawić ten świat za sobą, wprowadzić się w stan, w którym walka oznaczała powstrzymanie się od działania. Próbowwała przypomnieć sobie wszystko, czego uczył ją Aiden.

W obliczu przewyższającej cię siły, nie stawiaj oporu. Wykorzystaj siłę twojego przeciwnika przeciwko niemu samemu.

Spróbowała odciąć się od hałasu, od całego tego zamieszania. Siłą woli skupiła się na najbliższym słońiu szarżującym wprost na nią.

Jadący na nim wampir wychylił się i wycelował w nią dziryt.

Udała, że tego nie zauważyła i chwilę później dziryt pomknął w powietrzu.

W ostatniej sekundzie Caitlin wykręciła się, pozwoliła, by broń wbiła się w ziemię obok niej.

Niewiele brakowało. Tłumy zareagowały okrzykiem rozczarowania.

Obróciła się, wyciągnęła dziryt z ziemi i padła nisko na kolana.

Słoń był już bardzo blisko i kiedy podniósł nogę, by ją stratować, Caitlin zatknęła koniec broni w ziemi, a ostrze wycelowała ku górze – i zeszła z drogi.

Powietrze wypełnił przeraźliwy kwik słońia, kiedy nadepnął na dziryt. Jego ryk zatrzęsł całą areną, kiedy dziryt wbił mu się głęboko w stopę.

Słoń zwałił się na kolana z potężnym łoskotem, a jego jeździec poleciał w powietrze głową w przód ku ziemi. Upadając brzuchem, słoń przygniół swojego jeźdźca.

Pozostałe słonie pędzące za nim nie zdążyły zatrzymać się w porę.

Wszystkie wpadły na swego kompana, przewracając się na ziemię i przetaczając na różne strony. Ich jeźdźcy wylecieli w powietrze.

Tłum zawył.

Caitlin skorzystała z zamieszania. Chwyciła dziryt i cisnęła nim, przeszywając gardło jednego z wampirów.

Skoczyła na słonia, wyrwała miecz z dłoni jego zdezorientowanego właściciela i ścięła mu głowę.

Skakała ze słonia na słonia, odnajdując po kolei wszystkie wampiry i atakując je mieczem.

Po kilku chwilach, niemal wszystkie były już martwe. Były zbyt wstrząśnięte, aby na czas zareagować.

Oprócz jednego, który zdołał uniknąć jej uderzenia. Wywinał się i walnął ją mocno w tył głowy swoją tarczą.

Padając na twarz, poczuła ból w całej głowie.

Dźgnął dzirytem prosto w jej szyję, ale zdołała wywinąć się i w porę zejść z drogi.

Odchyliła się i z całej siły kopnęła go prosto w krocze, a kiedy opadł na klęczki, przesunęła się na bok i z całej siły kopnęła go w twarz. Wampir padł na ziemię.

Skoczyła na nogi, uniosła miecz i zanim zdążył wstać, skróciła go o głowę.

Zaszokowany tłum pozostał przez chwilę w zupełnej ciszy.

Po czym, wszyscy jak jeden skoczyli na nogi, wykrzykując jej imię.

Oburzony sędzia również skoczył na nogi.

– WPUŚCIĆ OLBRZYMA! – wrzasnął.

Nie zdążyła zaczerpnąć tchu, a otworzyły się kolejne wrota i na arenę wpadł

potężny olbrzym.

Tłum zawył.

Caitlin otworzyła oczy szeroko z niedowierzania. Nigdy jeszcze nie widziała takiego potwora. Stworzenie miało przynajmniej sto stóp wzrostu i, podobnie jak u Cyklopa, miało jedno oko pośrodku głowy. Nawet w wyobraźni nie przypuszczała, że takie stworzenia mogły chodzić po ziemi. Dostrzegła mięśnie stwora przeżące się we wszystkie strony.

Odchylił łeb i zaryczał, a Koloseum zatrzęsło się: jego ryk, jeśli w ogóle to było możliwe, był jeszcze bardziej donośny od słoni.

Caitlin przełknęła ślinę. Nie miała pojęcia, jak walczyć z takim stworzeniem.

Zanim zdążyła zareagować, olbrzym zrobił jeden ogromny krok w jej kierunku z zaskakującą szybkością, zamachnął się dłonią w dół i pacnął ją.

Caitlin odrzuciło w poprzek areny na dziesiątki stóp. Uderzyła w mur i poczuła, że pozbawiło ją to tchu.

Tłum zaryczał.

Była na ziemi. W głowie czuła rozdzierający ból. Próbowwała złapać oddech.

Nadal była w szoku, że coś tak wielkiego potrafiło poruszać się z taką szybkością.

Olbrzym zamachnął się ponownie i skierował swoją pięść ku niej, gotowy zmiażdżyć ją na miejscu.

W samą porę przeturlała się w bok, schodząc mu z drogi. Jego cios wyrzył

ogromną dziurę w ziemi w miejscu, w którym utkwiała jego pięść.

Przeturlała się dalej, chwyciła miecz i jednym, szybkim ruchem cięła olbrzyma po nadgarstku, zanim jeszcze zdążył wyrwać pięść z dziury.

I zadziało: udało jej się odrąbać mu dłoń.

Olbrzym odchylił się i zawył. Z jego ręki trysnęła krew i niczym rzeka obryzgała całą Caitlin i widownię. Wampiry, zamiast strwożyć się na ten widok, wydawały się napawać nim, nawet zaczęły chleptać opadającą na nich krew.

Olbrzym ruszył za Caitlin w szale, chcąc się zemścić. Ale za bardzo zaślepił

go gniew. Nie był w stanie jasno myśleć. Machał zamasyście swoją wolną ręką na prawo i lewo, za każdym razem mijając się z celem.

Caitlin ruszyła biegiem w kierunku długiej włóczni, która leżała w oddali.

W końcu dopadła ją, chwyciła, przetoczyła na bok, unikając kolejnego ciosu olbrzyma, odchyliła się i z całych sił cisnęła, celując dokładnie w jego oko.

Rzut okazał się celny. Włócznia przebiła oko olbrzyma i wyszła z drugiej strony głowy.

Olbrzym znieruchomiał na chwilę. Potem runął w bok na ziemię, niczym potężne drzewo. Uderzył w ziemię, trzęsąc całym Koloseum z taką siłą, że wampiry pospadały z siedzeń.

Tłum oszalał. Skoczył na nogi, rycząc i wyjąc.

– Wywalczyła prawo łaski! – zaczęli wołać zgromadzeni. – Uwolnić ją.

Uwolnić!

Po trybunach poniósł się potężny okrzyk aprobaty.

Sędzia jednak nie uległ. Zamiast tego spojrział na Kyle'a, który skinął głową.

Potem wstał. Tłum ucichł.

– Wprowadzić ostatniego wojownika! – krzyknął.

Caitlin była już strasznie zmęczona. Brakowało jej tchu. Była też dezorientowana. Nie potrafiła sobie wyobrazić, czego jeszcze mogli użyć przeciwko niej. Była pewna, że cokolwiek to było, nie miała już energii, by się z tym zmierzyć.

Otworzyły się drzwi i na arenę wyszedł pojedynczy wojownik, mężczyzna mniej więcej jej postury, jej wzrostu, wyglądający bardzo podobnie do niej. Miał

na sobie ciemną, dopasowaną zbroję, a w rękach dzierżył lśniący miecz i tarczę.

Pod podniesioną przyłbicą z łatwością dostrzegła jego twarz.

Wiedziała, że oto stanął przed nią jedyny wojownik, którego nigdy nie mogłaby zabić.

Naprzeciwko niej stał jej brat – Sam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Serce Caitlin przepelniały mieszane uczucia.

Sam. Jej młodszy brat. Tutaj. W przeszłości. W Rzymie. W Koloseum, ze wszystkich możliwych miejsc. Z jednej strony zachwycał ją jego widok.

Z drugiej zaś – stał tam, w bitewnym stroju, patrząc na nią spod łąba, z bronią w ręku. A wyraz jego twarzy mówił wyraźnie: chciał zabijać. Jak to było możliwe?

Jak do tego doszło? Co oni mu zrobili?

Wyczuła, nawet z tak wielkiej odległości, że był wampirem. Spróbowała wyczuć, jakimi uczuciami ją darzył, ale wrażenie było niejasne. Jakby rozmyślnie blokował jej próby.

Czuła smutek, ponad wszystko inne. Czuła się zdradzona. Zdezorientowana.

Czy nie wystarczyło, że zniszczył cały jej świat w dwudziestym pierwszym wieku? Czy musiał cofnąć się w czasie i nadal utrudniać jej życie?

I to po wszystkim, co dla niego zrobiła. Przez całe życie zajmowała się nim, była osobą, do której zawsze mógł się zwrócić. Zawsze starała się mu pomagać, wybawiać z kłopotów.

Czy naprawdę do tego to się sprowadzało? Czy naprawdę nienawidził swojej siostry aż tak bardzo, by ją zabić? A może cały czas był jeszcze w amoku? Pod wpływem zaklęcia tego złowrogiego klanu?

– Sam! – wrzasnęła. – To ja! Caitlin. Twoja siostra!

Miała nadzieję, że usłyszawszy jej słowa, Sam dojdzie do siebie, rozpozna ją, otrząśnie się i złoży broń.

– Nie chcę z tobą walczyć! – wrzasnęła. – Nie skrzywdzę cię!

Tłum zawył z niezadowolenia.

Sam podszedł na środek, coraz bliżej niej. Jednak zamiast porzucić broń, zgodnie z jej oczekiwaniem, opuścił przyłbicę z trzaskiem, po czym uniósł

miecz i tarczę.

Tłum zaryczał z aprobatą. Nawet Kyle się uśmiechnął.

Serce Caitlin waliło mocno. Naprawdę nie chciała skrzywdzić swego młodszego brata.

Zanim zdążyła pomyśleć, zdecydować, co ma robić, zobaczyła, jak Sam rzucił się do ataku.

Ciał mieczem w dół z piekielną prędkością i Caitlin z ledwością zdołała zejść mu z drogi.

Tłum zaryczał.

– Sam! – krzyknęła zdesperowana i przerażona. Bała się, że ją zrani – ale jeszcze bardziej tego, że może zostać zmuszona do zranienia jego. – Posłuchaj mnie! Proszę!

Jednak Sam zadał kolejny cios. Uchyliła się i ledwie uniknęła cięcia. Był

szybszy niż myślała, i niesamowicie silny.

Kiedy natarł na nią serią ciosów, podniosła tarczę. Zablokowała je, ale poczuła, jak odepchnęły ją w tył, coraz dalej i dalej. Nie potrafiła zmusić się do oddania ciosu. Jego uderzenia były niespodziewane, takie mocne, że całkowicie wytrąciły ją z równowagi.

Potknęła się i upadła na ziemię. Tłum zaryczał, skacząc na nogi i czując krew.

– ZABIJ JA! – ryczał tłum na stojąco.

– Podajcie mi włócznie! – krzyknął Sam.

Zaskoczył ją głos młodszego brata. Był taki głęboki, taki mroczny. Był

głosem dorosłego mężczyzny.

Kyle skinął głową strażnikowi, który podbiegł do Sama i wręczył mu ogromną, złotą włócznie.

Caitlin wykorzystała tę chwilę, by stanąć na nogi, przyjąć bezpieczną pozycję i rozważyć dalsze kroki.

Co niby miała zrobić? Zabić własnego brata?

Nie. Nie mogła tego uczynić. Była znużona walką. I jeśli nawet własny brat chciał ją zabić, to po cóż miałyby jeszcze żyć?

Spojrzała na niego, ostatni raz mając nadzieję, że się opamięta, że zauważy, że to jego siostra.

I wówczas wypuściła miecz z dłoni. I włócznie. I zamknęła oczy.

Stała bezbronna, na widoku, wystawiona na cel.

Sam zmierzył ją wzrokiem i powoli uniósł ciężką, złotą włócznie.

– ZABIJ! ZABIJ! – skandował tłum.

Caitlin otworzyła oczy.

W tej jednej chwili odczuła wszystko jak w zwolnionym tempie. Dostrzegła każdy szczegół, usłyszała każdy najmniejszy dźwięk. Cały świat wokół niej powoli przycichł. Poczowała powiew wiatru na skórze, zauważyła blask słońca.

Miała silne przeczucie, że nadeszły jej ostatnie chwile na Ziemi.

I nie mogła się już tego doczekać. W końcu miała zobaczyć ojca. To był

sposób, by go spotkać, pomyślała. Posłana własnoręcznie przez jego syna a mojego brata.

Sam cofnął się o krok, odciągnął rękę w tył i, nagle, cisnął włócznię.

Otworzywszy oczy, zaszokowana Caitlin śledziła dalszy rozwój wydarzeń.

W ostatniej sekundzie Sam obrócił się na pięcie i rzucił włócznię nie w nią –

ale raczej wyżej, w widownię.

Prosto w Kyle'a.

Wszystko to stało się tak szybko, tak niespodziewanie, że Kyle nie miał

czasu na reakcję.

Zanim zdążył zejść z drogi, włócznia przeszła mu ramię i poleciała dalej, ku sercu sędziego. Obaj wrzasnęli, złączeni jeden z drugim.

Cała widownia skoczyła na nogi, zszokowana i oburzona zarazem.

– Zabić ich! – wrzasnął Kyle.

Zanim jednak ktokolwiek zdążył zareagować, niebo ogarnął mrok.

Setki wampirów nadleciały nagle nad Koloseum.

Caitlin nie musiała patrzeć w górę, by wiedzieć kto to.

Wysoko na niebie, prowadząc wszystkich, szybował Caleb. U jego boku frunęli Samuel, Aiden, Polly i setki pozostałych.

Caleb nie marnował czasu. Zanurkował dokładnie w stronę Kyle'a, chwycił

go za gardło i, mocując się z nim, poleciał w dół na trybuny.

Setki pozostałych wampirów również opadły z nieba, gotowe zmierzyć się z wielotysięcznym tłumem. Rozpętała się totalna bitwa. Rozgorzała walka wręcz.

Sam podbiegł do Caitlin, zdejmując hełm.

– Mam nadzieję, że rozumiesz – powiedział. – Musiałem ich jakoś przechytryć. Zaskoczyć. Nigdy nie chciałem cię zranić. Ale to był jedyny sposób. Jestem tu, w przeszłości, ponieważ cię kocham. I jest mi przykro.

Rzucili się sobie w ramiona.

Lecz nie mieli czasu do stracenia. Z widowni wylewały się tysiące wampirów, nacierając na nich.

Sam odwrócił się do niej. – Możesz jeszcze latać?

Skinęła głową i razem wzniesli się w powietrze, wyżej ponad bitewną wrzawę i wampiry, które ruszyły na nich z atakiem.

Kiedy przelatywali nad trybuną, minęli Kyle'a mocującego się wciąż z Calebem.

Caleb miał przewagę, ale pośliznął się w pewnej chwili. Kyle wykorzystał to i chwycił miecz z zamiarem przebicia go.

Sam i Caitlin zanurkowali. W samą porę. Caitlin wytrąciła Kyle'owi miecz z rąk kopniakiem, po czym kopnęła go mocno w twarz, posyłając w powietrze, aż nakrył się nogami.

Sięgnęła w dół i chwyciła Caleba.

– W porządku?

Spojrzał na nią.

– Caitlin – powiedział z wybałuszonymi oczyma. – Już wiem. Wiem, kim jesteś. Wszystko pamiętam – i uściskał ją mocno. – I przepraszam.

W jednej chwili zrobiło się jej ciepło na sercu i objęła go ramionami.

Odsunęła go od siebie i spojrzała z przejęciem.

– Wiem, gdzie jest – powiedziała. – Tarcza.

Sam i Caleb stłoczyli się blisko niej z szeroko otwartymi oczyma, pragnąc usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Chodźcie za mną – powiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Caitlin, Caleb i Sam szybowali nad Rzymem, spiesząc się, by jak najprędzej pokonać krótką odległość dzielącą Koloseum od Watykanu. Caitlin nigdy jeszcze nie była w Watykanie, więc leciała

w ślad za Calebem. Obawiała się przez chwilę, że Caleb z nią nie polecą. Nie chciał opuszczać Koloseum; był

zdecydowany rzucić się w dół i odszukać Kyle'a w tłumie, wziąć odwet za Jade'a. Ale Caitlin ubłagała go, by zaczekał z tym do następnego razu.

Przekonała go, że naraziłby ich wszystkich na niebezpieczeństwo, gdyby wdał

się w walkę z tymi tysiącami wampirów, i że nigdy nie osiągnęliby tego, co dla całej ich rasy było najważniejsze: nie znaleźliby Tarczy. W końcu, niechętnie, przyznał jej rację.

Kiedy wyminęli zakręt ich oczom ukazał się Watykan. Caitlin zamurowało.

Spodziewała się, że będzie to coś w rodzaju pojedynczego budynku. Była zaskoczona, kiedy zobaczyła, że Watykan był w istocie normalnym miastem.

Mając przed sobą widok z lotu ptaka, dostrzegała kolejne budynki, nad którymi górowała potężna kopuła Bazyliki Świętego Piotra. Z zapartym tchem śledziła jej ogrom.

– Będziemy musieli wylądować przy głównym wejściu – powiedział Caleb.

– Watykan jest silnie strzeżony przez wampiry. Nie wejdiesz, ani nie wyjdiesz bez ich zgody. To najstarszy i najpotężniejszy klan wampirów na świecie. Nikt nigdy nie próbował ich zaatakować, nawet ludzie Kyle'a. I, prawdopodobnie, nikt nigdy tego nie zrobi. Strzegą wampirzych relikwii i tajemnic, jakich świat nie widział.

– Posiadają też broń niespotykaną nigdzie indziej. Jeśli pojawimy się u ich drzwi i nie dostaniemy pozwolenia, równie dobrze będą mogli zabić nas na miejscu. Nikt nie puka do ich drzwi bez ważnego powodu. Wpuszczą nas jedynie wtedy, gdy dostrzegą w tobie jednego ze swoich, członków ich klanu. A to zależy będzie od tego, kim był twój ojciec. Miejmy taką nadzieję.

Caitlin wyczuła za sobą czyjaś obecność, a kiedy się odwróciła, zobaczyła na horyzoncie czarny rój. Setki wampirów Wielkiej Rady ruszyły w pogoń za nimi.

Caitlin zauważyła na ich czele Kyle'a. Krew ciekła z jego ręki i patrzył na nią gniewnie.

– Wygląda na to, że mamy towarzystwo – powiedziała.

Caleb i Sam odwrócili się, zmarszczyli brwi.

– Nie ma czasu do stracenia – powiedział Caleb.

Całą trójką zanurkowali ostro w powietrzu, wprost ku wejściu do Watykanu.

Podbiegli do wielkich głównych wrót, które nagle otworzyły się przed nimi.

Z wnętrza wyszedł niski, starszawy człowieczek w białym okryciu i kapturze na głowie.

Ściągnął kaptur i spojrzał na nich żarzącymi się, jasnozielonymi oczami.

Zmierzył ich wzrokiem, po czym zrobił krok w kierunku Caitlin.

– Przybyłaś – powiedział do niej.

Było jasne, że spodziewał się jej. Cała trójka z ulgą wymieniła między sobą spojrzenia.

Mężczyzna odwrócił się, a oni podążyli za nim do środka, po czym zamknął

za nimi drzwi.

Sekundę później usłyszeli walenie do drzwi pozostałych wampirów, którzy chcieli dostać się do środka.

Caitlin, Caleb i Sam odwrócili się na pięcie, gotowi do walki.

– Nie trwóście się – powiedział spokojnie mężczyzna. – Zwykle wampiry są bezradne wobec tego budynku.

Caitlin spojrzała w górę i zobaczyła wampiry próbujące przelecieć ponad murem i wylądować po jej stronie. Jednak za każdym razem odbijały się, jak gdyby natrafiając na niewidzialną tarczę.

– Jest strzeżony. Tylko uświęcony może wejść.

Szybko przemierzyli korytarz, mijając po drodze piękny, trawiasty dziedziniec z fontanną po środku. Z każdym krokiem mijali coraz więcej sklepionych kamiennych pomieszczeń i odnosili coraz silniejsze wrażenie, że są w klasztorze.

Weszli za mężczyzną do kolejnego budynku i podążyli dalej nieskończenie długim korytarzem. Wysoki, sklepiony strop pokrywały jaskrawo barwione freski.

Szli i szli dość szybkim tempem. Wydawało się, że ich pochód trwał

wieczność, aż w końcu minęli kolejny korytarz i weszli po schodach do najwspanialszej sali, jaką Caitlin widziała w swoim życiu.

Oniemiała z wrażenia, spojrzała w górę.

– Kaplica Sykstyńska – wyszeptał Caleb.

Cała ich trójka weszła do ogromnego wnętrza, a Caitlin nie potrafiła oderwać wzroku od sufitu Michała Anioła. Każdy jego cal, a rozciągał się na setki stóp, pokrywały jaskrawo namalowane sceny. Były tak pełne życia i wyglądały jak żywe, jakby oglądała coś rzeczywistego.

Nagle usłyszała jakieś szuranie. Obejrzała się i zobaczyła setki wampirów, wszystkie ubrane na biało, z białymi kapturami na głowach, stojących cierpliwie w rzędach wzdłuż murów.

Na środku kaplicy znajdowało się podwyższenie, a na nim ołtarz, przed którym stały kolejne trzy wampiry. Ich ubiór był bardziej wyszukany, a ich białe szaty miały złote wykończenie.

Wampir, który ich tu sprowadził, dał im znak, by podeszli do ołtarza. Caitlin ruszyła wolnym krokiem w stronę podwyższenia i trzech wampirów, wraz z Calebem i Samem. Jej serce biło mocno. Czy jej ojciec był jednym z tych mężczyzn? Jaki to był klan? Czowała bliskość ojca, bardziej niż kiedykolwiek.

Czowała, jakby był tu razem z nią.

Wampir stojący po środku ściągnął kaptur z głowy i spojrzał na nią wielkimi, iskrzącymi się, jasnoniebieskimi oczyma. Miał ogromne oczy i takie półprzejrzyste, jakby nie pochodził z Ziemi.

– Jesteśmy członkami najświętszego, najstarszego i najpotężniejszego klanu wampirów znanego człowiekowi. Żyjemy dłużej o całe tysiące lat i strzeżemy tajemnic, których nikt inny nie jest godny strzec. To dzięki nam ludzka i wampirza rasa zdołały przetrwać. Niewielu wie o naszym istnieniu – a jeszcze mniej jest członkami naszego klanu. Twój ojciec jest jednym z nas. Co oznacza, że ty również jesteś jedną z nas.

Serce waliło jej mocno w piersi. Konsekwencje tego, co usłyszała zdawały się przytłaczające. Stali przed nią pobratymcy jej ojca. Tu, w Watykanie. Była dumna z ojca, ale też sama poczuła się wyjątkowa. Czowała też palącą potrzebę uzyskania odpowiedzi.

Nagle wampir uniósł małą, zdobioną klejnotami szkatułę.

– Poproszę twój klucz – powiedział.

Caitlin spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Klucz?

Nie miała żadnego klucza. Czyżby z kimś ją pomylili?

Zniżył wzrok i wskazał na jej naszyjnik.

Caitlin sięgnęła po niego i dotknęła dłonią, zapomniawszy w ogóle, że tam był. Jej naszyjnik.

Zdjęła go, podeszła bliżej i powoli wetknęła w dziurkę od klucza.

Przekręciła i ku swemu zaskoczeniu zauważyła, że wieczko otworzyło się gładko.

Wewnątrz był kolejny klucz, wielki i złoty.

– Weź go – powiedział wampir. – Należy do ciebie.

Caitlin sięgnęła do środka i wyjęła klucz. Setki myśli kłębiły się jej w głowie. Był ciężki i gładki. Wyczuwała niewiarygodną moc płynącą z niego.

– To jeden z czterech kluczy – powiedział mężczyzna. – Tylko ty możesz znaleźć pozostałe trzy. Kiedy już będziesz miała wszystkie cztery, spotkasz swego ojca. A on przekaze ci Tarczę.

– Masz świętą misję do spełnienia – dodał. – Musisz go odszukać. Dla dobra nas wszystkich.

– Ale gdzie on jest? – spytała.

– Żyje w innym czasie – odparł wampir. – Będziesz musiała cofnąć się w czasie jeszcze dalej.

W jej głowie zaroilo się od myśli. Cofnąć się w czasie? Znowu?

Wampir przytaknął, a setki zgromadzonych w pomieszczeniu wampirów podeszły bliżej i stłoczyły się w ciasnym kręgu wokół nich.

Stojąca dotychczas na środku trójka wampirów podeszła bliżej, trzymając w dłoniach inkrustowane klejnotami kielichy, wypełnione białym płynem.

– Biała krew – powiedział. – Najświętsza ze wszystkich. Każdy z was musi wziąć trzy łyki.

Caitlin, Caleb i Sam chwycili każdy po jednym kielichu.

Caitlin wypila trzy łyki, zastanawiając się, co się stanie. Zdziwił ją słodki smak krwi.

Wokół nich cisnęły się coraz większe tłumy wampirów, coraz bliżej i bliżej.

Wszystkie spuściły głowę, jak do modlitwy i zaczęły śpiewnie recytować.

– na zmartwychwstanie w nowy dzień – i dokończyli śpiew –
Najwyższą łaską Boga obdarowani.

Nie, pomyślała Caitlin.

Poczuła jak nagle zakręciło się jej w głowie. To nie może dziać się naprawdę. Nie tak szybko. Miała tyle pytań. Kim byli? Jak długo żyli? Skąd znali jej ojca? Jaki on był? Jaki był następny etap jej misji? W jakie czasy i miejsce ją odsyłali?

Miała też tak wiele pytań do Caleba. Jak dużo rzeczywiście pamiętał? Czy tym razem cofnie się w czasie razem z nią? Czy będzie pamiętał?

A przede wszystkim, czy nadal ją kochał? I czy będzie ją kochał? Czy będą mieli ze sobą jeszcze jedno dziecko?

Potrzebowała czasu, by przygotować się na przejście. Chociażby kilka minut.

Ale nie było jej to przeznaczone.

W miarę jak wampiry nuciły kolejne strofy pogrzebowego psalmu, powtarzając je po raz wtóry, Caitlin czuła coraz silniejsze zawroty głowy.

Chwyła mocno dłoń Caleba i poczuła, jak i on ją ścisnął. Tak dobrze było poczuć go przy sobie. Miała nadzieję, że tak już pozostanie na zawsze. Miała nadzieję, że tym razem cofną się w czasie wspólnie i nigdy już się nie rozstaną.

Nigdy siebie nawzajem nie opuszczą.

Kiedy pogrzebowa pieśń zabrzmiała po raz trzeci, Caitlin poczuła, jak Caleb nachylił się i wyszeptał – Kocham cię, Caitlin. I zawsze będę cię kochał.

Caitlin czuła się coraz lżejsza, odpływając w górę pod sufit, ku niebu, gdzieś, gdzie niebo spotykało się z ziemią.

I była pewna, po prostu to *wiedziała*, że istniało coś większego od tego świata. Że gdzieś we wszechświecie istniało magiczne przejście, gdzie zwyciężało przeznaczenie i miłość. I że bez względu na wszystko, znów będzie z Calebem.



POŻĄDANA

(Część 5 Wampirzych Dzienników)

W POŻĄDANEJ (piątej części Wampirzych Dzienników) Caitlin budzi się i odkrywa, że znów przeniosła się w czasie. Tym razem trafia do osiemnastowiecznego Paryża, wieku obfitości, królów i królowych – ale też i rewolucji.

Będąc ponownie z Calebem, swoją prawdziwą miłością, nareszcie może przeżyć ciche, romantyczne chwile, których nigdy nie mieli. Razem z nim spędza sielankowy czas w Paryżu, zwiedzając słynne miejsca, a ich miłość rośnie z każdym dniem. Caitlin postanawia porzucić poszukiwania ojca na rzecz delektowania się chwilą i miejscem oraz wspólnym życiem z Calebem. Caleb zabiera ją do swego średniowiecznego zamku nad brzegiem oceanu. Caitlin jest szczęśliwa jak nigdy przedtem, nawet w marzeniach.

Jednak ich sielankowe chwile nie mogą trwać wiecznie. Następują wydarzenia, które zmuszają ich do rozstania. Caitlin jeszcze raz spotyka klan Aideny, Polly i wszystkich swoich przyjaciół. Ponownie skupia się na treningu i swojej misji.

Poznaje też pełen przepychu Wersal, gdzie królują stroje i przepych ponad wszelkie wyobrażenie. Dzięki niekończącym się ucztom, balom i koncertom, Wersal sam w sobie jest jak inny świat. Caitlin jest szczęśliwa, kiedy ponownie spotyka brata. On również cofnął się w czasie i tak samo jak ona śni o ojcu.

Nic jednak nie jest takie, na jakie wygląda. Kyle również odbył podróż w czasie

– tym razem cofnął się wraz ze swoim pomagierem Sergeiim – i dąży do zabicia Caitlin z niebywałą zaciętością. Sam i Polly wpadają w sidła toksycznego związku, który może przynieść zagładę wszystkim z ich otoczenia.

Caitlin staje się pełnokrwistym, zahartowanym wojownikiem i jest bliższa znalezienia ojca oraz Tarczy niż kiedykolwiek wcześniej. Kulminacyjne, pełne wartkiej akcji zakończenie rzuca Caitlin w wir poszukiwań wskazówek w



najważniejszych średniowiecznych zabytkach Paryża. Jednak przeżycie tym razem będzie wymagało od niej umiejętności, o których nigdy nawet nie marzyła. Zaś ponowne połączenie z Calebem będzie zależało od tego, czy dokona najtrudniejszych w swoim życiu wyborów – i poświęceń.

– POŻĄDANA jest świetnie wyważoną pozycją. Posiada idealną ilość słów i jest doskonałym punktem wyjścia dla pozostałych części. Postacie są bardzo wiarygodne i naprawdę zależy mi na tym, by poznać ich kolejne losy.

Wprowadzenie postaci historycznych było ciekawym zabiegiem i pozostawiło wiele do myślenia o niniejszej pozycji.

— The Romance Reviews

[POŻĄDANA](#)

(Część 5 Wampirzych Dzienników)

KINGS AND SORCERERS



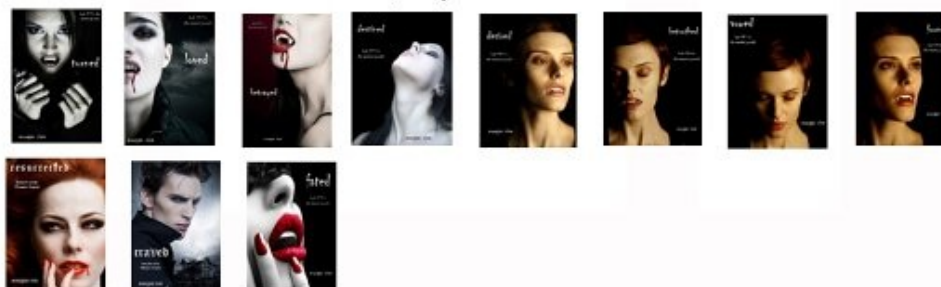
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



[Kliknij tutaj by pobrać książki Morgan Rice z Google Play!](#)



Posłuchaj cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!

Książki autorstwa Morgan Rice

KINGS AND SORCERERS

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZE W HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)

ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)

KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)

RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)

PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)

POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)

ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)

ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

THE VAMPIRE JOURNALS

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARĘCZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE

SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

[PRZEMIENIONA](#) (Księga 1 cyklu Vampire Journals), [ARENA ONE](#) (Księga 1

cyklu Survival Trilogy), [WYPRAWA BOHATERÓW](#) (Księga 1 cyklu Krag Czarnoksiężnika) oraz [POWRÓT SMOKÓW](#) (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie na Google Play.

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie.

Document Outline

- [ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)
- [ROZDZIAŁ ÓSMY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ JEDYNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)
- [ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)